



STEFAN ŻEROMSKI

---

## Róża

STEFAN ŻEROMSKI<sup>1</sup>

# Róża

*„O Thou immortal Deity  
Whose throne is in the depth of human thought,  
I do adjure thy power and Thee  
By all that man may be, by all that he is not,  
By all that he has been and yet must be<sup>2</sup>!”*

*Percy B. Shelley (fragment z r. 1821)*

---

<sup>1</sup>Żeromski, Stefan — poniższy dramat zatytułowany *Róża* został opublikowany przez Żeromskiego pod pseudonimem Józef Katerla w 1909 r. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*O Thou immortal Deity Whose throne is in the depth of human thought, I do adjure thy power and Thee By all that man may be, by all that he is not, By all that he has been and yet must be* (ang.) adjure — O Ty, nieśmiertelne Bóstwo, którego tron jest w głębi myśli ludzkiej, zaklinam Twą siłę i Ciebie, przez to wszystko, czym człowiek mógłby być, przez wszystko, czym nie jest, przez wszystko, czym był niegdyś i czym musi być jeszcze. [przypis edytorski]

# PROLOG

*Zautek poza gmachem więzienia, utworzony przez blanki wystające w stronę rzeki. W głąb spada olbrzymi mur, wsparty na potężnych odkosach ziemnego wału. Z prawej strony wznosi się surowa ściana z oknami na poły zabielonymi. Górą okien sączy się w noc nieruchome światło. Ów dom wypromienia ze siebie martwą aureolę, która ginie, pochłonięta przez mrok. Za murem i za jego fosą, głęboko w dole, rosną drzewa olbrzymie, których wierzchołki mało wiele<sup>3</sup> przerastają dachówkę muru. Koślawe widły, konary, nagie gałęzie i wici tych drzew huczają w nocy wzdłuż rzeki Wiśły. — Wicher dmie. — Zawieja niesie ze szczelin pomiędzy murami i z dachów zwiewne, wydęte żagle śniegowe. Długie, wciąż dymiące się strzały i zaspy warują na ziemi. Lotny wąż śniegu okręca się dookoła słupów szubienicy. — Głęboka noc. — Dwudziestostopniowy mróz. ŻOŁNIERZ MOSKIEWSKI w szubie do samej ziemi, baranim*

---

<sup>3</sup>*mało wiele* (daw., gw.) — niewiele. [przypis edytorski]

futrem podbitej, w wielkich butach futrzanych, z głową szczelnie okręconą basztykiem przechadza się pomiędzy Iwanowskimi Wrotami<sup>4</sup> i wnątką, gdzie stoją słupy szubienicy. Karabin leży nieruchomo na jego ramieniu. Śnieg zmarznięty od srogiego mrozu świszcząc zgrzyta i skrzypi pod wielkimi stopami żołdata. — Kiedy niekiedy<sup>5</sup> ten człowiek wstrzymuje mierzone kroki, odchyła znad ucha wielkim palcem rękawicy brzeg basztyka<sup>6</sup> i nastuchuje, jak wicher w konarach wspaniałych drzew śwista, skowycze i łka — jak wąż śniegowy, oplatając drewno szubienicy, szeleszcze<sup>7</sup>.

---

<sup>4</sup>*Wrota Iwanowskie* — wsch. brama Cytadeli Warszawskiej, zbudowana w l. 1833–1835 od strony Wisły, nazwana później Bramą Straceń; u jej stóp znajduje się cmentarz-mauzoleum straconych w tym miejscu więźniów politycznych: od 1886 r. na szubienicach ustawionych na skarpie poniżej bramy wykonywano egzekucje więźniów politycznych, zaś ciała straceńców chowano potajemnie (tzn. również: bezimiennie) w bezpośrednim sąsiedztwie. W 1932 Koło Warszawskiego Stowarzyszenia Byłych Więźniów Politycznych doprowadziło do uporządkowania terenu wokół bramy i otwarcia 1 XI 1933 cmentarza-mauzoleum, na którym ustawiono 152 krzyże i 7 macew dla upamiętnienia straconych tu patriotów, na ścianach bramy powieszono marmurowe tablice pamiątkowe z nazwiskami ofiar. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*kiedy niekiedy* (gw.) — czasem. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*basztyk* (z tur.) — rodzaj nakrycia głowy: wykonany z filcu a. grubego sukna kaptur z długimi końcami, które obwiązywano się dokoła szyi a. pasa; element ubioru żołnierzy armii ros. od XVIII w. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*szeleszcze* — dziś popr. forma 3.os.lp: szeleści. [przypis edytorski]

JĘK W WICHRZE

*między mogiłami*

Kiedyż uniesiem głów<sup>8</sup> ponad zbroczone wez-  
głowie, kiedyż na ludu łonie spoczniemy w sła-  
wy koronie — któż nam odpowie?

ŚNIEGOWY WĄŻ

*podnosi znad mogił głowę i, oplatając drewno  
szubienicy, szeleszcze*

Nikt wam nie zmąci snów — grobom wko-  
panym w mogiły, mocy strąconej w dół zgni-  
ły... Niewola wieje przez sioła, niewola idzie  
przez miasta, szlak wasz szalejem zarasta. Nikt  
was nie woła...

ŻOŁNIERZ MOSKIEWSKI

*bije pokłon i żegna się krzyżem trzykrotnym<sup>9</sup>*

Gospodi pomiluj<sup>10</sup>! Gospodi pomiluj! Go-  
spodi pomiluj!

*Wsuwają się przez tajne w głębi przejście De-  
ity (BOŻYSZCZE) i ANZELM*

---

<sup>8</sup>*głów unieść* — dziś popr. z B Im: unieść głowy. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>*żegna się krzyżem trzykrotnym* — tj. żegna się w sposób przyjęty w kościele  
prawosławnym. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*Gospodi pomiluj* (ros.) — Boże, zmiłuj się. [przypis edytorski]

ANZELM

Jesteśmy.

BOŻYSZCZE

Nareszcie.

ANZELM

Tędy przeszedł. Był jeszcze zmrok przed-  
ranny. Jesienna woń więdnących liści pierw-  
szy raz od miesiący tyłu wionęła mu w twarz.  
Lekka nadwiślna mgła pozdrowiła jego oczy.  
Począł wołać co siły w piersiach w tę woń, w tę  
mgłę wariackie swoje hasło: „Niech żyje Polska  
niepodległa!”. Raz, drugi raz, trzeci, czwarty.  
I tak co krok. Bębny nie mogły zagłuszyć te-  
go krzyku. Dopiero szybko rzucona pętlica...  
Spełnione już tve pragnienie...

BOŻYSZCZE

Spełnione, sługo.

ANZELM

Jakąż mi dasz nagrodę? Syna mam, panie,  
panie!

BOŻYSZCZE

Nie minie cię zapłata.

ANZELM

Część jej już mi wydał, gdy mogłem jeszcze wyprowadzać w pole, zmylić pogoń, złamać zakaz, zatrzeć tropy — lecz jestem nienasycony. Syna mam, panie!

BOŻYSZCZE

Czy nie leży to w twoich zamiarach, nienasycony, ażeby i mnie wyprowadzić w pole?

ANZELM

Nie, mistrzu! Tobie jednemu pokazuję prawdę, odsłaniam nagość spraw i dusz, rany czyste i brud, źródło łez i strzeliste westchnienie, tobie jednemu wyznaję wiadomą ci istotę rzeczy.

BOŻYSZCZE

Alboż na pewno wiesz, przebiegły Anzelmie, gdzie się znajduje prawda i jaką ma twarz, gdy zdejmie maskę, istota rzeczy?

ANZELM

Tak sędzę. Zdarzało mi się uchylać jej tylekroć podejrzliwymi rękoma. Kładłem w bardzo

głęboką ranę prawdy chciwe palce i uczuwałem w całym ciele rozkosz od niestrzymanego żaru, który w niej gore.

BOŻYSZCZE

*z uśmiechem*

Wręcz tedy odmiennie niż Rzymianin Piłat, który na daremno rzucał w tłum pytanie, co jest prawdą — szczerze wyznawał, że sam nie wie i uczuwał zimno w dłoniach, zanurzonych w wodzie.

ANZELM

Jakże miał poznać upał osiągnięcia prawdy, umywając od spraw człowieczych wyniośle obojętne ręce? Ażeby zobaczyć istotę rzeczy, trzeba na nią w szczególnego zachwytu minucie patrzeć przez nadzwyczaj przybliżające szkła śmierci. Trzeba przykładać je do oka, nieznanego łez przenigdy, dłonią, której nerwy wola aż do zatracenia znieczuliła. Trzeba z uśmiechem dobrotliwym wydawać wyrok śmierci — jakem to był czynił<sup>11</sup> — i w każdym momen-

---

<sup>11</sup>*jakem to był czynił* (daw.) — przykład użycia czasu zaprzeszłego, wyrażającego czynność wcześniejszą w stosunku do czynności (zjawisk itp.) wyrażonych zwy-



cie być gotowym na pocisk śmierci — jakem to był czynił. A wreszcie trzeba śmierć ponieść. Ta jest droga poznania, wielce trudna dla nas śmiertelnych, o bożyszczce, które znaczenia śmierci nie znasz.

BOŻYSZCZE

Przechwalasz się, śmiertelniku.

ANZELM

Nie. Głoszę prawdę. Któż pod utwierdzeniem<sup>12</sup> dosięgnął tej potęgi, ażeby bezwładną dłonią wskazywać i wydawać na śmierć, będąc już martwym trupem i leżąc w trumnie ze złożonymi na piersiach rękoma? Uczyniłem to ja jedyny. Gdy kula roztrzaskała moją czaszkę i mózg przeszła, złożono moje zwłoki skrwa-wione w prosektorium. Wtedy zbiegli się z tajnych zaułków spisku pobratymcy morderców, aby się przekonać o prawdzie, aby zaznać nieopisanej radości, wychylić kielich wina zemsty na widok mojego trupa. Życie moje było ska-

---

kłym czasem przeszłym; znaczenie: jak to czyniłem uprzednio (wcześniej, dawniej itp.). [przypis edytorski]

<sup>12</sup>pod utwierdzeniem — tu w znaczeniu; (któż) może twierdzić, że (...). [przypis edytorski]

zaniem na tracenie dla setek<sup>13</sup>. Nie wiedzieli nędznicy, podlegli pospolitym uczuciom, że zimny trup mój czuwa i że ja, Anzelm, jestem niepokonany i niezgładzony. Ciekawość ujrzienia mojego w trumnie oblicza przypłacili pojmaniem, a ten i ów spomiędzy nich — pętlicą na tej huśtawce. Przewidziany był z dawna szal ich uczucia i umówiona przynęta: moje zwłoki. Znane były wszystkie przejścia wzruszeń, jakim będą podlegać: ciekawość, chciwość, pycha, gniew, zawiść, ból, strach, zemsta, radość i nadzieja. Schwytali się w tę sieć, zwabieni na mnie jak drapieżne lisy na trup wilka.

#### BOŻYSZCZE

Rozważmy bez poddawania się jakiemukolwiek uczuciu, czyli<sup>14</sup> mięso, które myśliwiec składa we wniku<sup>15</sup>, żeby dzikie lisy przywabić — powtórzmy — czyli mięso — może się chlubić, że posiada władzę?

---

<sup>13</sup>*Życie moje było skazaniem na tracenie dla setek* — tj. byłem skazany na to, aby tracić (a. być straconym) dla dobra setek (innych ludzi). [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*czyli* (daw.) — konstrukcja z partykułą -li, tworzącą pytanie retoryczne; znaczenie: czyż, czy też. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*we wniku* — dziś popr.: we wnykach. [przypis edytorski]

ANZELM

Twierdzenie moje nie da się skruszyć przez to podobieństwo. Władza mej martwej ręki była to bezwzględnie ta sama władza, którą ja sam stworzyłem był<sup>16</sup> w sobie i na zewnątrz siebie za życia.

BOŻYSZCZE

Na zewnątrz ciebie istniejąca nie twoim — sędzę — była dziełem.

ANZELM

Na zewnątrz mnie istniejąca byłaby martwym zegarem, gdybym ja jej w ruch nie wprawił. Potęga moja była zewnętrzna i wewnętrzna — była mocą stanowienia o życiu i niebycie. Jednym spojrzeniem i jednym skinieniem zadawałem śmierć lub wypuszczałem na wolność. Rozważmy. Zbójca wymierza cios i wyrywa ostatnie tchnienie — sam, pod wpływem żądz lub szalu. Żołnierz nastawia karabin, artylerzysta rychtuje działo — sam, z rozkazu.

---

<sup>16</sup>*stworzyłem był* (daw.) — przykład użycia czasu zaprzeszłego, wyrażającego czynność wcześniejszą w stosunku do czynności (zjawisk itp.) wyrażonych zwykłym czasem przeszłym; znaczenie: stworzyłem wcześniej (uprzednio, dawniej). [przypis edytorski]

Jedynowładca wydaje wyrok — sam, lecz nie wiedząc, co czyni, martwą swą władzą. Ja tylko jeden, świadomy sędzia, świadek i despot, panujący nad niezliczonymi rotami, czyniłem mój sąd, dawałem świadectwo istocie rzeczy i ferowałem dekret, wiedząc, co czynię, świadomie, bez przymusu, celnie i trafnie, mądrze i obojętnie. Słuchały mię sztaby prokuratorów, urzędów śledczych, sędziów wydających wyrok gorącym prawem, generałów, oficerów, żołnierzy. Słuchał mię najniewątpliwszy sługa wielkiego panowania — mistrz.

BOŻYSZCZE

Zbyt złośliwie malujesz wizerunek świata.

ANZELM

Tak. Wizerunek mój nie upiększa tego świata. Pamiętam, gdy pierwszy raz... Stawiony oko w oko z towarzyszem tych samych trudów rewolucji, ujrzałem jego bolesny, a radosny zarazem błysk oka — uścisk bratniej miłości, sekretne hasło towarzysza dla towarzysza na dnie

otchłani, zazębienie koła idei, szukające swojego trybu w kole idei — pod progiem kostnicy. Pamiętam, jak w owej chwili spokojnie i trafnie ściałem jego bujną, pełną marzeń głowęńkę nagim toporem mojego uśmiechu. Och, wy oczy struchlałe, zamierające pod moim spojrzeniem w wieczny lód rozpaczy! O, niezapomniane spadanie jego jęku, który słyszałem lecący w przepaść po ostrych zrębach w ciągu jednego momentu powzięcia o mnie prawdy! Zamknęły się wówczas te pierwsze oczy moje, — zawściągnęła się na twarz śmiertelna przyłbica dumnej pogardy i biała chustka śmierci nasiąkła potem przedzgonnym. Oto tu leży ten pierwszy mój...

*Obydwaj krok za krokiem idą powoli, ze zwieszonymi głowami na prawo od drewn szubienicy, brnąc po kolana w bardzo głębokim, sypkim, przemarzłym śniegu. Widać w błędnym półświecie okien więzienia, w martwej aureoli, która ginie pochłonięta przez mrok — na głowie Bożysz-*

cza frygijską czapkę<sup>17</sup>, symbol Mithry<sup>18</sup>. Wiatr dmie i z jękiem pada pomiędzy mogiły.

## JĘK WICHRU między mogiłami

---

<sup>17</sup>frygijska czapka — miękkie, wełniane, stożkowe nakrycie głowy, ściśle ją opasujące, z opadającym do przodu czubkiem; dla staroż. Greków ten rodzaj czapki (gr. *pilos*) był charakterystyczny dla ludów ze wschodu, np. z Frygii w Azji Mniejszej; w staroż. Rzymie takie nakrycie głowy otrzymywał wyzwoleniec, stąd czapka frygijska była symbolem wolności; w staroż. sztuce rzymskiej frygijkę nosiła bogini Roma, a także Mitra, bóstwo solarne czczone w epoce hellenistycznej; później, w okresie Wielkiej Rewolucji Francuskiej czerwona czapka frygijska z trójkolorową kokardą (barwy flagi nowo powstałego państwa), początkowo czapka sankiulotów, nazywana była czapką wolności i stała się symbolem samej rewolucji: uosobienie wolności (*Liberté*), tzw. Marianna, przedstawiana była w czapce frygijskiej. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*Mithra* a. *Mitra* (mit. indoirañska) — bóstwo solarne, którego kult sięga XX w. p.n.e.; władca ładu kosmicznego i społecznego, opiekun umów i władców, personifikacja lojalności, sędzia zmarłych w zaświatach; jego imię znaczy tyle co: przysięga, pakt, a także: przyjaźń. Obecny w świętych księgach mazdaizmu i zaratustrianizmu (*Awesta*) oraz religii staroindyjskiej (*Hymny Rigwedy*), w okresie hellenistycznym (od IV–III w. p.n.e.) zyskał wyznawców w Grecji, a od I w. n.e. w Rzymie (w III–IV w. mitraizm wszedł do rzym. państwowego kanonu religijnego; Mitra był czczony jako *Sol Invictus*: Niezwyciężone Słońce), bóg słońca, ognia, ale też oświecenia: jego kult, mitraizm, w połączeniu z gr. myślą filozoficzną (neoplatonizm) i astrologią egipsko-mezopotamską, nabrał cech ezoterycznych, a misteria ku czci Mitry miały służyć przekazaniu wtajemniczonym wyznawcom wiedzy o odrodzeniu i drodze do nieśmiertelności. W samym Rzymie miało być sto mitreów, czyli świątyń wyznawców Mitry. [przypis edytorski]

Kiedyż uniesiem głów ponad zbroczone wez-  
głowie, kiedyż na ludu łonie spoczniemy w sła-  
wy koronie — któż nam odpowie?

*Chwieje się jęk wichru, zanosi tam i sam nad  
niewidzialnymi, płaskimi, zdeptanymi dołami,  
w których leżą straceni powstańcy, niepodlegli bo-  
jowcy i bandyci — warstwa na warstwie, dłu-  
gim pokotem, długim pokotem. Anzelm stanął.  
W zimnej, głębokiej zadumie, niepochwytym szep-  
tem, zaledwie ruchem warg, wymawia zapomnia-  
ne imiona.*

#### BOŻYSZCZE

Cicho szeptaj<sup>19</sup> — szpiegu — bo polski  
wiatr, rapsod jedyny spraw tu pokonanych, usły-  
szy imiona. Poniesie je w pola, w lasy, na mar-  
twe niwy, ku brudnym wsiom. Wyszłocha je  
u zamarzłych okienek, wyplącze w węglach cha-  
łup. Poszepnie je milionom chłopów w ich nie-  
ocknionym dziś śnie.

#### ANZELM

Śpi twardo chłopstwo polskie. Dobrze je-  
go snu bagnet strzeże i zabobon. Bagnet na zie-

---

<sup>19</sup>szeptaj — dziś popr. forma: szepcz. [przypis edytorski]

mi o wszystkim stanowi. Na kolanach u moich stóp, z płaczem i jękiem pełza wiatr, niewolnik, jako wszystko w tym kraju.

BOŻYSZCZE

Miejsce, na którym stoisz, jest zagonem ziemi wolnej.

ANZELM

Czyli to miejsce — mistrzu — jest zagonem ziemi wolnej, gdzie leżą pochowani bandyci zdjęci z szubienicy?

BOŻYSZCZE

Tu leżą pochowani waleczni wodzowie powstania i waleczni bojownicy rewolucji.

ANZELM

*posepnie zadumany*

Tu oto leży „Marek”. Uciekł był ze mną z więzienia, z zamku w Łęczycy. Czekałem na niego ciemnymi nocami, brodząc dookoła miasta po moczarach. Och, ciemnymi nocami... Tłukło mi się wówczas w piersiach inne, głupie serce. Kochałem go. Gwiazdy do mnie o nim mówiły. Światło księżycy nas ostrzegało jak sio-



stra czuła. Skoczył w moje ramiona z wysokiego muru. Uciekaliśmy poprzez błota, rozkiste łąki, przez głuche lasy. Tylko to jedna ciemna noc wie, ile między nami było niezłomnego pobratymstwa. W piersiach mu grały suchoty, a śmiechem się wtedy radosnym zanośli. Niosłem go, gdy mi padał, nie czując ciężaru, jak matka nosi dziecko. Po całej nocy chodu, o świcie, pomnę, weszliśmy na plebanię do księdza starego, żądając posiłku i paru godzin snu. Drżał ksiądz i szeptał modlitwę. Nakarmił nas, wyklętych rewolucjonistów, przemożliwych zbiegów napoił winem. Jedliśmy wtedy w milczeniu we trzech, patrząc sobie nawzajem w oczy i widząc na wskroś polskie, niewolnicze serca, naszą wylękłą, nadwiślańską dołę, mieszając trwoźny posiłek z gorzkimi łzami. Śmieszna polska nędzo!

W zamian, kiedym ja w walce z wojskiem, na rogu wielkowiejskiej ulicy postrzał otrzymał w ramię, on mię „Marek” towarzysza wy-

włókł zaułkami — spomiędzy patrolów, wydzwigał na ramieniu, schował w izbie swojej.

Dzieci troje i żonę wysłał spać do ciasnej sieni, w łóżku mię swoim położył i leczył sam, żeby nie wzywać lekarza. Ukrył mię, ocalił wtedy, wywiózł chorego w daleką stronę.

Śmieszna polska nędzo!

Wydałem żandarmom ono tęgie braterstwo między nami dwoma. I wszystek nasz sekretny zamach, któryśmy razem czynili. I każdą myśl, zaprzysiężoną słowem męskim, naszym, honornem, głuchą tajemnicę, powziętą pospół, gdyśmy nocami obaj w gorączce szeptali.

Śmieszna polska nędzo!

*mówi wyraźnie, schylając się nad uchem słuchacza, jak w czasie spowiedzi*

Oto tu leży „Rudolf”. To my zabiliśmy z nim generała żandarmów. Zdobyliśmy razem pocztę z wielkimi pieniędzmi. Wystrzelaliśmy konwój do nogi. W ucieczce jednego dnia leżeliśmy w zbożu dostałym, kiedy pościgi wojenne przerzynały wzdłuż i wszerz okolicę. On,

strudzony, spał kamiennym snem. Jam czuwał. Słyszałem głosy kawalerzystów, rozróżniałem szcęk broni i tętent o kilkadziesiąt kroków od miejsca naszej kryjówki. Nie budziłem go, żeby spokojnie wypoczął. A gdy się ocknął, — pamiętam — twarz miał jak gdyby cudzą, maskę jakąś okrutną z gipsu, oczy w niej — płomień jarzące. Skarżyć się począł na los nasz straszliwy, który nam rozkazał być mordercami z zasadzki dla tej, — mówił — dalekiej, dla tej — mówił — nie naszej, dla tej potomnej niepodległej Polski.

Śmieszna polska nędzo!

Wydałem wszystko, wydałem i tamtą chwilę do cna. Oto tu leży „Grzegorza” chłopski trup. Głęboko leży w zmarzniętej glinie. Torturami podarli mu ciało, gumowymi kijami odbili je od kości, porozrywali spoidła żeber, jako że się był zaparł do ostatniej kropli krwi i do ostatniego tchu. Nikt o nim nie wiedział nic, tylko ja jeden. A ja wiedziałem wszystko. Jam wiedział, jak go umieli zużyć ludzie, gdzie

pchnęli jego ciemną wolę. Wyszedł z chałupy w ciemną noc, żeby się bić na śmierć o Polskę, a zawisł tu pod nazwiskiem bandyty.

Śmieszna polska nędzo!

Wydałem wszystkie jego straszliwe uczynki, całe dzieje wielkiego męstwa, z ciemnej niewiedzy wypływające. Przekręcił się teraz w ziemi, obrócił ku mnie zgniłą twarzą. Krople krwi jeszcze mu się toczą ze ślepiów po milczących, nagich kościach. Patrzy się oczodołami w moje oczy i pyta się mnie, co ludzie z jego duszą i z jego spracowaną ręką zrobili. Pyta się mnie, com ja z nim zrobił.

*nachyla się nisko, ostania usta dłońią, szepcząc*

Mistrzu! Pokażę ci, com sprawił najokrutniejszego. Odgarnę ziemię, rozedrę piersi tego chłopca, nieustraszone za życia. Pokażę ci jeszcze drgającą w nich ciemną, nieśmiertelną rozpacz...

BOŻYSZCZE

*dobywa puginału i krótkim błyskiem żelaza  
odpycha od siebie Anzelma*

O sobie samym mów do mnie.

ANZELM

Prawdę powiem. Powiem ci, gdy taka jest  
wola twoja, kiedym po raz pierwszy uczuł w so-  
bie tę nową myśl.

BOŻYSZCZE

Strach ją w tobie długo płodził z nierząd-  
nej chciwości. Wyłuszczył te dzieje tchórzostwa,  
przekupstwa, kłamstwa, rozwiązłości i zdrady.

ANZELM

Ty je znasz i wążysz. Ja je tylko uczuwam  
w dali... Po śnie ciężkim ujrzałem tę myśl. Nad  
ranem. W febrze. Wiosenny to był ranek. Chmu-  
ra ciemna leżała na niebie. Za nią dołem, do-  
łem zorza. Blade jakoweś kwiaty snuły mi się  
w oczach. Całe moje życie i jego wszystko zna-  
czenie, sens mego bytu wcielony został w te  
kwiaty. Już mię wtedy skazali byli na powróż.

Poprzez dwie drucziane kraty pozwolili mi ostatni raz spojrzeć na mojego jedyne go syna, dziesięcioletniego Olesia. Wyciągnął do mnie drobne ręce, ale mi ich dotknąć nie dali. Patrzył we mnie poprzez oka druczianych krat nieopisanymi oczami dziecięcej boleści. Nad odrażającą mękę, nad jałowe próżniactwo duszy, nad brudny bezwład więzienia, nad strach i podłość wyczekiwania wyblęzło głuchonieme zdrowie, żywa żądza, ażeby naraz tego wszystkiego nie doświadczać.

Cicho a jasno, jak gdyby po nocy zorzeńka niebiańska, zjawiała się myśl, że można przecie uciszyć się i uspokoić widokiem cudzego cierpienia, którego sam nie będę doświadczał, że można się, jak w teatrze, nasycić obrazem tej samej bezsily, drżenia, upadku i agonii, co mnie samego targały, wiszącego na samotnym krzyżu — gdy ja z zakrytej loży będę z dala, spokojnie, uważnie patrzył. Westchnąłem, nie wiedzieć jak, ku temu, żeby jeszcze zabijać, jakem zabijał poza tymi murami. Ujrzałem

oczyrna zmrużonymi od trudności dojrzenia tej sprawy — możność potęgi.

Jeszcze potęgi! Jeszcze teraz... Zobaczyć Ole-  
sia! Wziąć go na kolana, przytulić jego gło-  
wę do serca, spracowanego tak bez miary! Nie  
wiem, jakimi drogami dobiegłem do królew-  
skiej w sobie wielkości. Powziąłem szerokość  
zamysłu. Począłem snuć genialny plan. Roz-  
winąłem przed samym sobą obszar działania.  
Spostrzegłem nowe życie i rozkochałem się w no-  
wym dziele.

#### BOŻYSZCZE

Dowlokłeś się do drzwi, na których ręka  
nieżyjącego już więźnia kredą wypisała: tędy się  
idzie do wielkości ludzi podłych.

#### ANZELM

Czekali ludzie na moją podłość. Czyhali na  
nią pod moimi drzwiami. Nikt mię nie wsparł.  
Nikt nie zaprzeczył. Nikt! Byłem sam. A do-  
świadczeni kupcy ludzkiej podłości stali do-  
okoła. Ze stu kilkudziesięciu milionów ludu  
pogłówny podatek mieli w trzosie, dosuli<sup>20</sup> doń

---

<sup>20</sup>*dosuć* (starop.) — dosypać, dolać. [przypis edytorski]

pożyczkę złotą, wyjętą z kas francuskich szachrajów. Dobrzy kupcy ludzkich sumień.

Książę! Wszakże wszystko można kupić za złoto. Jakże mu się miała oprzeć moja dusza? Pokazali mi kupcy wolność za uchylonymi Iwanowskimi Wrótniami<sup>21</sup>, pokazali mi synka małego, pokazali mi możliwość srogiego czynu. Dobili kupcy targu. Po to są kupcy, żeby śniąca w człowieku podłość nie zamarła. Po to są, żeby zdrada na ziemi nie wygasła i żeby człowiek nie zatracił natury jaguara i żmii. Widziałem ich zimne oczy i żelazne ręce. Jedna ręka podawała mi — powróż, a druga ręka podawała mi — trzos nabity złotem. Wybrałem.

#### BOŻYSZCZE

A ja, którym jest zawsze czujny, słyszałem, zdążając w te miejsca, legendę o młodzieńcu. Imię jego było Paweł. Podano mu, tak samo jak tobie, powróż i — trzos. On wybrał powróż.

#### ANZELM

Ty, który wszystko pojmujesz, lepiej ode mnie wiesz, że bohaterstwo śmierci nie jest mia-

---

<sup>21</sup>*wrótnie* (daw.) — wrota; brama. [przypis edytorski]



ra ̄ doskonała doskonałości duszy skazańca. Męż-  
na śmierć jakże często jest zasłoną podejrzanej  
wartości życia. Młodzieniec, imieniem Paweł,  
nie miał moich doświadczeń, nie przeżył mo-  
ich mąk, nie miał mojego rozumu.

*schyła się nisko i szeptce*

Ten chłopiec miał osiemnaście lat. Nie miał  
syna.

BOŻYSZCZE

Powiem ci wnet prawdę o synu. Mów jesz-  
cze.

ANZELM

Poniosły się w noc oczy moje, jak migota-  
nie piorunu. Na kogo padły moje oczy strasz-  
liwe, ten umierał, jeślim weń rzucił toporem  
niełaski. A kogo wzięły w zmiłowanie i ułaska-  
wiły oczy moje, tegom skinieniem w progi ży-  
cia wracał. Szły za mną modlitwy ułaskawione-  
go, błogosławiły me imię i całowały piasek, po  
którym przeszedłem. Ten kraj, którym sobie  
z niczego wytężeniem woli utworzył, stał się  
moim mocarstwem. Państwo moje było szero-

kie jak Rosja, wysokie jak niebo, głębokie jak piekło. Stałem się równy Bogu i szatanowi.

#### BOŻYSZCZE

Stałeś się równy własnemu złudzeniu, a własne złudzenie mierzyłeś gruczołem mózgu.

#### ANZELM

Uczułem jak gdyby skrzydła drapieżnego kondora wrosnięte w moje ramiona. Któryż to władzca był tak wszechpotężny, jak byłem ja, kondor reakcji? Car tylko tego śmiercią karał, kogo ja na śmierć spojrzeniem skazałem. Tylko tego miłosierdziem życia obdarzał, kogo ja ułaskawiłem. Albowiem ja jeden wiedziałem, gdzie burza w czarnej nocy czyha i kto piorun jej w dłoni hoduje. Byłem w pracowni kowala burzy terminatorem. Mogłem skazać niewinnego i mogłem znowu puścić na świat tego, co pięćdziesięciu bombą rozszarpał. Byłem żołnierzem rewolucji i, jak Napoleona, wyniosła mię rewolucja na krzesło potęgi. Po schodach z trupów wszedłem na szczyt. W piersi mej był pocisk nieubłagania. Nie lękałem się być mo-

carstwa władającego milionem żołnierzy, gdy byłem pacholkiem rewolucji, i nie uląłem się zemsty rewolucji, gdy zostałem jej zdrajcą.

BOŻYSZCZE

Jednego wszakże nie mogłeś utrzymać w ręku.

ANZELM

Czegóż to?

BOŻYSZCZE

Sławy.

ANZELM

Sławy nie ma. Co dziś czczą — jutro depcą nogami. Niesława u jednych jest źródłem sławy u innych. Stado ludzkie uwielbia tego, kto je okrutnym kańczugiem smaga. Kto pochwyci w swe ręce prawo rozdawania policzków — budzi cześć i stwarza sławę swoją. Tę prawdę zdobyłem w nieubłaganej walce ze światem.

BOŻYSZCZE

I jeszcze jednej potęgi nie zdołałeś utrzymać w dłoni.

ANZELM

Czegóż to?

BOŻYSZCZE

Spojrzyj w mrok. Spojrzyj poprzez odległość dziesięciu lat i patrz w oczy swego syna.

ANZELM

Zniosę jego wzrok! Zniosę jego wzrok! Zniosę jego wzrok! Zatopią się jego oczy w moje oczy i wyczytają najstraszniejszą z ofiar nędzy.

BOŻYSZCZE

Łudzisz się. Pchnie on cię oczami z taką samą co do joty siłą, jaka się mieściła w twojej „potędze”, kiedyś niewinnego posyłał na szafot.

ANZELM

Oleś! Oleś! Oleś!

BOŻYSZCZE

Wszelką prawdę może człowiek zdradzić na ziemi. Miarą wielkości cnoty jest głębia podłości jej zdrajcy. Za każdym światłem tej ziemi

idzie Judasz lub Devadatta<sup>22</sup>. Może zdrajca wyprowadzić w pole najwybitniejszy rozum, najświętszą niewinność jadem swoim zatruć, łatwo mu zniweczyć tropy swego kłamstwa, odziać się kapą świętości i w spokoju pożywać owoce kupione za judaszowe srebrniki. Wszystko bowiem człowiek na ziemi oszukać może, lecz dziecka swego nie oszuka. Przyjdzie dziecko — za moim poduszczeniem — o niewiadomej godzinie i straszliwymi oczyma zajrzy w mrok tajemnicy. Jak najbystrzejszy szpieg rozgarnie w sekrecie fałdy kapy czcigodnej. Przyniesie nieznaną, wiecznie odmienną — za moim poduszczeniem — zgoła nową miarę idei i pocznie nią mierzyć w milczeniu. Stanie jak nieubłagany prokurator, jak niepodkupny sędzia. Spojrzy.

---

<sup>22</sup>*Devadatta* — książę z rodu Sakiów, kuzyn i uczeń Gautama Siddhārthy, tj. historycznego Buddy, założyciela buddyzmu, który wystąpił przeciwko niemu, za co został potępiony i zniknął w czeluściach ziemi, trafiając do jednego z buddyjskich piekieł; podobnie jak Judasz w chrześcijaństwie, Devadatta w buddyzmie stanowi uosobienie występku, zdrady. [przypis edytorski]

## ANZELM

Niechaj mierzy! Pokaże mu jego nowa miara rany duszy mojej, krwawe moje łzy — i zwiłgotnieją jego zmarzłe oczy.

## BOŻYSZCZE

Będę cię kusił, zdrajco.

Ja, który, jak Mithra, posiadam tysiąc oczu, który widzę daleką przeszłość i najdalszą przyszłość, pokażę ci w przestrzeni czasu odmienne losy. Słuchaj! Ten, którego zgniła głowa wołała na ciebie z ziemi, nie będzie, jak mniemasz, przez całą przyszłość leżał w mokrej glinie, na niesławnym pohańbienia ugorze. Wszystko się zmieni. Człowiek, nazwiskiem Traugutt<sup>23</sup>, człowiek, nazwiskiem Montwiłł<sup>24</sup> — dźwignie czaszkę ze skrwawionego wezgłowia i wstanie dnia niewiadomego, żeby na zawsze, jak ryngraf two-

---

<sup>23</sup>*Traugutt, Romuald* (1826–1864) — generał, dyktator powstania styczniowego 1863 r., stracony przez powieszenie pod Cytadelą Warszawską. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*Montwiłł* właśc. *Józef Anastazy Mirecki* (1879–1908) — socjalista polski, jeden z przywódców Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej (OB PPS), członek jej Wydziału Bojowego, organizator i uczestnik wielu zamachów; działał pod pseudonimami: „Montwiłł”, „Grzegorz”, „Bronisław”, „Sawicki”; zginął 9 października 1908 r., stracony na stokach Cytadeli Warszawskiej. [przypis edytorski]

rzącej dumy, spocząć na piersiach najszlachetniejszych młodzieńców, żeby zasnąć na łonie wiecznej miłości najczystszych dziewcząt tego plemienia. Po latach oczy młodości goreć będą na wspomnienie niezłomnego milczenia Montwiła, na wspomnienie jego odpowiedzi na indagacje sędziów polowych: „Nie życzę sobie wam odpowiadać” — na wspomnienie jego okrzyków pod szubienicą do ostatniego tchu: „Niech żyje Polska niepodległa!”. Nadejdzie dzień, gdy skruszy się i ocknie niewdzięczne i okrutne serce w polskim plemienu. Wspomni ono imiona więźniów samotnych, co w czarnej nocy ducha wskrzesili męstwo w milionach niewolników i za niepodległość kraju walecznie, dostojnie, wspaniale ponieśli śmierć. Przyjdzie tu lud niepodległy i odgarnie tę ziemię mogilną. Resztkę urwanego postronka, ocalałą na gardzielach, które w minucie szubienicy wołały o niepodległość duchów i ciał, poniosą we czci przed wielkim tłumem. Złożą je w świątyni ludu. Uczynią zeń znak najwyższego dostojęstwa, relikwię, herb. Na zaklętych grobach powstań-

czych i bojowniczych zasadą różę czarującą — różę świętą, której kwiat urząd najwyższy ludu nadawać będzie, jako znak sławy, nagrodę za bohaterstwo, cnotę i geniusz. Wyznaczą dzień na pograniczu wiosny i lata, kiedy róże wypiją sok z prochów Toczyskiego<sup>25</sup>, z serca Okrzei<sup>26</sup> i kiedy wydadzą urok ich dusz nieśmiertelnie pięknych w obrazie nieśmiertelnie pięknego kwiatu. W ów dzień iść tu będą z wielkiego miasta i z dalekich wsi pochodami długimi dzieci ze szkół, śpiewając hymny wolności. Niezgasła, wyzwolenicza pieśń, która sto lat

---

<sup>25</sup>*Toczyski, Józef* (1828–1864) — buchalter w administracji dróg bitych, księgowy w Towarzystwie Rolniczym; w 1846 r. aresztowany za działalność spiskową, w 1848 r. zesłany na siedem lat więzienia na Syberię; wziął udział w powstaniu styczniowym, pełnił funkcje: referenta kontroli Wydziału Skarbowego w rządzie Karola Majewskiego, następnie kontrolera Kasy Głównej przy Wydziale Skarbu, a od grudnia 1863 r. dyrektora Wydziału Skarbu w rządzie Romualda Traugutta; po aresztowaniu był więziony w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej; został stracony przez powieszenie 5 sierpnia 1864 na stokach Cytadeli Warszawskiej wraz z Romualdem Trauguttem, Romanem Żulińskim, Rafałem Krajewskim i Janem Jeziorańskim. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*Okrzeja, Stefan Aleksander* (1886–1905) — robotnik, członek PPS, działacz niepodległościowy i socjalistyczny; działał również pod pseudonimami: „Witold” i „Ernest”; podczas ataku Organizacji Bojowej PPS na cyrkuł policyjny na warszawskiej Pradze (część akcji zamachowej na oberpolicmajstra Karla Nolkena) Okrzeja został aresztowany, następnie skazany na śmierć i powieszony na stokach Cytadeli Warszawskiej. [przypis edytorski]



kajdany dźwigała, unosić się będzie jak biały ptak nad ogrójcem różanym, lecieć między gałęzie tych drzew, we mgły nadwiśla, spadać na fale wolnej rzeki. Przeczyste, maleńkie, różane usteczka dzieci wysławiać będą przez wieki wieczne te imiona w rytmach pieśni.

ANZELM

*z zuchwałym, grubym śmiechem*

Nigdy tego nie będzie na tym miejscu! Wiecznie tu będzie kaźń, wiecznie tu będzie żandarm pluł w ślepie „walecznych” polskich wariatów i zawsze<sup>27</sup> tu, pod szubienicą będzie defilował żołdat moskiewski.

ŻOŁNIERZ MOSKIEWSKI

*pochyla się nisko, kładzie trzykrotny znak krzyża z szeptem*

Gospodi pomiluj! Gospodi pomiluj! Gospodi pomiluj!

---

<sup>27</sup>*zawždy* (daw., gw.) — zawsze. [przypis edytorski]

BOŻYSZCZE

Gdybyś miał zdolność widzenia dalekich lat świata, ujrzalbyś wielekroć, jak w ciągu jednej nocy budzi się ze snu duch narodu.

ANZELM

Ten naród nie ma ducha.

BOŻYSZCZE

Jakimże to sposobem wyłowiłeś tę śmiałą prawdę?

ANZELM

Panie! Widziałem rewolucję z wierzchu, od spodu, na wskroś i wgląb aż do samego dna. Włókna jej tajne wiązałem. Trzymałem w ręku jej postaw<sup>28</sup> i nici ostatnie. Gdy im się uchyliły drzwi prowadzące na tamtą stronę, dokąd tyle lat wzdychali, nim próg minąć, spojrzeli sobie przede wszystkim w ślepie, kto ma najpierw dopaść krzesel kurulnych, urzędów, dostojeństw, tytułów, zaszczytów i dochodów. Drzwi otworem stanęły, a oni skoczyli sobie do gar-

---

<sup>28</sup>*postaw* — inaczej: sztuka (np. sukna); starop. jednostka miary tkanin, dzieląca się na 32 łokcie (czyli ponad 15 m), choć zależnie od regionu i okresu mająca różne przeliczniki (od 27 do 62, a nawet 64 łokci po ok. 52 cm); większą jednostką była bela, licząca 10–12 postawów materiału. [przypis edytorski]

dzieli przed progiem. Różnili się nożami skrytobójczo, płacili mordercom od trupa — o to, kto pierwszy postawi krok ku wolnemu progowi. Ciemny zbójca zabijał po nocy, płatny piśmak zabijał za dnia spodłalym słowem. Począł człowiek dybać na człowieka z dymiącą bronią. Banda poczęła dybać na bandę — partia na partię. Ustała wreszcie moc tego, co ich jedno wiązało w społeczność — moc słowa. Wtedy to ktoś, a zda mi się, że to ty, o Bożyszczce — zatrzaskał zniecka drzwi.

BOŻYSZCZE

Nie przenikasz i nie rozumiesz tych spraw.  
Mów jeszcze.

ANZELM

*w zadumie*

Widziałem miasto fabryk, kurzące się od dymu strzałów. Wówczas, kiedy byłem jeszcze pacholkiem rewolucji, otoczyło wojsko dom, w którym był nasz skład broni. Powziąwszy wieść, uciekł dozorca składu wprost z fabryki, tak jak stał, w zasmolonej koszuli. Uciekła żona z ma-

łym dzieckiem na ręce. Przez siedemnaście dni kryła się w polach jesiennych. Zostało w mieszkaniu dwoje dzieci kilkolatków. Zagarnęło wojsko dzieci. Bito podrostka, lecz zmilczał. Wodziono oboje po cyrkułach, a wreszcie puszczono ich samowtór<sup>29</sup> na wabia w ulice miasta. Na czterysta tysięcy ludzi nie było nikogo, kto by im łyżkę warzy<sup>30</sup> podał w ciągu tygodni. Żyły z rynsztoka.

*nachyla się ku słuchaczowi i szeptce*

Nabrałem głębokiej, nienasyconej pogardy do tego plemienia tchórzów, niewolników, karierowiczów i obłudnych deklamatorów.

BOŻYSZCZE

Chciałbyś własną swą hańbę na nich rzucić.  
A nikogo ci nie żal?

ANZELM

Nikogo! Posłuchaj tylko, jak cieszą się teraz, że zatrzaśnięte już drzwi. Wrócili do swej gnojówki po odtańczeniu partiami *country-dan-*

---

<sup>29</sup>*samowtór* (daw.) — we dwóch: osoba, o której mowa wraz z osobą towarzyszącą. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>*warza* — gorący, gotowany posiłek. [przypis edytorski]

ce'a entuzjazmu. Kiedy my tutaj sędzimy i wyprowadzamy skazańców pod szubienicę, tańczą do białego dnia w Warszawie. Gadziny pisma-  
cze, które pluły w krwawą ranę rewolucji i ją-  
trzyły jej ogień, teraz z bagniska swego pod-  
niosły uszczęśliwiony łeb, żeby pluć w zastygłe  
oczy skazańców.

Kogóż to mam żałować? Grobów tych nie-  
mych, wyklętych przez cały „naród”? Grobów,  
jeszcze żyjących w tym oto domu, które prze-  
klina milczenie powszechne? „Partii”, rozsu-  
płanych do ostatniego węzła, z których zosta-  
ły na martwej, jałowej ziemi jeno plamy ja-  
du czerwone albo białe? Rzesz ciemnego pro-  
letariackiego mrowia — „dyktatora przyszło-  
ści” — o którym mówi nasz mądry pułkow-  
nik, że za czasu rewolucji *prychłyнуło*<sup>31</sup> do re-  
wolucji, a teraz *otchłyнуło* do ochrany<sup>32</sup>? Nie

---

<sup>31</sup>*prychłyнуło* (...) *otchłyнуło* (z ros. хлынуть: chlustać, rzucać się, wysypać się) — przychlusnęło (do rewolucji), odchlusnęło (do ochrany, tj. do tajnej poli-  
cji): masy proletariackie traktowane są tu jak płynny żywiol, poddający się przy-  
pływom i odpływom fal. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>*ochrana* — tajna policja w Rosji carskiej; pot. nazwa od: ros. Отделение по  
охранению порядка и общественной безопасности, tzn. Oddział ochro-  
ny porządku i bezpieczeństwa publicznego; utworzona w 1881 r. na mocy ukazu

byli w stanie ować narodem swoim. Jedni — gonfalonierowie<sup>33</sup> karierowiczów — chodzili do wroga po zezwolenie tłumienia rewolucji, chełpili się publicznie, że przelewali krew bratnią i zapowiadali wojnę domową. A słuchacze radośnie klaskali. Inni — socjalistyczny kler — chełpili się, że mogą oligarchiczną mocą intrygi pchnąć na śmierć, na wygnanie, na głód — ciemny, nieprzygotowany do boju, bezbronny lud, byleby pysze swej dogodzić. A lud bezbronny szedł, gdzie kazano: na szubienicę, na katorgę, pod gumowe kije, cier-

---

cara Aleksandra III, po zabójstwie jego poprzednika Aleksandra II (1818–1881); ochrona działała poprzez agentów (tzw. *filerów*), stosowała infiltrację środowisk i organizacji podejrzanych o nieprawomyślność, do jej taktyki jako służby specjalnej należało organizowanie prowokacji, z których najsłynniejszą i najbardziej brzemioną w skutki było stworzenie *Protokołów mędrców Syjonu*, rzekomo tajnej i ujawnionej publikacji zdradzającej plan opanowania świata przez Żydów; w Warszawie, podobnie jak w Moskwie, Petersburgu, Kijowie czy Odessie istniał osobny, rejonowy oddział ochrony z własnym zarządem; centrala zagranicznej agentury ochrony znajdowała się w Paryżu; ochrona została zlikwidowana w czasie rewolucji lutowej w 1917 r. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>*gonfalonier* (z wł. *gonfaloniere*: chorąży) — wyższy urzędnik miejski (początkowo: zwierzchnik milicji miejskiej) we Włoszech w okresie średniowiecza i renesansu, kiedy miasta włoskie stanowiły osobne, niekiedy potężne republiki; w XVI–XVII w. byli to cywilni zarządcy miasta (burmistrzowie) i w miastach takich jak Bolonia czy Florencja rekrutowali się z najpotężniejszych rodów; tu: *gonfalonier* iron., w znaczeniu pierwotnym, tj. dowódca oddziału (tu: karierowiczów), noszący jego sztandar (*gonfalone*). [przypis edytorski]

pieł głód w wielkim strajku i wystawiał nagie piersi na kule w ulicach. Toczą teraz uczeni panowie głęboce<sup>34</sup> dyplomatyczne dyskusje o tym, w jaki sposób ów człowiek zbity, zestrzelany, śmiertelnie chory, u którego łoża zasiedli, ma być pochowany. Nie otarli ludowi temu ani jednej łzy, nie dodali mu kęsa chleba, nie ujęli godziny męczarni trudu. Wydali go tylko na samowładzę fabrykancką, na stryk<sup>35</sup> i kańczug<sup>36</sup>. Duchu siły! Jestem nędzarz, który siłą ramienia zarabiał. Uwielbiam tylko fizyczną siłę. Jestem wyrazem i służebnikiem nie tylko potęgi caratu, ale również jestem wykonawcą woli narodu polskiego, takiego, jaki dziś na tej ziemi żyje. W milczeniu akceptował naród polski szpiegowskie prace moje. Kogóż to mam żałować? Nie ma w plemienu polskim ducha. Zagasili go panowie gasciele. Umie ono tylko

---

<sup>34</sup>*głęboce* (daw. forma) — dziś: głęboko. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>*stryk* — stryczek; sznur do wieszania skazańców. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*kańczug* — pleciony skórzany bicz z rękojeścią, wynaleziony w Anglii („kot o dziewięciu ogonach”), w Rosji carskiej, podobnie jak w Australii w początkach eur. osadnictwa na tym kontynencie, stosowany jako narzędzie chłosty. [przypis edytorski]

rozpętywać złe swoje siły. Depce w wiecznym obłądnie własną moc.

#### BOŻYSZCZE

Chwytasz, szpiegu, stąd i zowąd strzepy prawdy, ażeby sobie sukienkę zeszyć i okryć nagość podłości. Nie wiesz prawdy o ludzie polskim. Gdybyś wiedział o tym ludzie, zapomnianym przez niebo i ziemię, wszystką boleść prawdy, pękłoby ci serce z rozpaczy.

#### ANZELM

Ty wiesz prawdę. A ja byłem obcy w tym narodzie i obcy w tym narodzie był ten, którego zgniła twarz wykręciła się do mnie w ziemi i w którego sercu jeszcze drży rozpacz. Obcą nam była przeszłość i obcą była przyszłość. Urodziłem się w gnoju hańby z ojca tchórza, niewiadomego z nazwy rozpustnika i z matki sekretnej, dla zarobku na życie prostytutki. Chowałem się w zgniłym zaduchu piwnicy, pod obcasami majstra-dorobkiewicza, pod nahajką policjanta-kozaka, w cieniu nikczemnych obłud kleszej sutanny. Wywłókł mię z gno-



ju piosenką swoją marzyciel. Pokazał mi w długim, nocnym podszepcie złote łany pszeniczne, łąki kwiatem zarosłe, wielkie sprawy ludzkiego geniuszu, niepodległą ojczyznę, wolność ducha i ciała. Ale marzyciel łatwoczuający nie urodził się w gnoju hańby z matki ladacznicy, nie przeżył dzieciństwa pod kułakami i plwociną, nie był nigdy poparzonym, skopanym, bez prawa na legowisko psiakiem z podwórza, przybłądą, podrzutkiem z przytułku, ulicznikiem, którego rynsztok hoduje, przypadek karmi, a grzech weseli. Marzyciel z opisu i smutnego w przejściu wejrzenia znał dołę, nad którą ptak by zapłakał, a polskie serce nie płacze. Pchnąłem marzyciela żegadłem w piersi i stanąłem na nim, jak na pierwszym stopniu mych schodów, wiodących ku jasnym piętróm. Co bezprawie dziedziczy na mocy urodzenia, nie wiedząc o skarbie posiadany, to ja, sztuka po sztuce, z nadprzepastną świadomością musiałem wysiepywać<sup>37</sup> dzielnym ramieniem, wydeptać ze stękania konających, męstwem przebiegłym wyrwać

---

<sup>37</sup>wisiepywać (gw.) — wyrzucać. [przypis edytorski]

z pięści ściśniętych. Tak wszedłem na wierzchołek moich schodów, osiągając wolność, swobodę niezawodną ręki i swoją własną niepodległość. Swoją własną niepodległość — ha, ha! Nienawidzę imienia polskiego! Hańbę moją rzucam pod nogi idących jego pokoleń!...

#### BOŻYSZCZE

Twa mowa w sercu moim zbudziła marzenia. Chcę wyjść spomiędzy was. Chcę być sam. Idź precz — słupie błota, synu piwnicy!

*ANZELM uchyla się w mrok wielkiego muru i w załamaniach Iwanowskich Wrót, w szumie drzew — znika. BOŻYSZCZE zbliża się do słupa szubienicy, opiera się nań piersiami, oplata go obojgiem ramion. Czolo opiera na drewnie śmierci. Woła.*

Nocy!

*Wicher wyrywa z nocnych czeluści węzowisko głosów rozpaczy.*

#### GŁOSY

Dajmonionie! Ty, który posiadasz miarę przestrzeni między nieskończonością pomysłu i ni-

cestwem ziszczenia — o, mocny popleczniku  
naszego smutku w samotności!...

### BOŻYSZCZE

Przybyłem znowu. Po ziemi tej zdyszczanymi  
piersiami leciałem z dala.

### GŁOSY

Kapitanie, który czystości swej nie tracisz,  
przechodząc w poprzek złego i który masz na-  
turę złota jednakową wszędzie i zawsze — usłysz  
krzyk naszej tęsknoty w pustkowiu...

### BOŻYSZCZE

Poświęście lochów, wichrze martwogłosy, dźwi-  
gaj z padołów ból niewysłowiony, leć w łuki  
nocy, potrząsaj niebiosy<sup>38</sup>, dzwoniąc chmurami  
za umarłe<sup>39</sup> w dzwony. Nędzo, co lejesz w ka-  
mienię łzy płone<sup>40</sup>, drzewa z konary<sup>41</sup> w pust-  
kę ściągionymi<sup>42</sup>, krwawe mogiły, głębie wód  
zbroczone — wzywajcie o krzywdach ziemi.

---

<sup>38</sup>*niebiosy* — dziś popr. forma N.lm: *niebiosami*. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>*dzwoniąc (...) za umarłe* — dziś: *dzwoniąc za umarłych* (tj. raczej: *modląc się w intencji dusz zmarłych, przy czym modlitwom towarzyszy dźwięk dzwonów*). [przypis edytorski]

<sup>40</sup>*płony* (daw.) — *bezpłodny, jałowy*. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*z konary* — dziś popr. forma N.lm: *z konarami*. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>*ściągionymi* — dziś popr. forma: *ściągnięty*. [przypis edytorski]

## GŁOSY

Sędzio! Połóż na sprawiedliwej szali pracę naszą skradzioną, męstwo nasze nadaremne i wytrzymałość naszego cierpienia...

## BOŻYSZCZE

Ja, który jestem prokuratorem, obrońcą, sędzią i katem własnego serca — stoję u szubienicy.

## GŁOSY

Ty, któryś jest wiekuistą żądzą wszystkości, któryś jest wieczny głód, daremnie pożądamy, któryś jest bunt, głęboko ukryty — ratuj serca zemdlące!

## BOŻYSZCZE

O, rodzie ludzki! Nie mogę stać się niczym innym, jeno człowiekiem. Widziałem był wszystko złe, które was od wieków pożera. Nienawidzę złego, które w was jest, aczkolwiek przez wieki patrzenia w złe zrozumiałem, ja, lekarz waszej natury, że jest onym twardym i grubym nasieniem, z którego, gdy minie długa zima i wiosna wasza nastanie, dobro wypuści

kły. Spoglądam teraz w jaskinię wyolbrzymia-  
łą, jak otworzelisko wielkiego oceanu, gdzie le-  
ży głuchy sen waszego żywota. Chcę, żeby się  
przed okiem bezsennym otworzył zaczarowa-  
ny sen ludzkiego żywota, jakoby się serce wła-  
sne otworzyło moje. Na dnie niedocieczonym  
z kamiennego krzesiwa błyska znicz wykrze-  
sany ramieniem nigdy niewypoczywającej siły  
życia — wola — nasienie i owoc miliona po-  
dźwignień trudu i miliona ciosów cierpienia.

Bądź pozdrowiony, zniczu! Płomyk twój  
wydłuża się w miecz i kurczy w sztylet, cho-  
wa się w siebie, śniąc o ciosach nienasyconych,  
czeka pośród dymu męczarni. Im dłużej czeka  
w męczarni sztylet woli, tym okrutniej pożąda  
pochwy ran. Im cierpliwiej, im bezsławniej, im  
podlej w siebie się włoży, w sobie samym zmie-  
ści i zamknie, tym straszliwszy stwarza w sobie  
wysilek nienawiści. Oto jest dno. Nocy czarna!  
Odsłoń przede mną grube twoje zwoje. Bę-  
dą patrzyły me oczy przeszywające w ukryte  
twoje skarby: w tajną pochopność do dusze-  
nia sprężystymi palcami słabej gardzieli — do

walki — w nigdy niesytą chuć władzy, w ślepa, zamaskowaną wersetami doktryn żądzę wylewania krwi, w namiętność do złota i we wstydlive upragnienie rozpusty. Nocy czarna! Odkryj przede mną najcięższą zasłonę, zasłonę, za którą chowasz oczy bezsenne, rozwarte, skostniałe, gdy patrzą w zgryzotę zniweczenia zamyśłu, w popiół wystygły ogniska idei, w zgniłość posępną zastoju, leżącą na miejscu bytowania wiecznej twórczości.

Nocy piękna! Owiń ramiona moje płaszczem wieszczym. Poniesie wichur twój skinienia mych ramion przez otchłanie duszy ludzkiej. Wyciągam ramię. Nastrajam lirę — ja, odmieniający rzeczywistość, ja, który z miejsca popycham wystygłe sprawy, który powiększam rozmiary wszechświata, ja, co wyprowadzam z twardej gleby rozumu cudnobarwny kwiat marzenia, ja, skrzypek, wygrywający płomienistą melodię żądz niepokonanej.

Spływaj z mych ramion, niepokoj, trwogo, lęku! Spływaj z mych ramion wyciągniętych męstwo, postanowienie i ty, uczynku, wy-

rastający z rozpaczy! Przyszedłem na to ple-  
mię. Przypadam na nie dwojgiem skrzydeł, ja,  
zły sędzia, który wydaję wyrok wbrew sądom  
świata, ja, twardy śmiech z obłudy i dosytu,  
ja, zamaskowany gniew, ja, chorągiew ognista  
w nocy!

Uderzam w ciebie skrzydłami, kostnico du-  
chów! Tronie mój!

Pozywam cię, domu przekleństw na wielki  
pomysł, domu przekleństw na honor, na mę-  
stwo, na dumę. Kamienne urągowisko z bo-  
haterstwa, raduje mię widok twój! Więźnio-  
wie, zamknięci w tym murze, o niewiadomej  
godzinie skazani na stracenie — czyli słyszycie  
mój okrzyk nocny: Niech żyje wolny człowiek!  
Spojrzyjcie w czarne lustro moje i wzmóźcie się  
obrazem tego, czym człowiek być może, czym  
nie jest, czym był niegdyś i czym być musi!

Kocham widziadła, które ujrzycie. Kocham  
subtelność waszego snu na jawie. Kocham dreszcz  
lodowaty o każdej porze dnia i nocy, zbiegają-  
cy do waszych stóp — spłoszonych myśli pęd-  
zdziczały — loty pamięci ku matce, ku dzieciń-

stwu, ku miłości — zacieklą wytrwałość narodowej dumy, gdy ją policzkuje cios zbójcy — myśl waszą gorzką o obojętnej, niewolniczej, zamarłej ojczyźnie, na wskrós włóczęgią przebitą — i wiarę, że świt się począł, wplecioną w tortury koło. Kocham wasz dzień i waszą noc, trawioną w oczekiwaniu kroków, zwiastujących chwilę wyprowadzenia w to miejsce...

Pozywam ciebie, żołnierzu, który nosisz oręż po to, żeby nie walczyć nim nigdy, a rękoma płatnego zbira dusisz nieprzyjaciela powrozem o niewiadomej dlań godzinie. Synu ojczyzny, wyprowadzający w to miejsce samotnego człowieka bez broni...

Osądziłem! Niechaj zamiera, wygasa, kona wolność święta, miłość w łonie niosąca, piękna wiecznie. Niechaj nikczemne oszczerstwo toczy najczcigodniejszą sławę, podobnie jak robactwo toczy trupa bohatera. Wzmagaj się nienawiści sekretna, niewytrzebiona, równa sile życia i sile śmierci. Wzmóż się, ciemności! Rozszerz się, nędzo! Rozpostrzyj się wzdłuż — wszerez — wgłąb — stań się lotna i niewidzialna jak za-



raza. Niechaj nadal giną z suchot matki, zżerane nocami od kaszlu, wśród ociekających murów piwnicy. Nie dajcie im ratunku! Niechaj nadaremnie, bezsilnymi dłońmi garną ku pierś, pełnej krwawych plwocin bezdomne dziewczyny. Niech przepada bezsilne potomstwo nędzarza wpośród milionowego miasta z chorób, z nędzy wylęgłych. Niechaj rośnie w rynsztoku i pośród zbrodni, brnąc przeczystymi stopkami w kale starego życia. Niechaj wyrasta na złodzieja, ulicznicę i szpiega.

Popatrzcie w czarne lustro moje, jak wzmagają się nieśmiertelna zemsta w piersiach młodzieńców, skazanych na jarzmo wiekuistej pracy, zwrócona przeciwko młodzieńcom, skazanym na próżnowanie wiekuiste. Splećcie się w koło, młodzieńcy skazani na jarzmo zbytku, podajcie dłonie dziewczicom woniejącym od powszechnie uwielbianych cnót, przymiotów i modnych perfum. Nienawidźcie milionów motłochu, który czyha na wasze mieszkania, szaty i wonie, który cuchnie, rozwłóczy choroby, potworność najdzikszych zbrodni, niesie w oczach

śmierć spojrzeń i wieczystość zemsty. Nienawidźcie sekretnie, bez wyrzeczenia o tym jednego wyrazu, zataczając do taktu czarodziej-  
skiej muzyki uroczy tan żywota, w ogrodzie kwiecistym, wśród posągów, które dla was stworzyli posłuszni i usłużni artyści. Otoczcie się szpiegami, którzy wśród motłochu na pewno wytropią złoczyńcę. Klaskajcie w dłoń, gdy wrogowie śmiertelni waszego narodu dla bezpieczeństwa waszej zabawy wywłóczą o wczesnym poranku człowieka pod szubienicę. Jest to bowiem jedyny wasz wróg. To „bandyta”. Wdziecicie kapeć, złotem tkaną, na ramiona sługi bożego. Niechaj obchodzi w pokorze, szepcząc słowa modlitwy, siedliska i piwnice nędzy — głosząc nędzy ewangelię miłości względem bogaczy. Kurcz się i zzymaj, duchu człowieka. Zmieść się w skrytkach ogniotrwałej kasy, przytul się do puchów łoża zbytku, zostań za szybką lupa-  
naru, cofnij się i czatuj w cuchnącym mroku piwnicy. Niechaj ci rosną pazury i kły!

ŻOŁNIERZ MOSKIEWSKI

*bije pokłon i żegna się krzyżem trzykrotnym*

Gospodi pomiluj! Gospodi pomiluj! Gospodi pomiluj!

BOŻYSZCZE

Usłyszałeś mię wreszcie, ty, nabożny...

Będę cię kusił, ciemny morderco.

Pamiętasz ludzi, których pilnowałeś w więzieniu, gdy w kloace prali swe koszule, maczając je w urynie pomieszanej z ciepłą wodą spływającą ze ścian? Śmiałeś się wtedy z tych ludzi.

Pamiętasz izby więzienne we „frontach” cytadeli, gdzie kał wylewał się z kubłów, a ludzie w nim brodzili po kostki, dusząc się i padając na błoto ziemi od straszliwego powietrza kaźni?

Tyś wtedy kłuł bagnetem tych, co stawali przy kratkach, nie pozwalając, żeby zachwycić mogli lżejszego z korytarza fetoru.

ŻOŁNIERZ MOSKIEWSKI

Gospodi pomiluj!

## BOŻYSZCZE

Pamiętasz więźnia wybladłego, Czarowica, któregoś kolbą łomotał, gdy nie mógł dźwignąć się z barłogu, a gdy go podnieśli litościwsi od ciebie, leciał im na poły martwy przez ręce? Pamiętasz go, gdy później szedł w godzinie przechadzki, a poznawszy cię, pozdrowił przyjaznym uśmiechem i wesołym skinieniem głowy? Czegoś się wtedy zląkł? Czemuś wtedy zadrżał od niepojętego dreszczu przerażenia?

## ŻOŁNIERZ MOSKIEWSKI

Gospodi pomiluj!

## BOŻYSZCZE

Pamiętasz, jak ów więzień stał długo przed nagim murem i niezglębionego smutku pełnymi oczyma ścigał jesienne obłoki?

Rozmyślaj! Kiedy ty mężnie spełnisz swoją powinność, czeka cię nagroda od zwierzchności. Jeślibyś cnotliwie umarł, przyjmie cię w otwarte ramiona twój Bóg i usta twoje ucałuje Bogarodzica w nagrodę cierpień.

Rozmyślaj! Jego, samotnika, cierpień nikt nie liczy nigdzie, nigdzie! Nie ma nagrody na ziemi ni w niebie dla jego cnót. Jeżeli on służy cnocie swej aż do śmierci, to służy dla cnoty samej. Jeżeli padnie na ziemię od twojej kuli, jego ust nie ucałuje nikt. Nikt nie nagrodzi jego męstwa. On mężnym jest dla męstwa samego.

Rozmyślaj! Poza sobą on nie ma nic, co by czuwało nad jego okrutną dolą. W sobie samym musi mieć wszystko. Po coś tu przyszedł z rodzinnego sioła za siódmą górą, za siódmą rzeką? Przyszedłeś, żeby strzelać w tłumy takich jak tamten, nieznanych ci, samotnych ludzi. Czemuś oddał wolność swoją dalekiemu despocie? Czemu przebijasz bagnetem ludzi, których ci żal? Czemu pilnujesz skarbów, których nigdy na oczy nie ujrzysz? Dzięki tobie, stojącemu na mrozie, tańczą złoczyńcy w jasnych i ciepłych salach. Dzięki tobie konają na tej szubienicy ludzie, którzy cię chcieli wyrwać z niewoli. Serce twoje młode stało się siwe, zeszarałe od morderstw. Oczy twoje ślepe się stały

i martwe na wszystko jak skała. Uszy tve słyszą tylko rozkaz mordowania.

Spodobała ci się taka dola. Zamiast odwracać sochą ziemię, wolisz bagnetem obalać ludzi. Zamiast pilnować czarnej chaty w dalekiej wsi, wolisz pilnować tego gmachu, siać trwogę, patrzeć w sprawy odrażające i przez szczelinę podglądać tajemnice dziejów świata. Umiesz już dobrze mordować. Wiesz, jak należy zadawać śmierć. Spojrzałeś w sprawy wielkie.

Ucz się pilnie, jak należy wbijać cały bagnet w serce Boga. Nie zapominaj tej sztuki!

Przyjdzie na ciebie czas. Gdy wszystką potęgę swoją tyran oprze na twoim bagnecie, unurzonym we krwi Boga, zwróci się bagnet twój przeciwko sercu tyrana.

Usłyszysz wtedy w sobie śmiech mój, który widzę wszystko, który widzę daleką zemstę podłego czynu.

# SPRAWA PIERWSZA

*Cela więzienna. W głębi okno zakratowane, za-  
bielone wapnem, z wyjątkiem dwu szyb górnych.  
Drzwi z „judaszem”. Dwa łóżka przy ścianach,  
stolik i dwa krzesła. Na podłodze znać wydepta-  
ny w deskach szlak przekątny, którędy więźniowie  
machinalnie chodzą, biegają i błędzą z wolnego  
od sprzętów kąta pod oknem w wolny kąt przy  
piecu. CZAROWIC siedzi przy stole z głową opar-  
tą na rękach, ZAGOZDA chodzi po izbie. Obydwaj  
w kajdanach.*

ZAGOZDA

*śpiewa samemu sobie*

Ogarną me czoło twoje mury bezmierne,  
więzienie dalekie.

Znowu oczy utopię w mongolskim pust-  
kowiu.

Znowu śmiech wasz zobaczę, o stogi wy-  
stygłych wulkanów dookoła katorżnej fortecy.

Znów mię ciągnąć wciąż będziesz ku sobie,  
mongolska granico.

Znów od stacji ostatniej pójdę, dzwoniąc żelazem, wpośród tłumu zbrodniarzy wiorst dwieście pięćdziesiąt.

Płonać będą golenie i stopy od żelaza i kurzu przeżarte. Jak wtedy. Wiem, pustynio, ja wiem wszystko.

Będą tego łomotać kolbami żołdaci, kto z trudu na drodze upadnie. Znowu me wstawienictwo bez celu, bez skutku. Znów za bunt skatować mię każe oficer. Jak wtedy. Wiem, pustynio, ja wiem wszystko.

I spać będę twardo w gorączce, na narach<sup>43</sup> zawieszonych, wśród śmiechu tych, kogom bronił.

Pustynio, leżąca wokół głowy bezsilnej. Upały straszliwe wśród kaźni. I wy, mrozy okrutne. Strzelnice, wpuszczone do kaźni z sufitu, by widzieć z wysoka bunt w celi i krzyżowym go ogniem w zarodku wystrzelać. Ty, śmiechu straszliwy tyrana. Ty, jęku ostatni nędzara. Wy, głuche Iwany Sybiru.

---

<sup>43</sup>*nary* (daw.; tylko lm) — wykonane z żerdzi lub desek miejsce do spania, niekiedy piętrowe, prymitywne łożo. [przypis edytorski]



Słyszycie mą polską śpiewankę: Ja was się nie lękam! Ja przyjdę z uśmiechem po wtóre.

Ty „szara kobyłko” więzienna, ty ludku przeklętej od świata niedoli, w chomąta więzienne wprzężona.

Ja przyjdę z uśmiechem po wtóre!

Jak wtedy zawładną wszem ludem Iwany zbójcekie. Rząd będą sprawować. Pochwycą w swe dłonie ster władzy, pieniądze i żywność. Gotować nam będą sosnowe polana na rosół, a zyski schowają do trzosa. Będziemy powoli zamierać. Będziemy pieśń śpiewać żalosną. Bo jeśli szept spisku posłyszają Iwany sybirskie — nóż w serce.

Znów ujrzę z uśmiechem pogody wzór świata w twych murach niezmiernych zamknięty — Akatuj, Akatuj... Aż wstanę. Pchnie mię z miejsca dziedzictwo, tarcz moja, pióropusz: tworzący mój czyn. Zlepnię spisek tajemny z nędzy ludzkiej więziennej. Uzbuję go w noże. Uderzę wstępnym bojem w Iwany. Każę wykluć do nogi tyranów nieszczęścia. Znów z uśmiechem pogody nadam memu ludowi konstytu-

cję rozległą. Słuchać będę z uśmiechem pogody, jak z prawa referendum szary ludek korzysta, jak wybiera parlament, burzliwie sejmuje, ministerium ze siebie wyłania i niezłomną obęczę osacza zwierzchnictwo więzienne.

Akatuj...

Grube mury dokoła. Blanki strasznej trwałości.

Lecz mocniejsza od murów jest ma dusza samotna. Z samej siebie ma dusza tarcz swoją, kask własny — osłonę samej siebie ma z siebie. Moja dusza pogardziła cierpieniem. Moja dusza podeptała żal, gniew i pogardę.

Krótki jest miecz cierpienia i mej duszy nie może dosięgnąć przez tarcz moją, przyłbicę, przez żelazne osłony mych ramion. Długowieczne jest zdrowie mej duszy, którym<sup>44</sup> wzgardził rozkoszą i wzgardził zgryzotą. Wyjdę znowu na twe mury po wtóre, ja zdrowy — Akatuj, Akatuj...

Pocznę z braćmi po nocy żłobić komin tajemny w twoim murze niezmiernej grubości.

---

<sup>44</sup>*którym wzgardził* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika, inaczej: który wzgardziłem. [przypis edytorski]

Wasza grubość, o mury, raz się przyda więźniowi. Bo im grubsze są mury — przestronniejszy nasz komin. Aż spod dachu kuć będziem<sup>45</sup> nocami na wskroś komin ku ziemi. Głuche cegły wyłupiemy rękoma, suche wapno wyskrobiemy szponami, wyniesiemy gruz ostry w rękawach, na piersiach, pod połami więziennej opończy. Zimne twoje kamienie wyważymy po nocy palcami krwawymi. W czarną sztolnię na powrozie skręconym o północku kolejno iść będziem. Przewiercimy tve ściany z góry na dół aż do ziemi okrutnej sybirskiej. Ziemię głuchą podkopiemy chodnikiem tajemnym na sążni piętnaście. Wyniesiemy twą ziemię w rękach, na ciele, za pazuchą, pod sukmaną więzienną. Wydrapiemy twą ziemię, o sztolnio ucieczki, wymoczymy ją potem, wygryziemy zębami. A gdy droga podziemna poza mury wybiegnie i ku sopkom<sup>46</sup> wulkanu się zbliży — wskaże zdrajca tajemnicę setki nocy za pieniądź. Jak wtedy — o ma duszo — jak wtedy.

---

<sup>45</sup>*będziem* (daw., gw.) — skrócone od: będziemy. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>*sopka* (z ros.) — wzgórze wulkaniczne. [przypis edytorski]

Wejdzie wojsko po nocy. W puste cele bagnetem uderzy. I wywleką nas z nory jak kre-  
tów. A postawią nas rzędem popod ścianą nie-  
zmierną. Pod twą ścianą szyderczą i zimną —  
Akatuj, Akatuj...

Witam twoje milczenie, o zagrodo straszli-  
wa. Witam siłę twą martwą w pustyni. Przyjdę  
wesół i czerstwy. Przyjdę twardy i młody, jako  
ty, niezwalczony — Akatuj...

CZAROWIC

Co ty śpiewasz?

ZAGOZDA

Nic ciekawego.

CZAROWIC

Noc znowu.

ZAGOZDA

Noc.

CZAROWIC

Nuda...

ZAGOZDA

Staraj się koniecznie wytracać w sobie nu-  
dę przez cierpliwość, obojętność, skupienie we-

wewnętrzne i rozważanie logiczne. Inaczej nie zniesiesz wszystkiego.

CZAROWIC

Cierpliwość, obojętność, skupienie, rozważanie... Czy jest co gorszego nad nudę więzienną, nad miesiące, kwartały, półrocza, lata nudy?

ZAGOZDA

Wydaje mi się, że jest wiele rzeczy nieskończenie gorszych.

CZAROWIC

Mianowicie?

ZAGOZDA

Po pierwsze — choroba fizyczna, jeżeli wyrok opiewa: „z pozbawieniem lekarza i prawa do lekarstwa”.

CZAROWIC

Jeżeli choroba z gorączką, jeżeli przytomność umysłu jest zniweczona, to choroba fizyczna staje się dobrotliwym skróceniem czasu.

ZAGOZDA

Paradoks. Po drugie — niepokój ducha wywołany przez wyrzuty sumienia.

CZAROWIC

No, a cóż jeszcze, co jeszcze?

ZAGOZDA

Po trzecie — tęsknota, której przedmiot nieustannie i nieuchwytnie ucieka w dal.

CZAROWIC

No, a jeszcze?

ZAGOZDA

Wydaje mi się, że reszta jest już lepsza od nudy więzienia. Machiavelli utrzymywał, że nuda gorsza jest niż troska, niż nędza, niż rozpacz, niż choroba, nawet niż śmierć. Lecz to włoska przesada. Nuda więzienna może być skutecznie znieczulona przez cierpliwość i obojętność. Skupienie wewnętrzne i jak najściślej logiczne rozważanie poza pancierzem cierpliwości i obojętności wytworzyć może w przestrzeniach nudy wartości wyższego porządku. To, co nazywamy pospolicie nudą, powinniśmy przeista-

czać na przymiot duszy, nieznanym ludziom chodzącym na świecie w wolności.

CZAROWIC

Szkodliwi wy jesteście, szkodliwi niewymownie, ludzie, którym wszędzie dobrze!

ZAGOZDA

A szkodliwi dla kogo?

CZAROWIC

Dla siebie i dla świata.

ZAGOZDA

Ludzie, którym wszędzie dobrze, nie są bynajmniej szkodliwi, ani dla siebie, ani dla świata. Żywi się świat i poi wesołością tych, którym wszędzie dobrze. Są oni jak halny wiatr w Tatrach, któremu dobrze jest na iglicach szczytów i dobrze w padolach niziny. Gdyby nie ci ludzie, świat by się zatęchł w ociężałym, przydługim, ciepłym spokoju.

CZAROWIC

Dobra jest cicha, spokojna, do logicznych rozmyślań pobudzająca cela więzienna. Dobra była indywidualna cela cytadeli, dla każdego

dziedzica polskiego indywidualizmu osobna — jedyna niewątpliwa własność polska — i dobra jest cela gromadzka, powstała w miarę rozwoju wyobrażeń socjalistycznych, nie moja, ani twoja, ale nasza, gminna, ratuszowa. Dobre są kajdany — i dobry szeroki gościniec sybirski. Dobra jest ojczysta troska, która nie zapomniała przysłać nam podkajdanków, wytańczonych z entuzjazmem przez najlepsze narodowe nogi, żeby nie do samej kości żarło moskiewskie żelazo.

#### ZAGOZDA

Dobre są kajdany. Jakoby stylus ostrokończysty, jakoby igła magesowa biegają po cieple ułomnym wciąż, tam i nazad, tam i nazad, wskazując wieczny cel i pisząc na nim, złobiąc głęboko prawdę niezmienną.

#### CZAROWIC

Piszą tę ohydłą prawdę niezmienną: spełniło się!



ZAGOZDA

Czyliż nie to się właśnie spełniło, o czym tylekroć głośiły twe usta? Zakuto cię w kajdany. Przestałeś wreszcie być szlachcicem z rodu i pochodzenia, filistrem z przyzwyczajień, inteligentem, quasi-robotnikiem, odzianym *en bourgeois*. Stałeś w rzędzie tych, co mają z rodu i przeznaczenia ręce, jak korzenie, a sami podobni są do pniów i konarów, którzy idą za nami krok w krok, wielką rzeszą, wołając raz wraz: idziemy za wami, my, krzywda!

CZAROWIC

Czyliż tym rzeszom niezbędnie jest potrzebne moje męczeństwo?

ZAGOZDA

Człowiek w miękkie szaty odziany to co innego niż człowiek w przepoconej koszuli, w brudnej sukmanie i cuchnącym kożuchu. Mularz z rękoma chropawymi od zaschłego wapna i parlamentarny mówca z atlasowymi dłońmi — to tylko na pozór ta sama falanga ludu. Socjalistyczny poseł do parlamentu, pobierający dziesięć rubli czy guldenów dziennie, i nędzarz

ze zdartymi od pracy dłońmi, głosujący posłusznie na parlamentarnego towarzysza, to zabawne kłamstwo towarzyskie. Nareszcie nikt ze skrzywdzonych nie będzie mi niczego zazdrościł. Na mój honor proletariacki — niczego! Nikt nie wyrzekł się więcej niż ja. Ani jeden proletariusz nade mnie! Społem się kajdanami z proletariatem, odkupiłem duszę swoją od szatana — i już żelaznej mocy tego spoidła nic na ziemi nie rozerwie. Nawet zimna w Sybirze mogiła. Tak to będzie razem — słowo i czyn.

CZAROWIC

Czyliż dotychczas nie byłeś z nim spojony? Trzy lata *Krestów*, osiem lat wygnania na najbardziej dalekim osiedlu ludzkim, ciężkie roboty, dwuletnia, bezsenna praca w ogniu rewolucji, wyrzeczenie się prawa do izby, do łóżka, do własnego surduta, butów i czapki, wyrzeczenie się imienia i rodowego nazwiska? Jeszczeż ci mało, niewolniku poświęcenia?

ZAGOZDA

Słowo „niewolnik”, zdaje mi się, nie pasuje do mnie. Nie byłem niewolnikiem nazwiska, domu, izby, łoża, czapki, surduta, butów. Nie jestem również niewolnikiem poświęcenia. Zaraz tego dowiodę.

CZAROWIC

Nie dowiedziesz tego, żebyś nie był niewolnikiem naszego sposobu działania. Musisz działać tylko tak, a nie inaczej. Nasze idee zdążają wciąż tą samą drogą, prowadzącą nie do zwycięstwa, lecz do kajdan. Zaczynając naszą pracę, wiemy jak przez sen, że nie my przerozbimy nasze idee na siły twórcze, żywe, funkcjonujące jak maszyny, lecz wciąż sennie pamiętamy o tym, że idee zwyciężą nas i podadzą nasze ręce w bezużyteczne żelaza. Tu jest rdzeń naszej niewoli.

ZAGOZDA

Na pozór wydaje się, że masz słuszność, a przecież, dzięki temu właśnie biegowi spraw, zdobywamy naturę wichru halnego, stajemy się wyzwolencami z niewolników ziemi, szerzymy

dziedzinę ducha. Niewolnicy ciała wiążą nam co prędzej ręce i nogi, gdyż im się zdaje, że wiążą i niweczą naturę ducha.

CZAROWIC

Nie możesz zaprzeczyć, że jesteś fanatykiem ideału cierpienia.

ZAGOZDA

Mylisz się. To, com przeżył w więzieniach, w tundrze, w rewolucji nie zawierało większej ilości cierpienia niż normalne życie innych ludzi w puchach, atłasach, kortach, wśród bałów, dorabian się, urzędowań. Były to epizody mego życia, rozdziały pięknej tragedii. O ileż nieszczęśliwsi ode mnie byli chorzy milionerowie, biedni niewolnicy złota w Monte-Carlo i wszyscy ci, którzy idą za zyskiem. Tymczasem ja byłem niejednokrotnie głęboko szczęśliwy. Jakiś list z kraju, pamięć kogoś z dawnej gromadki młodzieńczej... Byłem sam — w lasach, wobec ogromu pustkowia, wobec tamecznych niezmiernych rzek, wobec szeroko jak niebios rozpostartych jezior. Pragnę jeszcze raz

zobaczyć sybirskie jeziora. Zaniósłbym im teraz nową, groźną wieść o rodzie ludzkim. Często widzę we snach tamte wody. Błękitna ich toń spływa na serce moje cichą pociechą. Czy też wiatr znad tamecznych wód zaprzeczy moim wieściom, zaśwista mi jeszcze nad uchem dawną piosenkę: słuchaj, na ziemi rodzinnej już wszystko teraz inaczej, inaczej, inaczej! Już wstała ze snu świętość. Już wyciągnęła wszechmocne ramiona...

#### CZAROWIC

Chcesz żyć w złudzeniu. Wolisz to niż własnymi rękoma przekształcać to zbiorowisko szaleńców i ślepców.

#### ZAGOZDA

Wyzucie się z wszelkich dóbr, z morgów, nadwartości, domów, mebli, odzieży, zabaw — prowadzi do równowagi sił, do władania sobą, do wewnętrznego spokoju i do potęgi. Gdym sam jeden stanął wobec ogromu potrzeb, zniknęły powoli potrzeby jedna za drugą, a ubywanie każdej z nich karmiło ducha i dawało mu

obleczenie wesela. Trwały w mym życiu czas, gdy byłem potężnym, samotnym duchem. Tamtejsze sybirskie puszcze — czyjeż są? Moje, którym je przemierzył, przejrzał i uczuciami wziął w duszę. I ta ziemia wszystka jest moja. Wywalczyłem, podbiłem i wziąłem w posiadanie obydwie. Jestem królem tu i tam.

### CZAROWIC

Złudzenie. Stare, znane światu złudzenie. Stara, znana światu samoobluda. W jednym z pokojów Watykanu widziałem napis nade drzwiami: *Servire Deo — regnare est*<sup>47</sup>. Złowieszczy paradoks, pisany może ręką fanatyka, który się świata wyrzekł z zapalem Savonaroli<sup>48</sup>.

---

<sup>47</sup>*servire Deo regnare est* (łac.) — służba Bogu jest tym samym, co władanie.  
[przypis edytorski]

<sup>48</sup>*Savonarola, Girolamo* (1452–1498) — wł. reformator religijno-polityczny, kaznodzieja; krytykował papieżstwo, podważając doktrynę o nieomylności papieża w sprawach wiary, a także atakując szerzący się w Kościele nepotyzm, przekupstwa, lichwę, upadek moralny większości duchowieństwa (Savonarola był współczesnym papieża Aleksandra VI); cenili go Niccolò Machiavelli jako godną szacunku i wybitną jednostkę, której udało się przykładem własnego wstrzemięźliwego życia oraz naukami zjednać tłumy; przez Kościół katolicki Savonarola uznany został za heretyka i schizmatyka oraz skazany na śmierć, wyrok wykonały władze miejskie Florencji 23 maja 1498 r.: wraz z dwoma towarzyszami skazaniec został publicznie powieszony na szubienicy, następnie ciało spalono na stosie, a prochy wrzucono do rzeki Arno, aby nie pozostały po nim relikwie; święty

ZAGOZDA

Nic nie wskórasz tym porównaniem. Czyliż nie widzisz, jak człowiek nowoczesny usiłuje wydrzeć się ze swego ciała, wylecieć ze swej skóry, wyrosnąć na ducha i olbrzymimi pracami ponurą ziemię przemienić na radosne niebo?

CZAROWIC

Czekaj, aż ci z ziemi wyrosną niebiosy!...

ZAGOZDA

Świat rozpada się na dwa odłamy: na obozowisko widziadeł wydzierających się w niebo i na królestwo roślin coraz bardziej wrastających w ziemię. Lecz coraz więcej z królestwa roślin wyfruwa motylów ducha. Każdy z nich staje się królem. Świat nowoczesny zmierza do tego, iż będzie areną czynów władczych. Bezsilny poeta, samotny, chory chłopiec, Keats<sup>49</sup>, który na pewno nie rozkazywał

---

kościół anglikański i mariawicki; w kulturze polskiej funkcjonuje także spolszczona wersja jego imienia: Hieronim. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>Keats, John (1795–1821) — twórca zaliczany do drugiej generacji ang. poetów romantycznych (wraz z Byronem i Shelley'em), cieszył się dużą sławą już za życia, mimo że jego utwory zostały opublikowane zaledwie cztery lata przed śmiercią

służącemu, jest niewątpliwym władcą świata na przeciąg wszystkich wieków jego trwania. Nikomu nieznanemu wynalazca może w tej chwili, gdy to mówimy, wynajduje sposób owładnięcia mocarstwami ziemi. Niegdyś tylko monarcha miał prawo do niezgadzenia się na porządek świata, sprzeczny z jego wyobrażeniami, dziś prawo to chwyta w dłonie każda oświecona jednostka.

#### CZAROWIC

Naród nie może przeistoczyć się w obozowisko widziadeł takich jak ty. Ludzie muszą uwielbiać życie, rozwijać celowo siły, kształtować czyn, tworzyć bogactwa, zdobywać je dla pięknych kobiet i wśród powodzenia używać owoców pracy. Z tego się tworzy kultura ziemi.

#### ZAGOZDA

Nie wiem, co to jest naród.

---

i niechętnie przyjęte przez krytykę; zmarł 23 lutego 1821 r. w Rzymie na gruźlicę.  
[przypis edytorski]



## CZAROWIC

Naród jest tym, co w zbiorowiskach ludzi na globie ziemskim jest najbardziej istotnego, najściślej prawdziwego. Bytowanie narodu jest najistotniejszą prawdą i najgłębszą tajemnicą. Uczucie miłości dla narodu swego jest niepojęte a niespożyte, tak samo jak uczucie miłości dla rodziców i rodziców dla dzieci. Podobnie jak w nas żyje nasz ojciec, dziad i pradziad, tak samo w narodzie żyje wiecznie i trwa jego przeszłość, prężą się siły, czyny, żądze i idee nadziadów, wieczyście wstające z martwych. Podobnie jak drży serce wobec grobu rodziców, drży serce wobec niezgłębionej przeszłości narodu.

## ZAGOZDA

Powtórz to czujące słowo Rusinom we Lwowie, Litwinom w Wilnie...

## CZAROWIC

Przedewszystkim muszę je powiedzieć tam, gdzie je czuję istotnie i najgłębiej, to znaczy zdeptanemu narodowi polskiemu.

## ZAGOZDA

Ja należę do ludu wszystkim, co we mnie jest z ducha. Nie chcę uznać w sobie i kultywować świadomości dziedzictwa przemocy, tradycji gwałtów nad ludem. Dawno ze siebie tę roślinę wyrwałem i zdeptałem nogami. Nie chcę należeć do narodu, jeżeli do niego należy prawo tyranii i gwałtu nad ludem. Tam, gdzie stoi ostatnia zagroda nędzarza, mówiącego z prawieków chłopską swoją, polską mową, biegniecie teraz po ratunek, aby wam zgniły jego barłóg wytknął granice państwa, gdy was zawiodły wszystkie pańskie wymysły: racje stanu i stany posiadania. Wpatrujecie się oczyma ślepymi z bólu w mądrość i moralność panów z Berlina, Petersburga, Wiednia i Pesztu, ażeby ją wszczepić w siebie. Ale polityczne szalbierstwa myśli o wyższości Niemca nad Polakiem, Polaka nad Rusinem, Madziara nad Chorwatem i Słowakiem — mijają w czasie. Lud zostaje wiecznie. Przetrwał Rzymian, przetrwa Niemców i Madziarów. Mija

Cezar, Barbarossa, mija Moskal Murawiw<sup>50</sup>  
i Niemiec Bismarck<sup>51</sup>. Lud zostaje wiecznie.  
Pozdrawiam was, biedne słowiańskie wioski mię-  
dzy Bałtykiem i Adriatykiem! Usłyszą kiedyś  
panowie w Berlinie, Wiedniu i Peszcie, którzy

---

<sup>50</sup>*Murawiw, Michaił Nikołajewicz* (1796–1866) — konserwatywny, nacjonalistyczny polityk ros., hrabia, uczestnik wojen z Napoleonem I (1812–1814), ranny pod Borodino; jako urzędnik carski (wicegubernator witebski 1827, gubernator mohylewski 1828, gubernator grodzieński 1831, gubernator kurski 1835, gubernator wileński 1863) dążył do unifikacji podległych mu prowincji, dawnych ziem Wielkiego Księstwa Litewskiego z Rosją, zwalczając przy tym wszelkie wpływy polskie w 1863 mianowany generał-gubernatorem na Litwie, z nieograniczonymi pełnomocnictwami i zadaniem stłumienia powstania styczniowego; stosował odpowiedzialność zbiorową i terror, zyskując przydomek „Wieszatiel”. Brał udział w tłumieniu powstania listopadowego na Litwie. W 1835 r. został mianowany . Zasłynął tam skutecznym ściąganiem zaległości podatkowych. Wyrobił sobie opinię urzędnika bezwzględnie egzekwującego wszelkie obowiązki państwowe, stosującego przy tym twarde metody postępowania. W 1839 r. został członkiem tajnej rady cesarskiej i dyrektorem departamentu podatkowego. W 1842 r. otrzymał godność senatora i otrzymał kierownictwo korpusu geodezyjnego. W 1849 r. wszedł do Rady Państwa otrzymując jednocześnie stopień generała lejtnanta. W 1857 r. został ministrem dóbr państwowych. Już w latach 30. i 40., działając w Komitecie opracowującym nowe sposoby zarządzania chłopami skarbowymi, był zwolennikiem utrzymania poddaństwa chłopów. Teraz również sprzeciwiał się przygotowywanej reformie włościańskiej. Gdy nie udało mu się zapobiec projektowi objęcia uwłaszczeniem również chłopów państwowych, podał się jesienią 1862 r. do dymisji. generał-gubernator wileński w czasie tłumienia powstania styczniowego (1863–1865). [przypis edytorski]

<sup>51</sup>*Bismarck, Otto von* (1815–1898) — niem. polityk konserwatywny, jako premier Prus doprowadził do zjednoczenia państw niemieckich (1871), w powstałej Drugiej Rzeszy pełnił funkcję kanclerza; prowadził pozbawioną sentymentów politykę z pozycji siły, zyskując miano Żelaznego Kanclerza. [przypis edytorski]

się waszym trudem chłopskim żywią od wieków, wżgardzoną waszą mowę! Odpowiedz mi — pod jakąże to chorągwią mam stanąć ze stańczykiem<sup>52</sup>, ugodowcem, z ugado-endekiem<sup>53</sup>, którzy znieważają wszystko, za co ja wydałem życie na tyle ran? Co mnie — oprócz języka — z nimi łączy?

CZAROWIC

Dola polska.

ZAGOZDA

Nie uznaję doli! Jestem szermierzem wiecznie walczącym. Walczę z ideami, z tłumami wrogów i z tłumami tych, za kogo walczą. Nie poddaję się wrogowi nigdy! Przenigdy! Za żadną cenę nie wejść z nim w kompromis, nie ustąpię mu ani jednego z mych żądań, ani jednego strzępa<sup>54</sup> mojego świętego sztandaru! Cią-

---

<sup>52</sup>*stańczyk* — członek konserwatywnego stronnictwa w Galicji, reprezentującego program ugodowy wobec Austrii, sprzeciwiającego się ruchom wyzwolenicznym, niepodległościowym; na przełomie XIX i XX w. krakowscy konserwatyści skupieni byli wokół czasopisma „Teki Stańczyka”. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>*endek* — zwolennik a. członek Narodowej Demokracji, partii polit. na początku XX w. opowiadającej się za działaniami legalnymi w ramach cesarstwa rosyjskiego, członkowie endecji byli posłami w ros. Dumie, podobnie jak galicyjscy „stańczycy” w parlamencie Austro-Węgier. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*strzępa* — dziś popr. forma: strzępu. [przypis edytorski]

gnę pług ku niezoranyim rolom, których nie-  
szczęsny lud orać nie umie. Idę ku nieznanemu  
światu. Gdy ów świat zostanie odkryty i zaora-  
ny, zjawią się tam tłumy waszych eksploatato-  
rów, konkwistadorów, handlarzy i, na zasa-  
dzie racji stanu i stanu posiadania, obejmą go  
w dziedzictwo. Nie masz wątpienia. Ale wów-  
czas przyjdą inni, oracze i pastuchy przyszłości,  
którzy się wydrą z ojczystych klet i pójdą ku  
nowym rolom. Nie uznaję doli. Kiedy w Wil-  
nie zamknięty byłem w więzieniu, znieważył  
przy mnie towarzysza oficer żandarmerii. Znie-  
wazyłem żandarma. Rzucił się na mnie i wy-  
mierzył mi policzek. Rzuciłem się na niego,  
powaliłem na ziemię i spoliczkowałem. Soł-  
dacką siłą wrzucono mię do ciemnicy na dwa  
tygodnie. Nałożono kajdany. Ciemnica — by-  
ła to ocementowana jama pod ziemią. Okien-  
ko miała w górze. Po dziesięciu dniach spadłem  
z ciała i nie mogłem ruszyć się z barłogu. Bran-  
solety kajdan przesuwwały mi się lekko po całej  
ręce, aż do ramienia. Gorączka mi spaliła cia-  
ło. Nic nie jadłem. We snach, które mię wtedy

nawiedzały, pamiętały mi się jeno słowa dewi-  
zy naszego starego herbu: „Nikt nade mnie!” ...

CZAROWIC

*z ironią*

Tak — trudno nam jest zapomnieć o her-  
bach...

ZAGOZDA

Ani jeden proletariusz nade mnie! Jestem  
pas transmisyjny, który w ruch puszcza koła  
i tryby nowego świata. Gdybym ja stanął, sta-  
nąłby świat.

CZAROWIC

Ciemnica... Ciemnica... Pamiętasz nadokien-  
ny tryptyk Rafaela w Watykanie? Uwolnienie  
świętego Piotra z więzienia. Trzecia część, gdy  
święty wyszedł już z ciemnicy i ma zstępować  
ze schodów w towarzystwie anioła... Wspo-  
mniało mi się teraz, gdyś mówił, owo brater-  
stwo człowieka z aniołem, stowarzyszenie się  
ich dwu, ramię w ramię. Święty Piotr idzie ra-  
dosny nie dlatego, że staje się wolny, lecz dla-

tego, że idzie z aniołem. We fresku tym pokazana jest radość wypływająca ze świętości, pokazane jest to właśnie, czym jest świętość. Wychodzić z więzienia w towarzystwie anioła, zstępować ze schodów do niezmiernych, nowych, boskich prac! U ramion wyrastają skrzydła... O, radości! Powiedz mi — wszak widziałeś zenit rewolucji, przeżyłeś na dnię moskiewskiego więzienia najczarniejsze godziny niewoli, czy wyjdzie kiedy Polska ze swego więzienia w towarzystwie anioła, żeby zstąpić do niezmiernych, boskich prac?...

#### ZAGOZDA

Polska! Wieczny „romans” Mochneckiego... A jaka jest główna intryga i wewnętrzna treść „romansu”? Czy znowu nie wielkopański najazd na chłopstwo ruskie i litewskie, czy znowu nie przemoc nad Żmudzią i żydostwem? Spójrz w praktykę współczesnego państwa Węgier. Przypatrz się z bliska nikczemnym pazurkom, które pod serce słowackiego chłopca zapuszczają każdy do Pesztu przybłąda, byleby so-

bie za tani pieniądź nabył w urzędzie prawo do renty z madziarskiego patriotyzmu. Przypatrz się, jak tam umiejętnie, parlamentarnie katu- ją życie narodów, wgniatają w ziemię z trudem tworzące się kultury, jak pozdzierali odwiecz- ne nazwy siedlisk tubylców i poprzekręcali je na swoje. Zorganizowana według „prawa” na- paść na swobodę, na cudzy dom, słowo, szko- łę, obyczaj, oświatę, prasę, naukę, wdarcie się przemocą w polskie góry, a poprzez chorwac- kie plecy, w cudze morze, zlegalizowana kra- dzież cudzej ziemi, grosza, chwały i duszy — to Węgry, to ta sprawa, za którą tyle czcigod- nej krwi — z polskiego boku wyciekło w zie- mię. Przejdź się dziś po stolicy tych parwe- niuszów, po małpiarskim kramie, po tym ży- dowskim zachwycie, z pośpiechem, za wydarty pieniądź zastawionym banalnymi monumen- talnościami, wspomnij im o Polsce... Szwo- leżery, kosyniery, krakusy... Granice, celnicy, fortece, straż. Więzienia. Kajdany, ministro- wie, agenci dyplomatyczni i mnóstwo deputa- tów. Racje stanu i stany posiadania... Czyś sły-



szął dobrze, jak stęka w pracy, jak hula, wyje z bólu, jak wyjawia głupotę swoją polski chłop z cuchnących, dzikich wsi — jak się wije w męczarni przez całe psie swoje życie i jak zdycha przy stalowym kadłubie maszyny, gilotynie swojej — polski robotnik? Oto jest moja Polska. Ona wyjdzie z ciemnicy do niezmiernych, boskich prac.

CZAROWIC

Wieczna wasza „dyktatura” proletariatu. *Somnia vigilantium*<sup>55</sup>. Jakże się ta dyktatura dokończyć może podczas panowania moskiewskich żołdatów?

ZAGOZDA

Nie chciałbym widzieć dyktatury żołdatów z białymi orłami na kaszkietach. Ty śnij o nich na jawie. Jestem już znużony — będę spał.

CZAROWIC

Śpij. Ja nie mogę.

ZAGOZDA *kładzie się na swym łóżku, okrywa z głową.* CZAROWIC *blądzi po celi z kąta w kąt,*

---

<sup>55</sup>*somnia vigilantium* (łac.) — sny głodnego; por. Iz 29:8. [przypis edytorski]

*po wydeptanej przekątnej linii, usiłując stąpać na palcach i tłumić pobrzęk kajdanów. Spostrzegłszy, że ZAGOZDA twardo zasnął, staje przy oknie i długo patrzy w nocne niebo przez górne szyby. Czepia się rękami krat.*

Czemu ty płaczesz, ślepa szybo, czemu ty wzdychasz, głuchy murze? Słaniasz się za mną, cieniu śniady, wstępujesz w moje dzwonne ślady, gardziel mi ściskasz dłońmi dwiema, szepcząc, że jej na świecie nie ma... Czemu ty płaczesz, ślepa szybo? Pamięć w kochane strony lata — i wraca martwa z końca świata... Jakże mam stworzyć rysy twoje w głuchej ciemnicy zapomnienia? Kto mi odwali mur z kamienia, kto mi odemknie z blach podwoje, by mogły wstąpić w kaźni progi z stron zapomnienia twoje nogi?...

*opiera głowę na kracie okiennej. Długo rozmyśla*

Dusza moja podobna się stała do tych, które teraz oglądam, nie widząc oczyma, źle uprawnych pól, porzniętych w tysiączne działki — do wiosek zastawionych brudnymi chałupami. Je-

stem w niewoli, jak ziemia. Ze mnie są te chałupy i ludzie niemocni, przykuci do straszliwej nędzy przewracania nieczułego gruntu, wzruszania go modlitwą i postem, żeby przyczynił chleba. Ze mnie jest pycha pałaców, pełnych nudnego przepychu, gruboskórnego sobkostwa, herbowo-tradycyjnego zdzierstwa, patriarchalnego przesądu, kruchcianej obłudy i pawio-papugizmu europejskości. Ja to jestem — tamte, polskie, wyboiste drogi wiodące do miejsc, przez wieczną nieodmienność, przez zastój, przez upadek — wieczyście smutnych. Nienawiść i gniew jest we mnie, jak jest złogami wiecznymi leżący gniew w duszy ciemnego chłopstwa przeciwko krzywdzie prastarej. Przeżyję moje życie tak samo, jak je przeżywa martwa niewolnica, polska ziemia. Nic na lepsze! Żadnej odmiany! Nic z tego mocarstwa, które jest w niej i we mnie, nic z rozrostu, czyhającego na swą wiosnę... Polska, zastój, nędza i ja — to jedno. Role moje nieszczęsne — czyliż was nie przekopię rowami, nie zorzę, nie zabronuję, nie zasieję, ja, wasz oracz — który zaprzysiągłem sobie

wszystko wykonać? Wsie moje, żałośnice, którym<sup>56</sup> przysiągł popalić z robactwem, z chorobami, z głupotą i przesądem! Ściany bielone, dachy słomiane, co je deszcz zżera, a wicherszarpie, strzechy przegniłe, głodnemu bydłu na wiosnę za karmę służące! Jakże zdołam zabudować szerokie rozłogi szczęśliwym, widnym, pięknym domostwem, ludzi wolnych godnym? Jakże to mam sprawić, żeby znikł z ziemi chłop gnuśny z niedoli, czarny od brudu, ciemny, półpijany zawsze, nieszczęsny mój brat, mój ojciec, rana mojej duszy — i żeby znikł z bogacyny pan, pyszny z opłakanej doskonałości swego położenia, niewolnik dobrowolny? Jakże to mam sprawić, żeby podraستاła rasa ludzi zrównanych w posiadaniu dobra, synów wolnego kraju, twórców świętej pospolitej rzeczy?... Jakże wytrzebić z dusz stuletnie zmartwienie polskie, tchnąć w rzesze wolę czynną, w której każdym akcie byłaby myśl rządząca? Jak skru-

---

<sup>56</sup>*którem przysiągł popalić* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika, inaczej: które przysiągłem popalić. [przypis edytorski]

szyc' zdołam i zdjąć z dusz pieczęć państwa i pieczęć chłopstwa?

Matko moja, ziemio polska!

*szarpie z wściekłością kraty okienne*

Puśćcie mię, kraty! Puśćcie mię! Puśćcie mię, kraty! Mam do wykonania niezmierny ogrom prac. Czas mi ucieka. Tygodnie, miesiące, lata mi lecą. Mam od krańca do krańca naród polski przeorać. Mam do postawienia tysięcy szkół, mam do wyćwiczenia tysięcy nauczycieli. Stoją niedomurowane ściany moich szkół, gdym odszedł. Dachy mi zaciekają. Wałą się mokre sufity. Zlasowało się na deszczu porzucone wapno. Złodziej rozkrada cegłę. Gniją mi belki i tarcice. Pije w monopolu cieśla zawiedziony, wałęsa się zgłodniały mularz — a Moskal dziecięcy spieszące rozgania.

Półtora roku tu siedzę. Schną z bezczynności moje ręce. Rwą się do roboty ramiona. Wysycham z tęsknoty do tworzącego trudu. Szarpie się coraz silniej serce. Mam sypać drogi poprzez piachy mazowieckie, mam rznąć rowy przez błota podlaskie. Tysiąc założyłem towa-

rzystw. Tysiąc sklepów puściłem w ruch. Rozkradną własny towar ciemno-szaleni współwłaściciele. Rozejdą się zawiedzeni spółnicy. Plączą się między martwymi ścianami kolana moje. Pęka mi głowa od nawału podjętych zadań. Milion myśli ogniem w niej płonie.

Stoi ziemia moja, jak wdowa, czekając, kiedy dam hasło, że idę. A ręce, lecąc do dzieła, trafiają w mur, głowa uderza o kratę. Puśćcie mię, kraty!

*Słysząc stukanie w lewą ścianę z celi sąsiedniej, gdzie zamknięty jest więzień, nazwiskiem DAN. CZAROWIC nachyla się, przykłada ucho do ściany i mówi na głos zdanie odczytane.*

„Znalazłem dziś w nocy tajemnicę ognia. Daj mi możliwość ucieczki. Muszę do laboratorium!”

*śmieje się gorzko, stukając w ścianę odpowiedź  
Stań się prowokatorem.*

*wraca do swego okna*

Mam zbudować z nowoczesnych przedsięwzięć niepodległość wewnętrzną narodu. Mam, jakoby śrubę zmocowaną mutrami wwiercić w ten

naród rozluźniony, rozlatujący się, jak mokre mury mej szkoły — to hasło jedyne. Mam hasło niepodległości wpracować w trudy polskie, zakląć we wszystkie wysiłki, mam ją wszeptać w sztukę nowoczesną. Mam to krótkie, proste, jedyne prawo oddać ludowi. Będę jak pies czekał to hasło po nocy dookoła siedlisk ojczyzny, żeby go nie przespała w swym gnuśnym śnie.

*Słysząc ponowne stukanie DANA. CZAROWIC przyklada do ściany ucho i czyta.*

„Znalazłem na pewno tajemnicę ognia. Muszę do laboratorium. Staraj się! Mój wynalazek...”

*CZAROWIC, śmiejąc się, stuka w ścianę*

Sprzedaj co prędzej twój wynalazek szatanowi. Niech go co prędzej opatentuje Mister Devil. Może on cię stąd za pomocą swych wpływów wydobędzie...

*Słysząc ponowne stukanie DANA. CZAROWIC czyta.*

„Znalazłem tajemnicę ognia. Będę mógł z wielkiej odległości zapalać proch i dynamit. Będę wysadzał z oddali fortece, palił armie”.

*CZAROWIC odbiega od ściany. Staje przy oknie.  
Z jękiem:*

Puśćcie mię, kraty! Puśćcie mię! Puśćcie mię, kraty! Gdybym wyszedł na tę płaską ziemię, zanurzyłbym w nią dłonie, urobiłbym sobie ręce po łokcie! Ujrzano by naród nowy, spojony, nierozzerwalny, olbrzymi. Ujrzano by rasę zapomnianą, pełną prastarej wspaniałości i nowoczesnego geniuszu. Szedłbym przez tę ziemię od karpackich gór do morza, siejąc gąszcz bohaterstwa jak młody las. Szedłbym polami, zdeptanymi od kopyt moskiewskich koni i siałbym świętą pszenicę braterstwa. Szedłbym drogami niemieckich wytępień i siałbym święte żyto ofiary. Stworzyłbym nowy polski gwar zbudzonych miast. Wyważyłbym skarby niekopa-  
ne z przebogatej ziemi. Sprzedawałbym towar tu wypracowany ludowi na rynkach. Przeorałbym martwe grunta pługiem nowotnym. Tchnąłbym męską miłość współbraci w rozszarpane



dzielnice. Poczuliby w żyłach tę nową potęgę,  
której, mając w sobie, nie mają. Opasałbym  
kraj wyteżonymi ramionami młodych synów  
Polski nowej.

Puśćcie mię, kraty! Puśćcie mię!

ANZELM

*Wszedł tajemnie do celi. Stoi przy drzwiach.  
Słucha pilnie.*

Towarzyszu Lechu!

CZAROWIC

Czy ja śpię? Kto to?

ANZELM

To ja, Anzelm.

CZAROWIC

Jakeś<sup>57</sup> tu wszedł?

ANZELM

Puścił mię żandarm.

CZAROWIC

Gdzie teraz jesteś?

---

<sup>57</sup>*jakeś tu wszedł* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika, inaczej: jak tu wszedłeś. [przypis edytorski]

ANZELM

Tu obok ciebie siedzę w celi.

CZAROWIC

Czego ode mnie chcesz?

ANZELM

Słyszałem, że szarpiesz kraty.

CZAROWIC

Tyś słyszał?

ANZELM

Tak.

CZAROWIC

Jakżeś to usłyszał z tamtej celi?

ANZELM

Słyszę, gdy ktokolwiek w Polsce szarpie kraty.

CZAROWIC

*blady z rozpaczy*

Zdradziłeś sprawę! Tyś mię wydał!

ANZELM

Zdradziłem głupstwo, które zowiesz „sprawą”.

CZAROWIC

Szpiegu!

ANZELM

Romantyku!

CZAROWIC

*z krzykiem*

Nic się ode mnie nie dowiesz! Niczego nie usłyszysz! Nie powiem! Ja umiem milczeć. Milczę tu już siedemnaście miesięcy. Idź precz!

ANZELM

Nic nie wymilczysz. Choćbyś, jak Rawana<sup>58</sup> stał na głowie wśród pięciu ognisk przez dziesięć tysięcy lat — ten sam będzie skutek twojej sprawy. Ale oto ja ulitowałem się nad tobą... Zresztą — przychodzę do ciebie z prośbą... Tyś to mi dał na pamiątkę ową książeczkę

---

<sup>58</sup>*Rawana* (mit. hind.) — złośliwy demon (tj. *rakszasa*) przedstawiany jako niebieskosina postać o dziesięciu głowach i dwudziestu rękach, stąd zwany jest też: Daśamukha (Dziesięciolicy), Daśakantha (Dziesięciogłowy); w indyjskim eposie *Ramajana* opisane zostały jego nieczne uczynki: objęcie tronu Lanki za pomocą podstępu, porwanie Sity, żony Rama, a wreszcie dokuczanie bogu Śiwie; demon usiłował przesunąć górę Kajlas, na której Śiwa tulił swoją żonę Parwati, oburzony Śiwa przycisnął górę do ziemi, przygniatając ręce demona, ten zaś straszliwie zawył z bólu: w ten sposób zyskał przydomek Rawana, tzn. „Krzykacz”. [przypis edytorski]

poety... Pamiętasz, gdyś ze mną, nędzarzem, ty, wielki pan, czytywał w polu wiersze Mickiewicza i Słowackiego... Chodziliśmy, pomniesz<sup>59</sup>, na pylną, daleką szosę za miastem, żeby na pamięć wyczytywać. Serce ścisnął słodki i bolesny skurcz obłudy tej poezji. — „A kiedy śpiewa chór — drży serce wroga!” — pamiętasz, towarzyszu Lechu?

CZAROWIC

Idź, idź! Ja ci nie zapłacę ani grosza. Ja tobą pogardzam!

ANZELM

Strasznieś<sup>60</sup> mię wtedy skrzywdził, ty, coś mię wywlókł z barłogu niewiedzy, coś ocucił z martwych moją świadomość, a teraz mną pogardzasz. Kłamstwo twoich poetów ukazało mi w całej pełni prawdę o mojej nędzy. Czyś miał prawo do tego, żeby mię wyciągnąć z błota, żeby mi odsłonić raj i kazać iść do niego drogą twojej fantazji? Kto ci na to dał pozwolenie,

---

<sup>59</sup>*pomniesz* (daw. forma) — (czy) pamiętasz; od: *pomnieć*: pamiętać, por. *pomnik*. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>*strasznieś mnie (...) skrzywdził* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: strasznie mnie skrzywdziłeś. [przypis edytorski]

żebyś mnie przeznaczał na śmierć dla szczęścia przyszłych pokoleń — jakeś to mówił — a w gruncie rzeczy dla ścigania po ziemi chime-ry poetów? Szeptaleś do mnie: „tyś był głodny, ojciec twój cierpiał nędzę, matka w hańbie umarła, twój syn posiadzie to samo dziedzictwo — broń ich wszystkich i siebie”. Czy mia-łeś pewność mojego zwycięstwa? Miałeś ją... w wierszach twoich poetów. Pewna była tylko moja śmierć. Tyś o tym wiedział, a ja nie. Ja-ki mógł być zysk z mojej śmierci? Żaden. Tyś o tym nie myślał nigdy, że lepiej jest żyć w głodzie, niż nie żyć wcale.

#### CZAROWIC

Myślałem zawsze, że lepiej jest nie żyć niż żyć w hańbie. Myślałem zawsze, że wszystkich ludzi należy nakarmić, napoić i odziać. Nie mia-łem czym. Myślałem przez całe moje życie, że dobro świata musi służyć wszystkim ludziom jednako, a nie miałem żadnego innego sposo-bu, tylko ci w rękę dać broń.

ANZELM

A miałeś pewność zwycięstwa?

CZAROWIC

Wierzyłem, że ją mam, gdy wszystek lud  
powstaje!

ANZELM

A czy może powstać wszystek lud?

CZAROWIC

Przebiegłość siły rzeczy powiedziała, że nie  
może.

ANZELM

Kłamałeś, twierdząc, że gdy ja zginę, zba-  
wiony będzie lud. Ludu z nędzy nic wybawić  
nie może. Odpowiadaj dziś, co lud z nędzy wy-  
bawić może?

DAN

*stuka w ścianę z sąsiedniej celi*

Słuchaj! Pamiętaj! Znalazłem tajemnicę, zna-  
lazłem tajemnicę ognia. Geniusz człowieka wszyst-  
ko może!

CZAROWIC

*radośnie*

Słyszałeś! Geniusz człowieka wszystko może!

ANZELM

Poezja przemawia. Chcę ci się odwzajemnić za wszystko, coś dla mnie zrobił, ja szpieg. Przyniosłem ci, gdy jesteś nędzarzem, ten oto puchar.

*wyciąga puchar*

Ten sam w nim napój, któryś ty mi dawał. Poezja — *vinum daemonum*.

CZAROWIC

Skądżeś to tak możny, jakimi sposobami tak dalece uczony, biedny i ciemny Anzelmie?

ANZELM

Bardzo są w Polsce uczeni, bardzo ćwiczeni w mądrości prowokatorowie. Przez długie i mordercze studia, w jaskiniach spisku, posiadli wszystką umiejętność, ażeby was pojąć, ażeby nieomylnymi palcami namacać gardziel waszego ducha, zagmatwani panowie, szlachta — socjaliści! Samiście temu winni, romantycy, niezrozumiali dla świata. Wyćwiczyliście

nas, swoje z motłochu powstałe sobowtóry, swoje cienie. Taka to już, jak ty mówisz, polska dola, że szpieg musi stać na najwyższym cyplu polskiego intelektu. Pij, towarzyszu polskiej doli, *vinum daemonum*. Znajdziesz ulgę, pociechę, zapomnienie. Po polsku — poezją zapijesz „sprawę”. Nic większej nie sprawia rozkoszy nad poezję. Jeden z ojców kościoła nazwał ją winem diabelskim — (mówi o tym w rozdziale *Of Truth*<sup>61</sup> poczciwy Francis Bacon<sup>62</sup>) — ponieważ ona nasycy wyobraźnię jakoby nieustannymi cieniami kłamstwa. Nie jest jasnym, świadomym kłamstwem, w mózgu zrodzonym, lecz chwianiem się prawdy, upadaniem jej stałym i dobrowolnym zaślepieniem. My, Polacy, lubimy żyć cieniami kłamstwa i prawdy. Jest to nasz system filozoficzny, nasza narodowa mą-

---

<sup>61</sup>*Of Truth* — „O prawdzie”. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>*Bacon, Francis* (1561–1626) — filozof ang., prawnik i mąż stanu na dworze króla Jakuba I Stuarta (pełnił funkcję naczelnego prokuratora państwa), wicehrabia St Albans (1621); w filozofii twórca empiryzmu oraz nowożytnej metody naukowej opartej na eksperymencie i indukcji; w pierwszej części swojego głównego dzieła, *Novum Organum* (1620), jako pierwszy stwierdził, że do przekazywania prawdy naukowej potrzebny jest uniwersalny i jednoznaczny język oraz podał klasyfikację sposobów pojawiania się dwuznaczności w mowie (teoria złudzeń). [przypis edytorski]



drość stanu. Pij, towarzyszu polskiej doli, to  
tęgie wino. *In vino veritas*<sup>63</sup>!

CZAROWIC

Nudzę się, szpiegu, słuchając twojej mowy.  
Zostaw mię w spokoju z mymi błędami. Idź  
precz!

ANZELM

Wysłuchałem był twoje myśli tajemne, gdyś  
wstrząsał kratą. Śnił ci się sen o przyszłej Pol-  
sce. Chępiłeś się, że zanurzywszy w nią ręce,  
wstrząśniesz jej jałową, starą, zatęchłą glebę,  
że z niej uczynisz cudny kraj, wyśnioną stoli-  
cę państwa Kosalów z Ramajany, pełną domów  
radosnych, świątyń bogatych, parków uroczych  
— raj, w którym nie ma już nędzy, nie ma zło-  
dziejów i nie ma zdrajców. Śmiałem się do roz-  
puku. Ty, co z taką łatwością zamierzasz zmie-  
nić naturę i siły całej tej wiecznie niewolnej zie-  
mi, przerób — proszę cię o to gorąco — na-  
samprzód duszę jednej istoty, Krystyny...

---

<sup>63</sup>*in vino veritas* (łac.) — w winie (jest) prawda. [przypis edytorski]

CZAROWIC

*pchnięty jego słowami*

Skąd wiesz?

ANZELM

Wiem wszystko.

CZAROWIC

Co wiesz?

ANZELM

Przekonasz się, gdy powiem. Szedłeś z nią w nocy jesienną aleją. Z niewymownym wdziękiem, jak bezszelestny cień, stąpała po mokrym asfalcie chodnika. Pamiętasz? Skromny, czarny kapelusz, z kształtu podobny do kapeluszków noszonych za Henryka VIII — przy nim z boku czarne, długie, puszyste strusie pióro. Jasnozielona suknia. Krótkie palto pluszowe. Wzór europejskiej piękności i kultury: wszystka ciemno-aksamitna. Strusie pióro! Pamiętasz chwilę, kiedy sekretnie dotykałeś go muśnięciem ust, skoro, odwracając szybko głowę, zbliżała je do twojej twarzy? Pamiętasz tę niewypowiedzianą rozkosz, gdy puch strusie-

go pióra czułeś na wargach? Miałeś w oczach jej włosy, choćś ich nie widział — włosy czarne jak woda ślepa w nocy pod nisko nawisłymi olchami. Lśnienia po nich migają jak księżycowy połysk na czarnej, nieznanej, niebezpiecznej wodzie... Miałeś w oczach jej czarne, aksamitne oczy, które się czają w precudownych podrzęsnych błękitach z niewyśpiewaną pięknnością morza otoczonego przez śpiący lazur niebios. Miałeś w oczach jej usteczka, jej usteczka, stworzone — o, straszliwa prawdo poety! — *for tenderness or scorn*<sup>64</sup> — do pocałunków albo do pogardy, do okrutnych skrzywień pogardy, od których serce drży jak ziemia od razów piorunu.

Jeden ich uśmiech, jeden uśmieszek, delikatny, jak cień słaby oliwnego drzewa w skwarze włoskiego wybrzeża — zakrył ci wieczność. Szedłeś wtedy upojony od szczęścia czy od rozpacz, niosąc w sobie tę chwilę tajemną, kiedy o głuchym północku wschodzi gwiazda wy-

---

<sup>64</sup>*for tenderness or scorn* (ang.) — dla pieszczoty lub pogardy. [przypis edytorski]

błyskująca nad bezsennym uczuciem. Wyso-  
ko w pustej alei śniły swój sen o wieczności  
elektryczne księżycy, siejąc różowy półblask na  
zadumane drzewa jesienne. Suchy liść spływał  
z wysoka za lada powiewem. Jak suchy liść kło-  
nowy poniewierało się u jej stóp twoje serce.  
Two serce tak wyniosłe u jej stóp... Czy pa-  
miętasz?

CZAROWIC

Pamiętam...

ANZELM

Aleja była pusta. Nikogo! Tam i sam pod  
drzewem ze zwieszonym aż do ziemi łbem drze-  
mał koń powozowy, a dorożkarz spał twardo  
na koźle, wtuliwszy głowę w wielki kołnierz  
płaszcz. Lekki wiatr sączył się przez czułe ga-  
łęzie lip, od światła elektrycznego martwo-bia-  
łe albo cielisto-różowe. Pamiętasz głos tego wia-  
tru? Pamiętasz ów lekki huk pod niebem?

CZAROWIC

Pamiętam...

## ANZELM

Zdawało ci się wtedy, że światło elektryczne widzi. Czułeś, że ono zapamięta twoją tajemną radość, że ją na wieki przechowa. Sprawiało ci to rozkosz, że w tej chwili tak wielkiej, tak wysokiej od szczęścia — nie ma nikogo. Nikogo! Umyślnie usnął koń woźnicy i wtulił woźnica w kołnierz swój głowę...

Nie wiedziałeś, oczywiście, romantyku, że ja czuwam, ja, Anzelm. Gdy usnęło miasto, gdy zawarł bramę stróż, gdy odszedł na spoczynek żebrak uliczny, gdy zasnął nawet koń i zamarł nawet wiatr — to ja, zgniły łachman polski, szpieg podbramny, snułem się niewidzialny popod ścianami, przy kratkach ogrodów, wtulałem się we wnęki, czałem w cieniach, za mrowanymi słupami, biegłem za tobą od pnia do pnia — z oczyma wlepionymi w twoją duszę. Na dowód — powtórzę rozmowę.

## CZAROWIC

Powtórz...

ANZELM

Mówiłeś jej wiele, uczenie i książkowo o sztuce i o pięknie. O pięknie. Parsknęła jadowicie i zdradziecko. Spytałeś — czemu się śmieje? Odpowiedziała, że nic jej bardziej nie śmieszy nad wszelkie gawędy o „pięknie”, dyskusje „estetów” o tym, czego nigdy nie widzieli, ponieważ piękno swoje zna tylko artysta i to wówczas, gdy zamierza tworzyć, a nie wówczas wcale, gdy dokonał dzieła. Rzuciła krótko, że, według niej, sztuka nowoczesna zająć się powinna zniweczeniem owego zjełczałego piękna, które stało się nie do zniesienia wskutek plotkowania o nim estetów — i wydobyciem w sztuce — na przykład — brzydoty. Broniłeś się, mówiąc, że brzydota, jako obiekt sztuki, nie będzie bynajmniej wytworzeniem kultu brzydoty, lecz znowu kultem tego samego piękna. Utrzymałeś, że to, co nazywamy teraz pięknym, złą ma może nazwę, ale zawiera w sobie intencje słuszne, gdyż stanowi usiłowanie zbadania zjawiska — takiego na przykład jak *Los*

*Borrachos*<sup>65</sup> Velasqueza<sup>66</sup> — pojęcia go i zawarcia w sylogizm.

Mówiła: — to mi się podoba, a to mi się nie podoba — ma prawo powiedzieć Goya czy Beardsley. To jest ładne, a to jest brzydkie. Oto wszystko. Żadnego piękna absolutnego nie ma. Jest tylko wola artysty, jego prawo. Esteci mogą sobie rozprawiać, ile im serce dyktuje, gdyż to, co się im podoba lub nie podoba w dziełach artystów, jest czymś zgoła innym niż rzeczywistość twórcza.

Prosiłeś jej<sup>67</sup> z pokorą, żeby zechciała przeżyć, przestudiować i zgłębić cudowne życie i cudowne prace Leonarda da Vinci, żeby nie dowierzała własnym dzisiejszym wyobrażeniom, gdyż tylko w taki sposób może zajaśnieć jej geniusz malarski.

Rzekła cicho: — Po cóż mi to? Ja przecie chcę malować tylko dla siebie, wcale nie tak,

---

<sup>65</sup>*Los Borrachos* — tj. „Pijacy” alternatywny tytuł *Triumf Bachusa*, powst. w l. 1628–1629 obraz barokowego malarza Velasqueza. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>*Velasquez, Diego* (1599–1660) — hiszp. malarz barokowy, związany z dworem Filipa IV; znany portrecista. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>*prosiłeś jej* — dziś popr. z B.: *prosiłeś jej*. [przypis edytorski]

jak tam należy, albo jak malował jakiś, taki albo inny Leonardo.

Ty: — Dzieło sztuki powstające powinno być wyższe nad wszystko, co dotąd było, musi zwalczyć wszystko, co było, wznosić się ponad całą przeszłością.

Ona: — Nie wiem, co być powinno. I to mię nic nie obchodzi. Gdybym postępowała tak, jak pan radzi, tobym się musiała męczyć w ciągu dziesiątków lat, wydać mnóstwo grosiwa na studia, wszelkiego rodzaju badania, podpatrywania, leonardowania... Po dwudziestu latach, gdy byłabym już bardzo mądra, ktoś kupiłby mój obrazek spreparowany według zasad, gdyby go najbardziej gadatliwy esteta zalecił do nabycia za rubli srebrnych sto — popierającym sztukę fabrykantom tudzież ziemianom.

— Więc cóż począć? Przecież pani nie ma własnych funduszów... Gdybyż to można malować tylko dla siebie!

— Toteż ja obmyśliłam tak, żeby właśnie sztuki nie profanować sprzedawaniem, lecz sprzedawać raczej siebie.



— Jakże to siebie można sprzedawać?

— Sprzedam się za drogie pieniądze jako kobieta, a raczej jako niewinna dziewczica, gdyż dziewice są najdroższe. Mając kilkadziesiąt tysięcy rubli rocznie, będę mogła malować tylko dla siebie, nikomu tego, co namaluję, nie pokazywać, nie „wystawiać” w tych „salonach” i „zachętach”, malować tak, jak zechcę, to tylko, co zechcę i wtedy, gdy zechcę. A teraz oto wypowiadam aforyzm najbezwstydniejszy w ustach młodej panienki z towarzystwa: kocham moją sztukę bardziej niż siebie. Tylko ją jedną kocham.

— Jakże pani zdoła załatwić to sprzedanie siebie?

— Użyję pośrednictwa stręczycielki. To się zrobi w Paryżu. Już nawet z jedną rozmawiałam, ale proponowała tak małą sumę, że nie było o czym mówić. Za to, co ona proponowała, nawet automobilu utrzymać by nie można...

Zachwiałeś się wtedy na nogach i podniesionym głosem mruknąłeś ostro, żeby zamil-

kła. Nie zamilkła. Łagodnie uśmiechnięta mówiła: — Może to panu sprawia przykrość, ale to już niejednemu sprawiało przykrość, więc niech to pana pocieszy. Na przykład pańskiemu bratu Benedyktowi...

Ciszej dodała: — Kochałam dotąd moją mamę i moją sztukę...

Roześmiała się wtedy głośno i szorstko. Ona rzekła z naciskiem:

Pamiętasz blask elektrycznych księżyców, który ci wtedy w oczy złowieszczo zaświecił? Widziałem drzenie twoich ramion, żeby zadusić podłość życia, które ci ją wydzierało, albo zadusić siebie, bezsilnego niewolnika. Widziałem jak na dłoni myśl, żeby wyrwać z kieszeni rewolwer i roztrzaskać sobie głowę w jej czarnych, aksamitnych, spokojnych oczach. Widziałem myśl, czy by nie najlepiej, najrozumniej i najkrócej było ją przede wszystkim — starym obyczajem — położyć trupem...

CZAROWIC

*głosem głuchym*

Słuchaj... Tak wszystko wiesz, pamiętasz, umiesz na pamięć — czy nie mógłbyś udać jej głosu, przypomnieć brzmienia jej słów...

ANZELM

Każdy człowiek korzysta z usług szpiega. Lecz szpieg nie pracuje za darmo. Dobrze, usłyszysz jej głos, przypomnisz sobie czarujące dźwięki, tak zupełnie zapomniane.

*Nagle zmienia głos. Schyla się do nóg CZAROWICA. Zebrze.*

Mam na świecie synka małego. Oleś... Małe dziecko. Syn szpiega. Biegną za nim dzieci całej ulicy, gdy się na chodniku pokaże, ciskają kamieniami jak na wściekłego psa, krzyczą na niego jak na zarzonego trędem. On ucieka wciąż, ucieka bez przerwy, kryjąc twarz w rączyny. Łkanie jego wygania mię z mogiły. Nie masz miejsca na ziemi, gdzie by się to dziecko mogło skryć przed straszliwym dla niego przekleństwem świata...

CZAROWIC

A gdzie ona teraz jest? Powiedz mi, gdzie ona jest?

ANZELM

Kto?

CZAROWIC

Ta kobieta, Krystyna.

ANZELM

Wszystko ci powiem, ale się zmiłuj nad Olesiem! Po to do ciebie przyszedłem. Wydam ci wszelkie tajemnice. Wszystko zdradzę, ale się zmiłuj nad Olesiem! Słuchaj: ta kobieta bywała tutaj ciągle. Przychodziła wielekroć, żeby cię zobaczyć, ale jej, oczywiście, nie puszczono ani razu. Sypała pieniędzmi, żeby uzyskać jedno widzenie. Wyrzucono ją brutalnie. Naraziła się, gdyż znajomość z tobą...

CZAROWIC

Ona tu przychodziła?!

ANZELM

Tak.

CZAROWIC

Kłamiesz!

ANZELM

Nie. To szczerą prawdą. Stała wielokroć w tłumie pod bramą, pośród szlochającej biedy polskiej, w gromadzie matek, sióstr, dzieci, w ogroju przybramnym bab, którym nazajutrz miało tracić na szubienicy braci, ojców, mężów... Przychodzi i teraz wciąż słuchać...

CZAROWIC

Powiedz mi to jedno! Powiedz mi tylko tyle: — gdzie ona jest teraz?

ANZELM

Gdzie ona jest? Czy chciałbyś ją we śnie zobaczyć? Wypij ten kielich wina demonów — i zobaczysz cuda, zobaczysz pewnie i ją samą.

CZAROWIC

Jakże się to stać może?

ANZELM

Sam się dowiesz.

CZAROWIC

Daj kielich!

ANZELM

*cofa kielich*

Mam na świecie synka małego...

CZAROWIC

Daj kielich!

ANZELM *wyciąga ku niemu kielich. CZAROWIC pije jednym tchem. ANZELM znika. Nastaje głuchy, posepny mrok. CZAROWIC siedzi pod oknem na krześle z obwisłymi rękoma, z głową, która bezwładnie odwalila się na kratę. Nagle rozległ się potężny szczęk. Nie odmykając drzwi, weszło BOŻYSZCZE w postaci i zbroi króla Władysława Warneńczyka<sup>68</sup>. Gięta kolczuga od stóp do głów jednolitą stalą okrywa całą jego wielką postać. Głowa okryta szłomem<sup>69</sup> stalowym. Szłom wysoki, polerowany, ze złotymi skrzydłami. Na biodrach pas, kuty z czteropromiennych gwiazd. U boku wielki, prosty miecz. W prawicy młot ciężki. W lewej ręce drzewo nabijane oszczepu.*

---

<sup>68</sup>Władysław Warneńczyk (1424–1444) — syn Jagielly, król Polski w latach 1434–1444, król Węgier od 1440 r.; poległ w bitwie pod Warną (nad Morzem Czarnym, na terenie dzisiejszej Bułgarii) podczas wojny z Turkami. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>szłom — hełm bojowy. [przypis edytorski]

*Spiczaste stopy, w karacenową zbroję obute, stanęły w przekątnej żłobowinie celi, któredy więźniowie machinalnie chodzą, biegają i błędzą z wolnego od sprzętów kąta pod oknem w wolny kąt przy piecu. Surowe lica, osłonięte stalą, posepnie dumają. Wielka dłoń spoczęła na głowicy miecza, wywlekła go zza pasa i podała więźniowi.*

BOŻYSZCZE

*Weź miecz.*

CZAROWIC

*w szale radości pochwycił miecz, przycisnął do piersi. Ustami przywarł do rękojeści*

*Miecz rycerski! Wrogowie!*

BOŻYSZCZE

*Targałeś kraty. Patrz długo na mnie. Jestem podobny do wielkiego na ziemi człowieka. Jestem ten, który wytraca niemoc cierpienia. Jestem ten, który miota po ziemi siłę i radość. Jestem podburzyciel człowieka. Jestem król wasz nowy, który zakładam wpośród waszych dusz mocarstwo woli.*

*uderza CZAROWICA dłonią w twarz*

Weź ostatni policzek niewoli!

*bierze z rąk CZAROWICA miecz. Uderza go  
klingą w prawe ramię*

Weź w duszę z mych rąk zmycie policzka  
niewoli!

*oddaje mu miecz*

Pójdiesz dziś ze mną w świat. Pamiętaj,  
żeby ci się dusze polskie nie wydały stokroć, ty-  
siąckroć boleśniejszymi od krat więzienia wro-  
gów, a ziemia polska ciaśniejszą i bardziej okrut-  
ną, bardziej martwą i niemą od celi wroga. Patrz  
daleko poprzez i ponad ludzi, jakś poprzez kra-  
ty patrzył na niebo. Biada ci, jeżeli westchniesz  
za żelaznymi kratami więzienia, pasowany ry-  
cerzu!

CZAROWIC

Moja pierś nie zazna westchnienia! Moja  
dusza nie zazna żalu!

BOŻYSZCZE

*dźwiga ciężki młot, uderza w ścianę lewą raz,  
drugi, trzeci. Ściana pękła. Przez otwór rzuca*



*młot do celi sąsiedniej, gdzie przebywa więzień  
DAN. Mówi przez wyłom.*

Bij co siły w tve kowadło! Kuj dzień i noc!  
Niech wytryska twój ogień! Chwytaj tajemni-  
cze iskry! Pochłoń je myślą! Hasło nasze —  
„Warna”.

*do CZAROWICA*

Milcz z zaciśniętymi zębami albo składaj  
wewnątrz siebie przysięgę, kiedy idzie o Pol-  
skę. Za mną! Hasło nasze „Warna”.

*Porwał z rąk więźnia miecz i z ramienia,  
odlewnym ciosem zwałił w kraty. Rozcięte kra-  
ty zwisły. Drzewcem oszczepu począł bić w mur  
podokienny. Rozerwał kraty i żelazną prawicą  
wyłamał je z muru jak badyle. Uderza w mur  
drzewem tam i sam, wysoko i nisko. Mur wiel-  
kimi odłamami runął na zewnątrz, bryłami wy-  
leciał w dół. W rozwartą jamę wdarł się skowy-  
czący wicher. Powiał lotny śnieg. Zajrzała noc.*

BOŻYSZCZE  
Pójdź!

CZAROWIC

Wodzu! A ten — a ten?

BOŻYSZCZE

Uśpiony?

CZAROWIC

Czyliż zostanie tu?

*BOŻYSZCZE łokieć ręki prawej wspiera na poprzecznicy mieczowej. Głowę opiera na dłoni. Dumą głęboko. Uśmiech czarujący oświecił mu usta.*

BOŻYSZCZE

Zostanie.

CZAROWIC

*zgina kolano*

Daj rozkaz: niech idzie z nami!

BOŻYSZCZE

To władzca. Jego dusza sama sobie rozkazuje. Stopy jego własną idą drogą: to krwawymi Polski manowcami, to szerokim sybirskim gościńcem. Zostanie. Będzie do końca sam.

*Przekłada oszczep z prawej ręki do lewej. Postąpił krok — stanął. Postąpił drugi krok ku uśpio-*

*nemu. Wyciąga wysoko nad jego piersią żelazną  
prawicę. W dłoni jego nagle rozkwitła czarująca,  
szkarłatna róża. Cicho, lekko, miękko wypadła  
z dłoni na uśpionego pierś.*

CZAROWIC

O, różo!

BOŻYSZCZE

W drogę!

*Wyszli w otworzelisko rozbitego muru. Po  
złomach i gruzie spadłej ściany schodzą obydwaj  
olbrzymimi krokami w dół. Po schodach z mu-  
rów, po pochylniach stoków cytadeli, śniegiem za-  
wianych, wyszli poza Wrota Iwanowskie ku Wi-  
śle. Wicher dmie. Zamieć.*

CZAROWIC

Słyszę, jak tam w dole szumi Wisła. A tam  
za nią daleko — Mazowsze...

BOŻYSZCZE

*woła w noc*

Calcabrina!

*rżenie końskie*

Graffiaccane!

*Rżenie końskie. Dwa w wichrze wielkich drzew  
stoją rumaki. Trzepią się w śnieżycy wspania-  
łe ich, długie, białe grzywy. Biją o zmarzniętą  
ziemię stalowe podkowy. Dosiedli jeźdźcy ruma-  
ków. Pomknęli. Pomknęli z wichrem w zawo-  
dy na lotnych niedościgłych ciałach biegunów, jak  
gdyby z mroźnego stworzonych powietrza. Wle-  
cieli w czarną noc, w dzikość pól. Bachmaty brzu-  
chami rozorują zwiewne śniegi. Daleko miotają  
bryzgi lodu ich w skok lecące kopyta. Ogony ich  
rozdyma wiatr, jakoby surmy bojowe. Grzywy ich  
fruwają wśród wiatru jakoby hetmańskie wojen-  
ne buńczuki. Jeździec nie czuje wagi swego ciała.  
Ziemi nie widzi. Czarna w oczach noc. W duszy  
szczęście.*

CZAROWIC

*nachylił się w biegu. Piersi jego chwytają wi-  
cher. Usta szlochają*

Wodzu!

BOŻYSZCZE

„Warna”!

CZAROWIC

To jest wolność!

BOŻYSZCZE

„Warna”! „Warna”!

## OBRAZ PIERWSZY

*Olbrzymia, paropiętrowa hala fabryczna. Przez szklany, zakopcony dach wpada odblask elektrycznych słońc, świecących na zewnątrz w dziedzińcu. W hali światła nie ma. Odblask nieruchomości na wyszlifowanej, stalowej powierzchni wielkich rozpędowych kół, wisi bez przerwy, jak nici srebrnej pajęczyny na pasach transmisji, wstrzymanych w biegu, uśpionych w głuchym letargu. W dole światło polśniewa tu i ówdzie na wyświechtanym kaszkiecie, na siwiejących pod sadzą włosach człowieka, na zgrabiatałych rękach, zaznaczających rozkoszy letargu. Tłum do tysiąca osób wypełnia wnętrze sali. Z mroku dochodzą głosy niewidzialnych mówców.*

## PIERWSZY

Ściągnęli nam zapłatę, w dół poza rok 1904<sup>70</sup>. Trzy dni w tygodniu robimy. Resztę siedzimy z założonymi rękami, patrząc w międzyfabryczne pola z kupami łódzkiego brudu, w czerwone kominy i w czarne mury. Życie zdrożało. Nie opłata<sup>71</sup> nam za tę cenę robić. Posłali my<sup>72</sup> delegatów do właściciela. Poszli dwaj i przełożyli<sup>73</sup> sprawę. Na pyski ich kazał zepchnąć ze schodów. „Skończyły się — powiedział — wasze chamskie czasy. Nadszedł teraz rygor wojenny. My teraz! Żadnych delegatów! Prawaście<sup>74</sup> — powiedział — dyktowali? Teraz my wam podyktujemy cenę roboty. I za pół tego — powiedział — będziecie robić. Przyjdziecie do mnie ze szlochem, żebym was wziął na trzy dni w tygodniu za tyle, za ile chcę i raczę”. Uję-

---

<sup>70</sup>ściągnęli nam zapłatę, w dół poza rok 1904 — tj. obniżyli nam wypłatę poniżej sum, które otrzymywaliśmy przez 1904 r. (czyli przed wojną rosyjsko-japońską i rewolucją 1905 roku: oba wydarzenia spowodowały kryzys polityczno-ekonomiczny w Imperium Rosyjskim). [przypis edytorski]

<sup>71</sup>nie opłata nam (...) robić — nie opłaca się nam pracować. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>posłali my (gw. forma złoż.) — posłaliśmy. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>przełożyć — wytłumaczyć, objaśnić. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>prawaście (...) dyktowali — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: prawa dyktowaliście. [przypis edytorski]

liśmy się za posłów. Rzuciliśmy pracę. Wezwał wojsko. Kazał generał otoczyć mury wojskiem. Ośmiuset nas było. Stoimy na dziedzińcu. Wyszedł do nas policjant i nakazał: kto za strajką<sup>75</sup> — na lewo! kto przeciw — na prawo! Dwustu młodych odeszło na lewo. Sześciuset starszych poszło na prawo. Tych, co poszli na prawo, partiami wypuścił. Tych, co poszli na lewo, otoczył murem żołdatów. Z nich jedną gromadę posłali w Rosję rygorem swoim moskiewskim. Drugą gromadę wysłali na miejsce zamieszkania<sup>76</sup>. Trzecią gromadę zamknęli do kryminału. Nas dwudziestu, cośmy twardo stali przy sprawiedliwym rozumieniu, zesiekli różgami, po sto różeg na człowieka. Krew z nas ciekła. Słuchajcie, robotnicy łódzcy! Siekli nas różgami za to, żeśmy prawdy sprawiedliwie dochozili! Słuchaj nas, ludu pracujący!

*Westchnął bezsilnie lud.*

---

<sup>75</sup>za strajką — dziś popr. forma r.m.: za strajkiem. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>wysłać na miejsce zamieszkania — tj. na zesłanie (w taki sposób karano większość skazanych, część tylko trafiała do więzień, na przymusowe ciężkie roboty itp.). [przypis edytorski]

## DRUGI

Przemysł kraju jest jako drzewo. Owoc jego służy fabrykantowi i robotnikowi. Skoro drzewo podważysz w korzeniu, nikomu ono owoców nie da, ni fabrykantowi, ni tobie. Jeśli właściciel zatrudnia ludzi przez trzy dni w tygodniu, to znaczy przecie, że tego nie czyni dobrowolnie, lecz z musu. Obstalunków nie ma! Gdy po trudach niemałych zyska się obstalunek, wtedy wy, szaleńcy, podbechtani przez głupców, strajkę zaczynacie. Przemysł bawełniany kryzys przechodzi. Przemysł żelazny kryzys przechodzi. Nie zważaliście na stan przemysłu, strajkę prowadząc bez końca, wydaliście fabrykantom wojnę. Zdało się wam, że zwyciężycie. A teraz — oni zwyciężyli. Kto zwycięża, ten jest panem i dyktatorem prawa. Tego jest łaska albo niełaska. Nie dziwota, że wam strąca zapłatę aż poza rok 1904. Nie dziwota, że się zabezpiecza przeciwko wam i u rządu moskiewskiego szuka pomocy.



## TRZECI

Przemysł kraju jest jako drzewo, w które zapuszcza korzeń i na którym rośnie inny twór, niby inne drzewo — jemiola. Fabrykant jest to jemiola, która rośnie na drzewie pracy ludu. Robotnik jest korzeniem, pniem, konarem i listowiem. On to sobą karmi jemiolę. Kto strajkę rozpoczynał po to, żeby pracujący ludzie mieli większą zapłatę i krótszy roboczy dzień, ten nie korzenie drzewa chciał wydzierać z ziemi, lecz chciał wyrwać korzenie jemioli z drzewa. Gdyby wydrzeć korzenie jemioli z drzewa — cudnie by się drzewo rozrosło. Jeno<sup>77</sup> ptak, kwiczoł, który się jagodami jemioli żywi, może sądzić w egoizmie swoim, że i jemiola, i drzewo — to jedno jedyne drzewo. Nie chce kwiczoł słyszeć o tej prawdzie, że, żywiąc się jagodami jemioli, żywi się sokami drzewa. Nie dziwota — gdyż kwiczołowi jeno o bytowanie i rozrost jemioli chodzi, albowiem kwiczoł żywi się jagodami jemioli.

---

<sup>77</sup>jeno (daw., gw.) — tylko. [przypis edytorski]

## CZWARTY

Przemysł! Przemysł! Przemysł!

Pełna jest polska gęba tego słowa. Tym słowem zatkał sobie Polak gardziel sejmikową i zasłonił sobie jak tarczą oczy przed hańbą. Bodaj on się w ziemię zapadł ten wielki przemysł! Zeszliśmy się tu ze wszech stron ziemi ubogiej. Obsiedliśmy ten piasek, okryli go nagim kałużubem naszym, jego łachmanem, jego wszami i kałem. Pracujemy. Przez Bóg żywy! Krwawo pracujemy. Czarne mamy twarze i czarne ręce, krwawą plwocinę i ciemne widmo w duszy. Patrzymy na nasze dzieci wychudłe, rosnące w kałuży Bałut. Golgotą ludu polskiego jest to miasto! Spójrzycie na nie nowymi oczyma, pracujący ludzie. Spójrzycie na pałace, sztukaterią ohydną jak cycelesami obwieszane. Spójrzycie na domy niskie, zielone od pleśni, czarne od sadzy, rude od błota. Wesele ziemskiego żywota my tu stracili. Czemu? — pytam się was, pracujący ludzie. Kto i co zyskał na tym, że tu, polski lud, zamieramy w dymie, w kurzu bawełny, w fetorach farb dla powięk-

szenia bogactw spanoszonych Niemców i zubożonych Żydów? Czy zyskał na tym ojczy-  
sty nasz kraj chociaż grosik jeden? Czy na za-  
traceniu naszym zyskała cokolwiek ojczyzna?  
Na opłacenie moskiewskiej policji dla utrzy-  
mania nas w hańbie niewoli idą z rąk fabrykan-  
tów zyski z wypracowanych przez nas towarów.  
W zgrzebnym samodziale albo w moskiewskim  
i jarosławskim perkalu chodzi wieśniak pol-  
ski, w grubą sukmanę, w cuchnący kozuch,  
w wełniak krosienny się odziewa, a wytwór na-  
szych rąk idzie w dalekie, azjatyckie kraje. Czy-  
sty pieniądz zysków idzie do Berlina, do kas  
fabrykantów niemieckich. Jednego szeląga nie  
osiągnęła z prac naszych polska strona ni spra-  
wa. Założyliśmy tu, na tej Golgocie ludu pol-  
skiego, posterunek teutoński, gniazdo wrogie  
nam, fortecę niemiecką. Pluje nam Niemiec  
w ślepie za nasz trud, w tym miejscu, gdzie tyle  
cierpimy. A jeśli wściekle głowy podźwignie-  
my, wydaje nas w szpony moskiewskiego po-  
siekaka. Siły nasze wrastają w cielsko wroga. To  
nasza krew krąży w jego żyłach, kiedy na nasze

barki spuszcza bicz. Z naszej pracy, z męczarni naszych ramion rośnie jego kość i mięsień, stalowemu jego kły z bagnetów, pazury jego z armat i pióropusz jego w kształcie szubienicy.

### TRZECI

Ta jest twoja myśl, że byłoby lepiej, gdyby nie było miasta. Ta jest twoja myśl, żebyśmy stąd wrócili do pługa i motyki, do fornańskich koni i wyrzucania widłami nawozu, żebyśmy się znowu oblekli w zgrzebny samodiał, w perkal jarosławski, w cuchnące sukmany i baranie kozuchy. Lepiej by wtedy, według ciebie, było ojczyźnie. Więcej by zyskała, gdybyśmy mieli ziarno w żarnach ręcznych na chleb razowy, zboże żęli sierpem na skwarze i młócili je cepami na mrozie.

### CZWARTY

Zyskałaby ojczyzna tyle, że dusze nasze nie byłyby zatrute widokiem rozpusty bogaczy za zysk wyssany z naszych żył, wyciśnięty z naszej krwi. Jedlibyśmy chleb razowy, mielony rękoma w powietrzu i pod słońcem. Gdzie jest

szkoła dla naszych dzieci, gdzie dla nas godziwe mieszkanie, gdzie dom spoczynku na starość? Z ziemi naszej wyrośnie przemysł nasz własny, polski, z polską ziemią i tutejszym człowiekiem związany, ku jego służący potrzebie. Spuścimy się w tę ziemię, my, górnicy przyszłości, wyniesiemy na światło bezcenne jej skarby. Założymy warsztaty przetwarzające nasz skarb roślinny, zwierzęcy i kopalny na potrzebę naszego młodego świata. Nie będziemy sprowadzać rudy z Krzywego Rogu, a bawełny z Ameryki, żeby zaspakajać potrzeby Kirgizów i Jakutów. Nie będziemy wówczas gnić w Bałutach, żeby Niemiec z naszej krwawicy budował sobie pałac marmurowy w Berlinie i stamtąd nam prawo śmierci dyktował.

#### PIĄTY

Jesteśmy proletariat, wytwór potężnych świata sił, a najpotężniejsza funkcja, czyli potęga, mocy rodzaju ludzkiego. Jeśli my pracujemy, żyje i rośnie świat. Jeśli my ustaniemy, stanie świat. Jesteśmy wędrowcy wieczni. Tam idzie-

my, gdzie się wznosi dym z wysokich kominów, gdzie huczą stalowe koła i patrzą w niebo ślepe szyby. Płyniemy jako rzeka z gór, która nie baczy, jakie granice, z jakimi herbami słupy graniczne przemija. Należymy do rzeszy wszechświata, niezłomnie i wiecznie walczącej o prawo wydarte człowiekowi pracującemu. Do nas lub do synów naszych należy jutro świata. Na robotników przekształcimy wszystkie świata ludy. Nie dajmy się tylko złudzić podszeptom! Pilnujmy niezmiennej drogi proletariackiej, która wcześniej czy później, nas lub synów naszych przyprowadzi na wzgórze dyktatury. Nie dajmy się omamić złudą państwa polskiego w proletariackiej masce. Nasze oczy nieustraszone patrzą pilnie w prawo rozpostarte poza Polski słupami granicznymi. Widzimy, że będzie ona „ojczyzną” szajki zbogaconych fabrykantów lub magnatów, która pochwyci w swe ręce rząd i będzie przeciwko nam wysyłała wojsko, kuła na nas w swym parlamencie zabójcze prawa i wypijała naszą krew. My, którzy jesteśmy rewolucją wieczną, którzy pługiem nie-

strudzonym orzemy wszelką niwę, a zaród nowego życia siejemy wszędzie, walczmy na śmierć ze złudą Polski, gdyż jest ona pustą plewą, wewnątrz niemającą nasienia. Łoskot pracy naszych fabryk, których tysiące puściliśmy w ruch, szeroki zamach naszego proletariackiego ramienia i owoc trudu naszego, który do życia powołał na tym pustym miejscu nowoczesny, na kapitale oparty, daleko sięgający handel — skuł na wieki Polskę z Rosją. Gdyby oderwać Polskę od Rosji, upadłby polski przemysł i handel. Idea niepodległości narodu polskiego ma w sobie zaród klęski nieobliczalnej, a zawołanie jej — niepodległość — to utopia. My jedni, proletariat fabryk, tworzymy bogactwo wszystkich, my jedni wykarmiamy wieczny postęp i wieczną rewolucję. Wszystko, co idzie przeciwko nam, idzie wbrew dobru plemienia, wbrew postępowi i wbrew rewolucji. Ktokolwiek chcesz sztucznie oderwać Polskę od Rosji — ten z natury rzeczy jesteś wrogiem naturalnego rozwoju dobrobytu, wrogiem postępu i wrogiem rewolucji, czyli jesteś sługą reakcji.

## SZÓSTY

O, ludzie, którym mózgi przeżarł syfilis paradoksu! Ziemię waszą naszedł postronny wróg, skuł wam ręce, spętał nogi, nagiął grzbiety, wyłamał od dzieciństwa w ramionach ku dołowi skrzydła woli, z oczu wam wyjął siłę widzenia prawdy i oduczył was mowy wolnej, płynącej z głębin rozumu. Z rozkoszą pod Maratonem<sup>78</sup> umierał niewolnik. Z honorem i męstwem umierał polski parobek pańszczyźniany pod Raszynem<sup>79</sup> i pod Ostrołęką<sup>80</sup>. Wy, za-

---

<sup>78</sup>*pod Maratonem* — chodzi o bitwa pod Maratonem (490 p.n.e.), najważniejszą bitwę pierwszej inwazji perskiej na Grecję; wojska ateńskie pod dowództwem Miltiadesa pokonały w niej armię perską, która wylądowała w Attyce, 40 km od Aten. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>*bitwa pod Raszynem* — bitwa okresu wojen napoleońskich, stoczona 19 kwietnia 1809 r. przez wojska polskie i saskie, dowodzone przez księcia Józefa Poniatowskiego, z korpusem wojsk austriackich, pod dowództwem arcyksięcia Ferdynanda Karola d'Este; taktycznie nierozstrzygnięta, jednak ze strategicznego punktu widzenia okazała się sukcesem Polaków, ponieważ zapoczątkowała kampanię, której efektem było między innymi dwukrotne powiększenie obszaru Księstwa Warszawskiego i zwiększenie polskiej siły zbrojnej z 14 tys. do 60 tys. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>*bitwa pod Ostrołęką* — bitwa powstania listopadowego, stoczona 26 maja 1831 r.; główne siły wojsk polskich pod dowództwem gen. Jana Skrzyneckiego starły się w niej z wojskami ros. dowodzonymi przez Iwana Dybicza; bitwa nie dała rozstrzygającego zwycięstwa żadnej ze stron, przed całkowitym rozbiciem uchronił Polaków atak oddziału konnego pod dowództwem Józefa Bema, ale w starciu Rosjanie stracili ok. 5700 żołnierzy, jednak ostatecznie uznano bitwę



miast otwierać źrenice ku najdostojniejszemu dobru wolnego człowieka, ku blaskowi wolności, zagłębiacie je w mrok co najgłębszej niewoli, kierujecie w najciemniejszy kąt sofizmu. Nie chcecie niepodległej Polski, dopóki w niej nie będzie zagwarantowana dyktatura wasza...

#### KRZYK Z TŁUMU

Nie chcemy przechodzić duchem z więzienia Rosji do więzienia Polski. W więzieniach nie ma wolności. My chcemy z tych wszystkich waszych więzień wyjść na wolność, na wolny świat!

#### SZÓSTY

Jakże wyjdiesz na wolność, jeśli nie zdepcesz mocy tego, kto wolność na tej ziemi skuł w kajdany? Tego, kto wolność zakuł w kajdany, trzeba ubezwładnić, a jeśli nie poddaje się — zabić. Nie jest to człowiek, nie jest to bliźni, lecz wróg i martwe narzędzie niewoli.

---

pod Ostrołęką za klęskę Polaków: poległo 2 tys. żołnierzy (w tym gen. Ludwik Kicki i gen. Henryk Kamiński), kolejnych 4 tys. odniosło poważne rany, armia polska straciła inicjatywę strategiczną i przeszła do defensywy. [przypis edytorski]

„Moskala, służącego Mikołajowi, zabijać, łowić, ścigać”... Kto to wyrzekł? To jest mowa genialnego rozumu rasy. To wyrzekł ten, co widział przeszłość wszech Słowian od początku i przejrzał przyszłość najdalszą, głos sprawiedliwego. Skrzydła jego były od początku do końca Polski. Dusza jego wzięła w siebie wszystko dobre i złe ze świata, a wszystko tchnęła wolnością. Słuchajcie tych słów mężnych, niewolnicy, którym pacierz wolności wytruł w duszach żydowsko-niemiecki paradoks o dobrobycie albo zaślepiona żądza utylitaryzmu. Gdy wyjdzie zdławiony wróg z twojej ojczyzny, oddasz mu pozdrowienie w człowieczeństwie i pocałunek słowiański.

#### PIĄTY

Przestarzałe deklamacje emigranckie! Zwie-  
trzałe tezy: „najprzód być, a potem myśleć, jak  
być potrzeba”. Płonne spory nominalistów z re-  
alistami. Za dziesięciu Moskali zabitych chył-  
kiem, z za węgla — „służących Mikołajowi” —  
zawiśnie pięćdziesięciu na szubienicy, tyłuż zo-

stanie szpiegami, a stu znajdzie sposobność do rozboju i złodziejstw. Wynajdź, geniuszu rasy, sposób na zniszczenie wroga, na wydalenie go z „ojczyzny” — i wtedy deklamuj patetycznie! Posłuchamy z ochotą.

#### SZÓSTY

Szukajcie pośrednictwa u tego mówcy! Przykujcie sobie za jego poradą mocniej ręce i nogi do kajdan. Gdy się uciszycie zupełnie, powiedzie was przed pałac, obwieszony cycelesami sztukaterii. Wyjdzie może do was pan. Będzie z wami rozmawiał. Umoczy może palec w wodzie i zwilży wam spiekle wargi...

#### SIÓDMY

Słuchajcie lepiej poprzednika rady. Mordujcie! Doprowadzicie sprawę do tego, że zarabiać będziecie sześćkroć tyle, co dziś. Nie mając gdzie podziąć zarobku, najmować będzie każdy z was po dwie utrzymanki. Pić będziecie arak i wino — jeść tłusto — robić po nocach hulanki i burdy — chodzić w futrach, kortach

i webach — obwieszać się cycelesami bizuterii. Po to przecie żyjecie na ziemi.

ÓSMY

Długie wywody. Mój wywód prosty: trzeba na nowo strzelać we łby, w których się pali ogień buntu. Dokądże to będziemy cierpieć na sobie ten ciężar, niedający nam uczciwie, po dawnemu pracować w zgodzie z pracodawcami? Niech poczują jeszcze raz naszą twardą, robotniczą pięść! Albo się uciszą, albo zginą!

DZIEWIĄTY

Strzelać we łby i my potrafimy! Zaczynaj, najemny sługusie!

ÓSMY

Kazał ci już agitator dobyć broni!

DZIEWIĄTY

Zaczynaj, żydowski popleczniku!

ÓSMY

Masz już za mego trupa rozgrzeszenie!

DZIEWIĄTY

Obaczymy z czyjej ręki padnie celniejszy strzał!

KRZYK ODŁAMÓW TŁUMU  
Towarzysze! Do broni!

KRZYK ODŁAMÓW TŁUMU  
Sokoły! Do broni!

BOŻYSZCZE  
*szeptem do* CZAROWICA  
Już czas.

CZAROWIC

Bracia! Zniźcie broń. Wyjmijcie ładunki. Wyrwijcie zemstę z serc. Wyrwijcie z serc nienawiść proletariusza do proletariusza. Połączcie się w jedną falę. Wy, którzy jesteście żywą i wiecznie twórczą falą polskiego świata — niechaj się dokona w tej oto chwili odpływ wasz spod skały nieszczęścia. Kości po drogach Sybiru rozsiane, mogiły w pustkach Moskwy, lochy więzień, drewna szubienicy, łzy podań i płacz waszych dzieci, wołają do was: — Niech żyje Polska niepodległa! Przekazała wam to prawo wielka dusza Mickiewicza i wielka dusza Słowackiego.

## KRZYK Z TŁUMU

To, coś ty wyczytał w pismach Mickiewicza i w pismach Słowackiego, nas nie dosięgło. My jesteśmy kadłub Polski — ciało jej grube, w którym przewala się pokarm, krąży krew, prężą się mięśnie do dźwigania ciężarów i do odpierania napaści. Kiedy w kadłubie tym wieje pustymi kiszka mi wiatr głodu, ty byś chciał puste kiszki napełnić śpiewnym dźwiękiem Słowackiego.

## CZAROWIC

Przynoszę wam nie śpiew, lecz wyzwolenie z kajdan waszych przesądów i szaleństw. W nas samych leży wyzwolenie. Naród polski sam, przez bezwład duszy swojej, wzywa najezdniczy rząd, żeby regulował sprawy między Polski odłamami. Któż nam wszystkim może odjąć siłę przeistaczania się z kształtu w kształt? Kto zaprzeczy narodowi prawa do stawiania się dobrowolnie ludem? W naszej to jest mocy zjednoczyć ręce i poprzysiąc sobie wyzwoliny. Jeżeli każdy z nas da prawą rękę na to, że pój-

dzie w jednym ze wszystkich celu, któż nas zła-  
mie?

GŁOS W TŁUMIE

Czy to tylko nie prowokator?...

CZAROWIC

Jeżeli w tę drogę pójdziecie, dokąd ja idę sam, nie zlekniecie się prowokatora. Pół serca polskiego zgniło od skira<sup>81</sup>. Nie można już w kole braci mówić do braci bez ohydneho przekleństwa trwogi, że słucha w kole utajony szpieg. Nie można słuchać mowy braterskiej bez plugawego pytania w sercu: azali nie przemawia zdrajca. Wyteżył wróg siłę swoją dzięki nam samym tak daleko, że zasiadł w kole naszej nara-  
dy i w szepcie spisku naszego uczestniczy. Wyzywa na śmierć śmiałka i wiesza go ze śmiechem na haku. Ale ty masz w sobie moc wyrwania się z pęt, ducha nieśmiertelny polskiego ludu! Ty, coś przymierał głodem za kolejowego strajku, coś tyle krwi wylał, wiernie wspierając każde hasło, dałeś dowód, że posiadasz w sobie siłę do wyzwolin. Ja nie przynoszę

---

<sup>81</sup>*skir* (daw.) — ciężka choroba degeneracyjna: rak. [przypis edytorski]

ci nowego, po tylu innych — hasła. Nie przynoszę nowego rozkazu. Przynoszę radę. Słuchaj mię, serce ludowe, przez miłość dzieci, które rosną w hańbie niewoli! Ozdrowiej, serce zarazone od skira zdrady! Podnieś się, męstwo!

GŁOS W TŁUMIE

Kto ty jesteś?

CZAROWIC

Jestem żołnierz.

GŁOS W TŁUMIE

Skądże to do nas przychodzisz, żołnierzu?

CZAROWIC

Przychodzę do was z daleka.

GŁOS W TŁUMIE

Z jakiej jesteś partii?

CZAROWIC

Byłem grzeszny przed wami, podbudzając was zgłodzonych, bezbronnych do boju, aczkolwiek nie miałem pewności zwycięstwa. Teraz wam wyznaję winę. Byliście najpochoptioniejsi do porzucenia życia, gdyż dola najwięcej z was życia wyżarła, a rewolucja kosztowała was tylko



tę resztę przeżartą od chorób — więc na wasze barki waliłem pospołu z innymi najcięższy trud. Wyście najchętniej brali na ramiona posłannictwo śmierci. Teraz już do boju nie wystąpicie bez pewności zwycięstwa. Do boju za was wszystkich wystąpię ja sam i tacy jak ja, jeśli ich ta ziemia wyda. Wojnę wydam wrogowi i sprzymierzeńcowi wroga w ojczyźnie ja sam i tacy jak ja, jeżeli się znajdą w ojczyźnie. Nie wydamy wojny bez pewności zwycięstwa. Ażeby osiąść pewność zwycięstwa, trzeba osiąść broń, środki i sposoby walki. Ażeby je osiąść, trzeba zacząć nie od rzeczy najłatwiejszej, od posyłania zimnym gestem wodza bliźnich na śmierć, bliźnich, których życie zżarło, a śmierć przywabia — lecz trzeba zacząć od rzeczy najcięższej, od posłania na śmierć siebie samego, gestem męża, który wie wszystko, a rozkazuje tylko sobie samemu. Trzeba rozum własny niezmiernymi, o wściekłość i szaleństwo zahaczającymi pracami — wygiąć w łuk śmiercionośny. Trzeba wykuć w pracowni bogów strzałę zatrutą. Skoroście wy przegrali sprawę w walce

z wrogiem i ze sprzymierzeńcem wroga w ojczyźnie, to teraz my samozwańcy, — łamać się będziemy z wrogiem i światem. Wszystko poczniemy dla was, lecz bez was. Na nas się zwali cały ciężar walki. Na nas się zwali nienawiść i zemsta świata. Nie darujemy sobie wywczasu, gdy wy jęczycie u boku maszyn. Ani jeden z nas nie będzie spracowany. Ujrzycie nas w oddali, w których zamieszka Polska, i musicie pokochać się w widziadłach naszych. Wyrzeczemy się dla was wszystkiego, zwlecziemy szaty aż do ostatniej koszuli. Będziemy, samozwańcy, łamać za dnia berło przemocy, czegoście wy nie zdołali złamać; będziemy wołać po nocy o dobrowolne wyzwolenie. Czego nie dokáže nasz głos, dokáže siła. Przetniemy wrzody zbierające na ciele narodowym od czasu Sasów, żeby nareszcie wyszła z nas zgniłość.

Ozdrowieje ciało polskie. Przejrzą źrenice, zalane krwią szaleństwa. Będziemy zdrowiejącym głosić pismo polskie: zrzeczenie się prawa do gwałtu i do pobratymstwa z wrogiem zewnętrznym.

KRZYK TŁUMU

Nie rozumiemy, o czym gadasz. Gadaj nam z rozumu do rozumu!

CZAROWIC

Mówię do was szczerze. Podnoszę do majestatu waszego cierpienia głos mojej samotnej duszy. W was, ludu roboczy, który jesteście w niedoli swej świętą raną bolesną, wiecznie otwartą na błoto, sypki kurz i mróz — tai się w ukryciu tyrania, wyzysk, zdrada, rozpusta i wszelka zbrodnia, która przed oczyma waszymi jawnie wybuchła w uczynkach waszych tyranów, wyzyskiwaczy i rozpustników, żyjących z waszej krwi.

KRZYK TŁUMU

Precz! Znieważa nasz ból! Oszust! Wygnać! Wyrzucić!

CZAROWIC

Skoro my, samozwańcy, podejmiemy walkę ze sobą i ze światem, ażeby do was przyjść w nagości naszych ciał — skoro każdy z nas zamknie w sobie całą polską ojczyznę, to i każ-

dy z was to samo uczynić musi. I wy musicie podjąć walkę ze sobą.

Tak tylko we wszystkich nas może zstąpić polska ojczyzna. Tak ozdowieje ciało polskie. Tak się wyzwoli dusza.

#### KRZYK TŁUMU

My nie mamy portek, więc nie mamy co zwłóczyć. Żony nasze rade by właśnie czymś okryć nagość swojego brudu.

#### CZAROWIC

Nie chcę wam zmniejszyć zarobku. Chcę go wam powiększyć do tej właśnie granicy, gdzie winna być granica posiadania waszych wyżywkowców. Lecz wzywam was do żołnierstwa w wielkości, do zakonu zjednoczenia się duszy ludowej. To zjednoczenie się nasze będzie naszą polską religią.

## GŁOS Z TŁUMU

Zdejm buty i chodź na bosaka, kozłowito<sup>82</sup>,  
religiancie!

## CZAROWIC

Nie można wygrać wojny z wrogiem zewnętrznym, jeśli się wprzód nie zespolić, nie opasać znakiem powszechnej szlachetności. Umie-  
liście się głodzić w ciągu tygodni, potrafiliście  
wtedy dociągnąć się duszami do paragrafu tego  
prawa, o którym ja mówię. Był to wasz pierw-  
szy post, był to początek czuwania dusz przed  
wielkim świętem ojczyzny.

## BOŻYSZCZE

*do* CZAROWICA

Mów im o nagrodzie róży.

---

<sup>82</sup>*kozłowita* (pogard.) — mariawita, wyznawca mariawityzmu: polskiego odła-  
mu katolicyzmu opartego na kulcie Marii (nazwa pochodzi od słów: „*Mariae  
vitam imitantes*”, tj. naśladowcy życia Maryi), podążaniu drogą pokory, miłości,  
czystości i modlitwy; wyznanie powst. na przełomie XIX i XX w., po objawieniu  
Miłosierdzia Bożego, którego miała dostąpić polska zakonnica Feliksa Kozłow-  
ska (zw. Mateczką) w 1893 r. i które zobowiązało ją do podjęcia misji uzdrowienia  
polskiego duchowieństwa; Mateczkę Kozłowską wspierał w jej działaniach ks. Jan  
Kowalski; mariawici działali początkowo w ramach kościoła rzymskokatolickie-  
go, zachowując jego zwyczaje i praktyki pobożnościowe, jednak w 1906 r. papież  
Pius X nałożył na założycieli wspólnoty ekskomunikę. [przypis edytorski]

CZAROWIC

Cóż człowiekowi przyjdzie, chociażby strajkiem wydarł z fabrykanta niebywałą zapłatę? Przydarzyło mi się widzieć takich, o czym tu już słowo padło, że wydusiwszy z fabrykanta niebywałą zapłatę, po dwie brali utrzymanki, a bawili się nimi tylko do czasu ciąży. Potem je wyrzucali na bruk...

KRZYK TŁUMU

Kiedy fabrykant nurza się w rozpuście, ty do niego z kazaniem nie idziesz. Precz, zdrajco robociarskiej sprawy, płatny fabrykancki agitatorze, romantyku, ideologu, obłąkańcze, ojczyźniaku!

CZAROWIC

Daleko, tam, skąd przychodzę, widziałem na własne oczy takich, którzy wyrzekli się byli ojca i matki, umiłowanej kobiety, szczęścia ojcowstwa, domu i ojczyzny, sławy i własnego odzienia — widziałem takich, którzy wdziali kajdany i więzienną opończę na całe życie, ażebyście wy mieli coraz lepszy dom i coraz lepszą

zapłatę, ażebyście mieli żony i utrzymanki, ażebyście mogli hulać po nocy i pić zdrowo.

Musicie i wy — przez honor proletariacki! — zrzec się prawa do hulatyki i rozpusty. Mówią tamci: nikt nie wyrzekł się więcej niż ja — ani jeden proletariusz nade mnie! — Musicie i wy przez miłość wspólnego ideału...

#### KRZYK TŁUMU

Wynoś się raz nareszcie, idealisto, mnichu, kozłowito! Kładź na się kajdany i więzienny strój!

## OBRAZ DRUGI

*Wnętrze szopy na polu, murowanej z kopanego w głębi ziemi kamienia, który zowią siwakiem. Bryły nieforemne kamienia spojone są gliną. Dach kryty papą smołowcową. Powąły nie ma, podłogi również. Do wnętrza prowadzą wielkie, stajenne wrótnie, w danym momencie przymknięte. Szereg podłużnych okienek w górze pozabijano umyślnie deskami, żeby wytworzyć ciemnię. Ławki z tarcic, przybitych do słupów, powbija-*

*nych w ziemię, ustawiono w poprzek wnętrza. W środku sali na pace od obroku, dnem do góry wywróconej, stoi duża, najnowsze systemu latarnia czarnoksięska. Na przeciwległej ścianie szerokie, białe płótno. Tłum chłopów, rzemieślników, dziewcząt, chłopców ze szkoły, dzieci i garść osób z inteligencji zajmuje ławki, stoi w kątach, siedzi na brzegu paki, zwisa z gzymsów muru pod dachem. Na dworze mrok. Zima. Wiatr. Śnieg z deszczem. Na płótnie ukazują się obrazy rzucone z latarni czarnoksięskiej. PRELEGENT, człowiek młody, o pięknym głosie prowadzi wykład. Twarzy jego w mroku nie widać. Tylko długie jasne włosy słabo bieleją.*

#### PRELEGENT

Ten siedemdziesiąty szósty z rzędu odczyt nasz w tej szopie, ze względu na przypadającą dziś rocznicę styczniowego powstania, koło nasze postanowiło wypełnić obrazami Artura Grottgera i objaśnić te obrazy w odczycie. Niech was to nie dziwi, że te obrazy przerywają



nasz systematyczny kurs nauk, któryście<sup>83</sup> już słyszeli.

Nie mogliśmy o pamiętce tego dnia zapomnieć, a malarz, którego dzieła wam tutaj pokazemy w obrazach świetlnych, najlepiej nam przypomni dzieje powstania.

*Obok PRELEGENTA staje młoda kobieta i dwa kwadratowe przezrocza wsuwa w ruchomą ramkę latarni. Przesunęła lekko ramkę. Ukazuje się na dużym płótnie prześliczny, wielce powiększony obraz aresztowania z Polonii Grottgera. Głuchoniemy zachwyty ogarnął wraz zgromadzonych. Nie słychać ani jednego głosu, ani jednego tchu. Wiatr tylko wyje w szparach poddasza i pluszcze wilgoć ściekająca.*

Co to było powstanie? Niejeden z was je pamięta...

KUBA

*stary wyrobnik, wzdycha*

---

<sup>83</sup>któryście (...) słyszeli — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika, inaczej: który słyszeliście. [przypis edytorski]

Och!... Albo się to człowiek mało naterał w polach, w partii Lelewela<sup>84</sup>...

PRELEGENT

Ja powstania nie widziałem. Urodziłem się znacznie później. A przecież je znam, jakoby czas, który się za młodu na oczy widziało. Widziały ten czas na własne oczy matki nasze i dużo nam o nim mówiły. Powstanie — był to czas, kiedy ludzie polscy różnego stanu, majątku i zajęcia chwycili za broń, wydali wojnę najezdnikowi, wyszli z domów, tułali się po lasach, spali na gołej ziemi. Spał na gołej ziemi nasz Kuba i spał jaśnie pan ze dwora. Wojnę tę przegrali, a za swój czyn wycierpieli najsroższą karę w Sybirze, na wygnaniu i w mniemaniach swoich rodaków. Różne są sądy o tym ich uczynku i rozmaicie są przedstawiane dzieje tych lat. Można powiedzieć, że co człowiek, to inny sąd o tej sprawie wydaje. Ja nie chcę tutaj przyłączać się do żadnego sądu i żadnego mniemania nie będę się trzymał. Postąpię sobie tak, jak ów malarz, którego obrazy wam poka-

---

<sup>84</sup>*partia Lelewela* — demokraci. [przypis edytorski]

żą. Ucznę wraz z wami wolę czcigodną tych ludzi polskich, którzy wyszli z domów, rzucili rodziny, dzieci, interesy, tułali się w lasach, spali na gołej ziemi, ponieśli rany i śmierć, żeby los kraju poprawić, a potomnym dać wolność i szczęśliwszą dolę.

*Tłum głucho i głęboko westchnął. Uczniowie ze szkoły rzemiosł, wyrostki pod wąsem, skupili się ramie w ramie w niemym milczeniu, patrząc, zacisnąwszy zęby. Dzieci ze szkół początkowych szepcą, pokazując sobie szczegóły obrazu. Słuchacze kursów wieczornych sennie, głęboko dumają.*

Co oznacza ten obraz, który tu widzicie? Jakiś człowiek spał był w domu. Nad łóżkiem jego widać półkę, na niej książki...

*Cizba posuwa się bliżej, falą. W ciągu sekundy trwa zjednoczenie inteligencji, posiadaczów, rzemieślników, chłopów, robotników w uniesieniu, które mogłoby się stać źródłem odradzającego czynu. Nikt w tym gronie nie mógłby powiedzieć: Polska — to ja. Wszyscy mogliby o sobie powiedzieć: My — to Polska. W ciągu krótkiej sekundy trwa stan, jakiego w życiu gromadzkim Polski*

*nie ma wcale, a jaki w ludzcie i wojsku japońskim, prowadzącym wojnę, był ciągle a bez odmiany: zdolność do ofiary, uniesienie czynne, czyli miłość ojczyzny, świadoma swego źródła, swych dróg i celu.*

#### PRELEGENT

Oto w nocy wdarł się do mieszkania nieprzyjaciel. Znacie te dzieje: łomotanie we drzwi po nocy, najście zbirów moskiewskich na dom, rewizja, aresztowanie.

*Dwaj rzemieślnicy — MULARZ i MALARZ pokojowy — chyłkiem uchylają wrótni i wymykają się na zewnątrz. Za drzwiami pod okapem dachu zapalają papierosy i z cicha gwarzą.*

#### MULARZ

Zimno psiamać! A będzie paplał najmniej z godzinę. Dopiero się zaczęło, a mnie już gnaty zdrętwiały.

#### MALARZ

Siedziałyby oto człowiek u Mendla, wydoiłby tę butelczynę piwa... Nie! Stercz co niedziela w tej budzie, słuchaj o fizykach, elekstrykach,

botanikach, balonach, gwiazdach i sztucznych nawozach. Choroba!

MULARZ

Nudno, że człowiek na stojączkę zasypia.

MALARZ

No, ja muszę tu gębą świecić i uśmiechać się, jak zapisał, bo mi się u nich szykuje robota na całe lato przy tej ta ich wariackiej szkole, ale pan czego się tu flańtasz, to mi w głowę nie włazi.

MULARZ

A mam w tym swoje rachunki. Chciałbym wziąć robotę u tego na górze.

MALARZ

Widział pana już?

MULARZ

Dydek<sup>85</sup> go ta spenetruje. Szedł koło mnie, nawet okiem rzucił, jakem mu czapkował, ale czy mię widział, to kto go ta „rozbierze”. On zawsze patrzy tak, jakby widział akuratnie nie

---

<sup>85</sup>dydek a. dydka — diabeł. [przypis edytorski]

to, na co patrzy. Diabli wiedzą, co to jest za człowiek.

MALARZ

A wiesz pan, że ja jużem sobie nieraz myślał nad tym — co to jest za numer.

MULARZ

Jakiś w tym szwindel, mój panie, musi być. To by bez szwindla nie obstało. Po co by to robili? Przecie to koszta, zabiegi, starania. Albo to tamte, endeki, nie urządzały odczytów? Przecie to samo latali po wsiach z tymi swoimi latarniami jak koty, kiedy im ogony w patyki powszczepiać. Pokazało się potem, o co szło. O poselstwa. Zostali posłami — „do izby” — hy! — i szlus. Żadne im ta teraz odczyty nie w głowie, jak sobie do tej „izby” powchodziły — i po cztery tysiące rubli na rok w kieszeń pchają.

MALARZ

No, ja panu powiem, że człowiek człowiekowi nie równy. Ci sami na te interesa psioczyli. Diabli ich ta zresztą rozgryzą, o co im idzie.

Jakieś w tym pewnie mają osobne wyrachowanie. Teraz nędza w modzie. Im większy pan, tym głodniejszemu oberwańcowi rękę podaje, bo przez to większego waloru nabiera.

MULARZ

To jest prawda, wiesz pan, że bywa między nimi i dziwny człowiek. Na ten przykład choćby ten biały. Całą jesień w tym ta sklepiku kooperackim przesiedział, naftę i śledzie, tabak i słoninę sprzedawał, ręce poodmrażał... Powiedźże mi pan, co miał w tym za interes? Jużci jakiś interes musiał mieć, ale teraz nie wiadać. Albo może jucha taka już strasznie głupia, że nie ma o czym gadać...

*BOŻYSZCZE i CZAROWIC wychodzą z za węgła szopy i zbliżają się do rozmawiających*

CZAROWIC

Dobry wieczór! Można posłuchać odczytu?

MULARZ

Czy ja wiem? A panowie skąd?

CZAROWIC

My jesteśmy podróżni.

MULARZ

A skądże panom było wiadomo o tutejszym odczycie?

CZAROWIC

Słyszeliśmy od chłopów we wsi.

MULARZ

A żaden z tych chłopów nie przyprowadził panów? Czemuż to? Co to za chłopci gadali o odczycie?

BOŻYSZCZE

Jeden z nich powiedział swe nazwisko: Grześ Wójcik. Młody chłopiec, dorodny, rumiany, wysoki. Grześ...

MULARZ

A Grześ — no to co innego. To już wiadomo.

CZAROWIC

Więc można?

MULARZ

Jeśli Grześ powiedział — to można.



BOŻYSZCZE i CZAROWIC *wsuwają się do wnętrza i wsiąkają w tłum zwarty.*

MALARZ

Zrazu myślałem, że szpicle, ale to, widać, z Grzesiowej kompanii.

MULARZ

Co by tu zresztą mieli do szpiclowania. Na te odczyty jest pozwolenie. Sam przecie głupi wójt słucha...

*Uchylają drzwi i nastuchują.*

PRELEGENT

Oto znowu inny obraz. Wnętrze dworu. Widzicie te płaczące kobiety? Straszna przyniósł wieść człowiek, który stoi... Cóż to za wieść mógł przynieść ten człowiek?...

BOŻYSZCZE *niewidzialnie staje za plecami osoby zakładającej klisze i w chwili jej nieuwagi w opróżnione miejsce po wyjęciu obrazka spuszcza kliszę swoją. Niewiasta przesunęła ramkę. Ukazuje się obraz nienależący do cyklu Polonii. Widać w oddali górę zarostłą jałowcem. Pod nią wioska. Na przedzie obrazu opłotki i droga, której kole-*

*iny biegną wprost ku widzom. Tą drogą ucieka powstaniec półnagi, skrwawiony, ranny na całym ciele. Twarzy jego nie widać, gdyż jest zapuchnięta od przebić bagnetem i zalana krwią. Na włosach ma jak gdyby czapkę ze krwi zaschniętej i zaskorupiałej — nogi bose. Po jego zgrzebnej koszuli sączą się czerwone strugi. Gonią go chłopcy z wioski podgórskiej w Kieleckiem — rzucają weń kamieniami, skibami przemarzłej ziemi, żeby go oszołomić, pojmać, związać i za zapłatę odstawić skrepowanego do miasta, generałowi Czengieremu. W tłumie odczytowym gwałtowne, nieme poruszenie.*

PRELEGENT

*oniemiały wpatruje się w obraz. Przeciera oczy. Szepce.*

Co to za klisza? Skąd taki obraz? Usunąć! Proszę natychmiast usunąć!

*Pomocnica przesuwa ramkę.*

To była jakaś pomyłka. Zaplątana klisza skądinąd... Wracam do rzeczy. Musimy rzucić zasłonę na wszystko, co było w tej przeszłości

okrutnego z jednej lub drugiej strony. Czas już zapomnieć i czas przebaczyć! Musimy z tej przeszłości wybrać tylko to, co nas łączy, co nas spaja, co nas podnosi, ożywia, w czym jest siła, honor i wesele życia.

*BOŻYSZCZE w opróżnioną po wyjęciu kliszy przegrodę ruchomej ramki wpuszcza nowe przeczucie. Ukazuje się wnet obraz zamglony, w którym na początku trudno coś rozpoznać. Stopniowo, jakby ze mgły, wyłaniają się budowle, później coraz wyraźniej widać gumno, tłum ludzi, człowieka obnażonego na śniegu. Śnieg skrwawiony. Nareszcie z olśniewającą wyrazistością widać ohydłą scenę jakiejś kary. Rozciągnięty nieprzystojnie chłop drga pod łożami. Prelegent gwałtownym ruchem odsuwa kliszę. Ukazuje się scena, gdzie chłopci pomagają zbierać rannych na polu bitwy.*

#### PRELEGENT

Oto mamy widok ojczysty, widok, który nam serce krzepi. Takich oto wszyscy potrzebujemy gwałtownie widoków, które by nam

nie wątkliły serca, które by w nie wlewały siłę  
i otuchę umacniającą!

CZAROWIC

*z głębi audytorium*

Na pół godziny uniesienia. Po upływie tego czasu już znowu potrzebujecie widoku, który by w was wlewał siłę i otuchę umacniającą. Ciągłe się tak krzepicie i umacniacie, odwrócenie od prawdy, ciągłe się podpalacie i grzejecie, a zimni jesteście jak sople lodu, martwi w całych kupach, jak kupy popiołu!

PRELEGENT

*groźnie*

Kto mówi?

CZAROWIC

*groźnie*

Gorycz mówi.

PRELEGENT

Och, ta uroczyta, bezsilna gorycz wasza, którą po nieszczęsnej ziemi obnosicie jak upadła dziewczyna swój bezwstyd — nie umiejąc

nic nowego wskrzesić, nic mocnego związać!...

CZAROWIC

Lepiej jest obnosić pajęczynę obłudy, zalepić nią po staremu rany wygniłe. Należy być młodym Tobiasza synem<sup>86</sup>, wyszukać żółć we wnętrznościach ryby i żółcią trzecią oczy ślepego ojca, żeby światło ujrzały. Niewola leży w nas samych. Niewola leży w ruchu ręki twej, kiedyś obraz niemiły odepchnął...

*Za szopą, w nocy, daleko słychać urwany, niespokojny krzyk. Chłopiec wiejski, dwudziestoletni, GRZEGORZ WÓJCIK, bez czapki, z roztrzepanymi włosami, wbiega do szopy, wołając.*

GRZEGORZ

Kozacy we wsi!

---

<sup>86</sup>*Tobiasz a. Tobit* — postać biblijna, gł. bohater *Księgi Tobiasza*; jego syn, również o imieniu Tobiasz (znaczenie: „Jahwe jest moim bogactwem”), idąc za radą archanioła Rafała, przyłożył ojcu na dotknięte bielmem oczy żółć ryby wylowionej w czasie przeprawy przez rzekę Tygrys, co przywróciło Tobiaszowi seniorowi wzrok; podobnie młody Tobiasz, dzięki archaniołowi, wypędził ze swej żony Sary złego ducha, Asmodeusza, który doprowadzał do śmierci wszystkich jej dotychczasowych wybranków. [przypis edytorski]

PRELEGENT

Spokojnie! Bóg zapłać, Grzesiu, za ostrzeżenie. Mamy papier zezwalający na odczyt...

GRZEGORZ

Pytali się o drogę do szopy. Pokazałem im w inną stronę. Ale tu trafiają.

PRELEGENT

Zgasimy latarnię. Rozejdziemy się powoli, bez popłochu. Kiedy przyjadą, będzie tu już pusto. Tylko bez popłochu! Spokojnie, spokojnie!

*Gasi latarnię. Zebrani powoli opuszczają szopę. Słyszeć szepty niespokojne dzieci, płacz kobiet. Ktoś wynosi latarnię. Chłopcy ze szkół z wolna wychodzą za drzwi. W nocy na zboczach góry widać płomień smolnej pochodni, wskazujący szlak, którym pędzą kozacy. Słyszeć głuchy tętent koni. Pochodnia zapada w dolinę, ukazuje się na sąsiednim pagórku i zdaje się lecieć w powietrzu przez czarne pola ku szopie. Wiatr jej płomień szarpie i rzuca go na strony. Z tłumu, który się oddalił na przeciwległe wzgórze, docho-  
dzi pogwar, pomruk, szept. Tętent coraz bliższy.*

PRELEGENT spokojnie zamyka wrota pustej szopy i odchodzi w noc. Przed zamkniętymi drzwiami zostaje BOŻYSZCZE i CZAROWIC, obydwaj w czarnych, żelaznych zbrojach, na głowniach mieczów oparci. Czekają.

## OBRAZ TRZECI

Wielka sala balowa przeistoczona na czarodziej-  
ski pałac. Tłumy publiczności. Na galeriach, w lo-  
żach piętter i parteru wychylone ku głębi rażąco-  
-białe gorsy koszul, koafiury i obnażone ramiona  
kobiece. Wnętrze sali tak doszczętnie zapetnio-  
ne jest przez publiczność w fantastycznych kostiu-  
mach, w strojach balowych i frakach, że dla tań-  
czących został jedynie wąski, dwumetrowej szer-  
kości, przesmyk, jak elipsa obiegający wokół salę.  
W przesmyku tym krążą, kołują do taktu walca  
i marząco wypoczywają pary tańczące. Muzyka  
rozkołysała już ludzką masę. Wysoce artystycz-  
ne a oryginalne upiększenie sali za pomocą wi-  
trażów i specjalnie w tym celu wykonanych ob-  
razów przez najmodniejszych artystów — dodaje

zabawie szczególnego uroku. Balkon przystrojony jest fryzem, zwieszającym się na salę. Żyrandole elektryczne, przyćmione fantastycznymi przezroczami, rzucają światło podnoszące nastrój nerwowy. — Wszystkie oczy kierują się ku sztucznie wzniesionej estradzie przybranej w girlandy kwiatów, gdzie zza pąsowej kotary z ciężkiego aksamitu mają się ukazywać fantastyczne postacie i symbole. Snują się coraz żywiej gospodarze balu. Gwar rozmów staje się coraz bardziej podniecony i przemienia się jak gdyby w akompaniament dla innerwacyjnych ukołysań muzyki. Zapach perfum ulatuje nad salą. Migocą brylanty i roziskrzone oczy, lśnią wielobarwne materie, pióra wachlarzów i łagodnie mieni się między czarnymi frakami biały atlas. Nowe fale wciąż napływają przez rozwarte drzwi, a nie znajdując już miejsca w sali, wypełniają przedsionki, parlatoria, marmurowe schody i boczne korytarze. Radość kipi w tym tłumie jak szampan w kielichu. Zbiorowy, radosny pół okrzyk ciżby balowej daje się słyszeć, gdy z nagła rozsunięto szkarłatną zastonę. Jakoby w ramach szerokich ukazuje się postać kobieca



w czarnym, szerokofałdzistym, aksamitnym kostiumie. Wysoki, czarny kaptur okrywa jej głowę, obfita szata, niby z całunu ściągniętego z katafalka uszyta, osłania jej postać. U dołu szaty wyhaftowane białe róże ślicznie stanowią ornament, szlak jak gdyby żałobny. Mała rączka, w tym na pozór celu, żeby dać swobodę zstępującym stopom, wolno unosi brzeg żałobnie ciężkiej szaty i odsłania w cielistej pończosze nogę aż do kolana. Spod posępnego kaptura wychyla się piękna twarzyczka, nosząca znamię niemal — dzieciństwa, tudzież skończonego diabelstwa. Naiwne, błękitne oczy zezują na prawo i na lewo, delikatne usteczka przystrajają się w uśmiech czarownie zepsuty od zarania. Snopy rażącego światła reflektorów, umieszczonych gdzieś w głębi teatru, padają na postać, uwydatniając niezwalczony wdzięk tej rozpustnej żałoby. Piękna, aksamitna suknia boleśnie lśni w świetle. Pod czernią falują od wzruszenia młode piersi. Postać z lekka nachyla się, gdy ją kamieniuje burza oklasków, i zsuwa się falisto ze schodów, zupełnie jak towarzyszka Messa-

*liny w obrazie Aubry Beardsley'a. Z grupy panów stojącej obok estrady słysząc głosy.*

PIERWSZY

Cóż za uśmiezek!

DRUGI

Co za spojrzenie!

PIERWSZY

No, to musi być numer taka panna!

DRUGI

Co za wdzięk w uchyleniu tej czarnej spódnicy...

TRZECI

Czy nie znajdujecie panowie, że taka spódnica to przecie dla nas klęska.

DRUGI

Ona to dobrze wie.

TRZECI

Jeżeli wie, to czemuż urąga naszemu bólowi.

PIERWSZY

Może ów ból dałoby się za jakąś cenę ukończyć...

TRZECI

A czy nie wiecie przypadkiem, kto to taki?

DRUGI

Oho! — Już połknęliśmy haczyk...

TRZECI

Ależ nie! Tylko że wyszła tak niespodziewanie, jak z obrazu tego rozpustnika Beard-sley'a wyszła, jak tamta wychodzi z za cielska Messaliny.

DRUGI

A gdzież jest Messalina?

PIERWSZY

Dajże pokój! Wszakże ta żałobnica wystarczy...

*Rozwarła się, przed chwilą zawściągnięta, zasłona. Ukazał się rycerz, zakuty od czuba do pięt w błyszczącą zbroję blaszaną, w hełmie ze spuszczonego nanośnikiem, z olbrzymim mieczem drewnianym i kitą, świeżo umalowaną na czerwono. W tłumie słychać głosy.*

PIERWSZY

A... otóż i nieodzowny rycerz...

DRUGI

No, dobrze, owszem. Widzimy. Brawo, rycerzu, z ciotczynym piórem, świeżo ufarbowanym! Widzieliśmy.

TRZECI

Jesteśmy ludzie niewojenni, nad-cywilni, pozamilitarni. Nic nie mamy do czynienia z pałazami. Darmo nas podjudzasz do „czynu” swym blaszanym durszlakiem.

CZWARTY

Podnieś no — nieustraszony — maskę z fizjognomii!

TRZECI

Nie udźwignie, bo to z prawdziwej blachy cynkowej, wyprodukowanej w Dąbrowieckim Zagłębiu.

DRUGI

Ostrożnie! To może jaki Zawisza Czarny...

TRZECI

Dziś już takich nie ma. Są tylko Wisusy spod Czarnej Topoli.

CZWARTY

No, i czegoż on jeszcze stoi? Widzieliśmy, nawzdychaliśmy się. Jesteśmy ludzie umiarkowanej ambicji *Bella gerant alii* — mój blaszany Zawiszo — my siejemy rzepę wszędzie, gdzie się tylko da, tudzież buraki na tym właśnie miejscu, gdzie toczyły się boje. Potrzebujemy godziwej zabawy i dlatego przybyliśmy w to miejsce — nie znajdujemy jednak, żeby patrzeć na ciebie...

TRZECI

Potrzebujemy widoku ognistych kobietek...

CZWARTY

O, ten znowu swoje! Nie nadajesz się do dyskusji.

TRZECI

Ja, istotnie, sam to czuję, że nadaję się tylko do dziewcząt...

## PIERWSZY

Panowie! Skoro niczego nie szanujecie, szanujcie wszelako — przeszłość.

## TRZECI

My przeszłość szanujemy w miarę możliwości — *wszelako* wolimy od najbardziej szanowanej przeszłości najbardziej współczesne facetki.

*Rycerz, oburzony do żywego daremnym wy-  
czekiwaniem na oklaski, zstępuje okrakiem ze scho-  
dów, szeleści złośliwie blachą, kiwa strusim pió-  
rem i bezstawnie przepada w masie. Po chwili  
w szeroko rozsuniętych połowicach zastony ledwo  
się może pomieścić dama, odziana w doskona-  
le stylowy strój z czasów Diego Velasqueza. Do-  
skonaty jest długi jej stanik i podpięcia krótkiej,  
a niebywale szeroko rozpiętej sukni. Spod splotu  
rudej peruki wyzierają prześliczne, błękitne oczy  
i rysy nieposzlakowanej piękności, jakby w kamei  
rzeźbione. Głosy w dalszych i bliższych grupach  
wiedzów.*

## PIERWSZY

Bogowie! Cóż to za śliczna papużka...

DRUGI

Ależ to mieszkanie, lokal — taka spódnica.

TRZECI

Lokatorze, uważaj no, że wokół słuchają damy.

DRUGI

Ależ ja w najniewinniejszej myśli, po prostu...

TRZECI

Ja wiem, że ty po prostu...

CZWARTY

Księżniczko! Infantko! Królewno!

TRZECI

Patrzcie, panowie... Z odległych wieków, z dworu Filipa IV przyszła do nas ta dama. Jest jak u siebie. Rozstąpcie się, zróbcie miejsce dla niepisanej jej mości krynoliny. Nie przybyła do barbarzyńców...

DRUGI

Przybyła do narodu, który umie czcić wszelkie na świecie krynoliny.

### TRZECI

W tej złośliwości kryje się prawda. Jesteśmy bliscy kultury zachodu — starej i nowej. Drogi nam jest zachód. Cierpimy, przykuci do wschodniego barbarzyństwa.

### DRUGI

Cierpieliśmy zresztą tak zawsze. Już Wacław Potocki w *Wojnie chocimskiej* opiewał nasze zmartwienia:

### TRZECI

Co za pamięć! A przecież — jak wówczas, tak samo i dziś satyryk był, jest i będzie u nas instytucją najmniej pożądaną i pożyteczną. To rzecz szczególna, że z Polakiem wszystko można zrobić pochwałą, nic naganą. Taka natura.

### DRUGI

No, bat nic sobie nie robi z tej natury. Poza sferą bata, istotnie, najbardziej pożytecznym był dla nas zawsze ten, kto w nas wmawiał przymioty, jakich zgoła nie posiadamy. Zdaje się, że to zawsze tak będzie. Pochlebstwo, zda się,



najbardziej nas będzie zawsze jednoczyło w naród.

### TRZECI

Jakąż społeczność, jakie towarzystwo osób może jednoczyć brutalstwo, wypowiedane prosto w oczy i ze złośliwością? To przecież jest czynnik destrukcyjny...

*Dama à la Velazquez* zstępuje wśród oklasków na swych wysokich korkach i natychmiast, otoczona przez tłum mężczyzn, wplata się w taneczne koło. Miejsce jej na estradzie zajmuje dama jak gdyby wyjęta z *Rape of the lock* Pope'a w kofurze niezmiernie wysokiej i wspaniałej, w sukni dekolowanej, strojnej i szerokiej. Z oczu jej, ze skrzywionych usteczek, wieje przewrotność, pasja i zmysłowy szal. Dama budzi sympatię. Słysząc głosy.

### PIERWSZY

Urocze jest, moi panowie, życie, zaręczam wam. Nigdy nie skusi mię wasz pesymizm...

DRUGI

Życie jest śmiesznie piękne, jak ta dziewczyna, odziana w tak niewiarogodne objawy cywilizacji zachodniej.

TRZECI

Ona mi przypomina Mozarta, jego muzykę w *Così fan tutte*.

DRUGI

Panie! Życie przemija jak sen. Nie możemy go wcale pojąć, jak nie można pojąć snu. Starość jest zła, potworna, jak przebudzenie ze snu. Jakże wrócić życie, jak wrócić sen?

CZWARTY

Sztuka, poezja...

DRUGI

Sztuka...

*Dama zstępuje wśród powszechnego aplauzu. Wychodzi z za zasłony ułan polski, wszystek złoty od żółtych rabatów i lampasów. Lśniący kask bajecznie ozdabia jego zadartą głowę — kita diablo stroi kask. Ułan ćmi fajeczkę brûle-gueule, po-*

*prawia szablę i uśmiecha się z tryumfem do burzy, do szaleństwa oklasków. Głosy.*

PIERWSZY

Nasz!

DRUGI

Oto właśnie! Tego chcieliśmy widzieć!

PIERWSZY

Brawo! Jakby wyrwany z naszych serc!

TRZECI

Nareszcie coś, co krzepi ducha i raduje oczy.  
Co to za strój, co za dzielność.

CZWARTY

Do mordowania Hiszpanów, broniących swej  
ojczyzny.

TRZECI

O — już jest!

PIĄTY

Pierwszą nagrodę ułanowi!

TRZECI

INFANTKA

*w stroju à la Velázquez do grupy otaczających ją młodzieńców*

Kiedyż panowie przywdziejecie nareszcie takie oto ułańskie stroje?

BLONDYN

Pani! Już wkrótce. Już bliski jest ten czas.

BRUNET

Czy organizuje się znowu jaki bal kostiumowy?

MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

Młody Izydor Działoszycki — dawniej Działoszycker — kazał się portretować w stroju tego ułana. Malował go sam Drągal, zwany Pinturichio... Mundur i inne efekta żołnierskie, które mamy szczęście widzieć na tym indywiduum, są indywidualną własnością Izia z Działoszyckiego.

DAMA W WIEKU

*do otaczających pań*

„Matkami niewojennej — niech wam wstyd będzie zwać się generacji”...

PAN Z ZAROSTEM

*do wykształconego sąsiada na ucho*

Czy to jest z tego Słowackiego?

PAN WYKSZTAŁCONY

*szeptem*

To, zda się, z Leopardiego<sup>87</sup>.

MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

Ten Leopardi nosił przez całe życie garb z tyłu i garb z przodu. Za pośrednictwem garbu na przedzie brzemienny był w tak krwiożercze aforyzmy.

PAN Z ZAROSTEM

Takie wiersze w epoce rozbrojenia i konferencji w Hadze! My zawsze spóźnieni jesteśmy w stosunku do Europy i jej kultury co najmniej o pół wieku.

MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

*uspokajająco*

---

<sup>87</sup>Leopardi, Giacomo (1798–1837) — filozof i poeta wł. epoki romantyzmu, prekursor pesymizmu jako systemu filozoficznego. [przypis edytorski]

To tylko mamy na pociechę, że możemy się łatwo rozbroić. Gwizdźmy na tego żołdaka, zmusimy go jednomyślnie, żeby zmykał do garderoby, zdjął lampasy, oddał je do zbrojowni Izia Działoszyckiego — i już po naszym rozbrojeniu. Jak sądzisz?

PAN Z ZAROSTEM

Mogłoby to damom zrobić przykrość, gdybyśmy się względem tego żółtego lansjera czy szwoleżera tak niezyczliwie i niegrzecznie zachowali. Byłoby to nie po polsku, niegrzecznie i nie wiadomo by z jakiego powodu.

MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

I na to jest rada. Moglibyśmy się zasłonić względami natury politycznej. Moglibyśmy zapytać, czy należy drażnić czynniki miarodajne widokiem żółtych lampasów w chwili wytężonych „zabiegów” naszego przedstawicielstwa i w sposób lekkomyślny utrudniać wymienione *zabiegi*? Jak sądzisz?

PAN ŁYSIEJĄCY

Dysputa polityczna? Panowie — w konie!  
Zmykajmy, uchodźmy sromotnie do bufetu,  
zasłońmy się od walki tych stronnictw małą  
czarną i większym Curassao de Chypre.

GRONO DAM

Ułan — brawo! Ułan — brawo! Brawo!

*Ułan z męstwem schodzi ze stopni. Na jego  
miejsce wysuwa się nieśmiało zwyczajny zakonnik,  
jowialny grubasek z uśmiechniętą twarzą. Wita  
go szept przychylny, pomruk radosny. Głosy.*

PIERWSZY

A — bardzo nam miło powitać...

DRUGI

Czy to jest wyżej wzmiankowany ojciec Gau-  
denty?

PAN STARSZY

Moi panowie! Drwijcie sobie z czego wam  
się podoba. Tylko już od tych spraw — z dale-  
ka!

PIERWSZY

My sędziliśmy, że właśnie należałoby się tej sprawie przyjrzeć z bliska.

PAN STARSZY

W takim rozbiciu, jak obecne, niechaj to jedno przynajmniej zostanie świętością: kapłan katolicki.

DRUGI

Ależ niech zostanie świętością — my nic nie mamy przeciwko temu.

PAN STARSZY

On nam uporządkuje społeczny stosunek warstwy do warstwy, postawi na właściwym stanowisku, co zostało zepchnięte przez obłąkańców i szaleńców — on wreszcie zaprowadzi wśród ludu należytą oświatę.

MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

Tak jest. Właśnie i ja sędzę, że po podkopianiu Macierzy<sup>88</sup> — jest to czynnik najbardziej

---

<sup>88</sup>*Macierz* — Polska Macierz Szkolna, także: Macierz Polska a. Macierz Szkolna, społeczna organizacja kulturalno-oświatowa działająca na terenie Królestwa Polskiego w l. 1905–1907, której idea narodziła się wśród inteligencji warszawskiej zajmującej się pracą oświatową; celem organizacji było krzewienie i wspieranie oświaty w duchu chrześcijańskim i narodowym poprzez zakładanie i prowadze-



powołany do zaprowadzenia należytej oświaty.

#### PAN STARSZY

Po podkopaniu Macierzy... Łaskawy panie — niech przepada szkoła polska, której nie prowadzi kapłan katolicki!

#### MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

To życzenie już się ziściło. Jeżeli weźmiemy cyrkiel i jedną jego odnóżkę umieścimy w jakimkolwiek punkcie na mapie naszego kraju, a drugą odnóżką zatoczmy koło w stosunkowym promieniu czteromilowym, to na pewno w tym okręgu nie znajdziemy ani jednej szkoły, prowadzonej przez kogokolwiek.

---

nie instytucji wychowawczo-oświatowych; ochronek, szkół powszechnych, seminariów nauczycielskich, szkół średnich (w tym progimnazjów i gimnazjów) i szkół wyższych, organizowanie czytelní, bibliotek, uniwersytetów ludowych, urządzania odczytów, wykładów, pogadarek, przedstawień publicznych, wydawania i rozpowszechniania książek (przez własne wydawnictwa oraz sieć drukarni i księgarni); działała legalnie, na mocy prawa zezwalającego na prowadzenie szkół prywatnych, w 1907 r. stała się największą organizacją oświatową w Królestwie, liczyła ponad 900 kół zrzeszających 110 tys. członków, prowadziła 681 szkół początkowych (dla 63 tys. osób), 317 ochronek (dla 14 tys. dzieci) oraz 505 bibliotek, Uniwersytet Ludowy PMS zgromadził na swych wykładach ponad 8 tys. osób; 14 grudnia 1907 rosyjski generał-gubernator warszawski zawiesił działalność Polskiej Macierzy Szkolnej; reaktywowana, funkcjonowała następnie na terenie całego kraju w l. 1916–1939. [przypis edytorski]

PAN GRUBY

*do kolegów*

Panowie — ostrzegam, tu jest dyskusja o oświe-  
cie, o Macierzy i tym podobnych akcjach na-  
glących. Ukazanie się tego świętobliwego star-  
ca może spowodować jakieś grubsze składki.  
Skierujmy się raczej w tamtą stronę, gdzie mó-  
wią o rzeczach mniej niebezpiecznych...

*Zakonnik uroczyście, ale bez głębszego wra-  
żenia schodzi z estrady. Złączono zastony. Kie-  
dy się znowu rozsunęły, ukazuje się osobliwa po-  
stać kobieca. Jest wysmukła, przecudnie wynio-  
sła. Dwa czarne skrzydła wyrastają z jej ramion.  
Jedno z nich, wyrosłe z lewego ramienia, strze-  
ła wysoko i daleko w górę. Drugie, przetrącone  
zwisa i wlecze się po ziemi. Czarna, skrwawio-  
na, potargana szata osłania jej ciało. Wzburzone  
włosy opasuje żelazny sznur, spięty nad czołem  
dwoma psimi czaszkami. Bezsilne ręce wsparły  
się na wielkim mieczu, po którym krew ścieka-  
ła przed chwilą. Czarujące, tajemnicze, straszli-  
we oczy widziadła spoglądają w gromadę tańczą-  
cą. Bezwładna ręka wzniosła się z głowni mie-*

*cza i spoczęła na przetrąconym skrzydle, jakby je chciała nastawić i popchnąć do lotu. Ale nie mogło dźwignąć strudzonej postaci skrzydło wywichnięte i nie mógł jej utrzymać sandał zboczony. Bezładna ręka opadła na głownię. I znowu nieopisane oczy zwróciły całą swoją siłę w tłum. W tłumie pomruk, niechęć, złość, gniew. Słysząc głosy.*

PIERWSZY

A to co ma znaczyć?

DRUGI

Co to jest właściwie?

TRZECI

Jakiś symbol...

DRUGI

Cóż za symbol? Co znaczy ten symbol?

DZIENNIKARZ ŚLAZ

Już ja się domyślam! Panowie! Jest to echo, zabłąkane z epoki pamiętnej anarchii umysłów, obnażeń płciowych i doktrynerskiego radykalizmu na wszystkich polach etyki i socjologii.

PIERWSZY

Ach, więc to tak...

DZIENNIKARZ ŚLĄZ

Spekulanci sensacji, historycy społeczniku-  
jący sądzili, że, pokazując nam to piękne dziwo,  
wytworzą znowu efekt jak za ekstazy wiecowej.

DRUGI

Pomyłka, łaskawcy! Gruba pomyłka!

DZIENNIKARZ ŚLĄZ

Umysłowość warszawska zbudziła się już z ma-  
ligny i ze smutnym uśmiechem ironii spogląda  
wstecz na dzieje tych bachanalii myśli i słowa,  
w których sama grała rolę korybantki<sup>89</sup>.

PAN Z ZAROSTEM

Doskonale mówi!

PAN ŁYSIEJĄCY

Bagatela! — Śląz.

---

<sup>89</sup>*korybantka* — żeńska forma od: *korybant*: w mit. gr. jedno z bóstw de-  
monicznych (potomków Kronosa i Rei) a. jeden z uczestników obrzędów kultu  
frygijskiej bogini Kybele, późn. pot. synonim hulaki. [przypis edytorski]

DZIENNIKARZ ŚLAZ

Koncert waszej ekstazy myśmy nareszcie zdolali zagłuszyć naszym protestem rozsądku i dobrego smaku. Nie damy się już nigdy włóczyć przez oszalałe menady<sup>90</sup> i opluwać przez legiony histeryków i histeryczek.

PAN Z UCZERNIONYMI WĄSAMI

Znakomicie! Po prostu aksjomaty<sup>91</sup>.

PAN ROZTARGNIONY

A kto to mówi tak dużo?

PAN Z ZAROSTEM

Jak to? Nie wiesz? Toż to sam Ślaz.

PAN ROZTARGNIONY

Sam Ślaz? A cóż to za jeden?

PAN ŁYSIEJĄCY

No, Ślaz, publicysta, pisarz, dziennikarz.

---

<sup>90</sup>*menady* (gr.: szalejące) a. *bachantki* (mit. gr.) — kobiety z orszaku boga wina i płodności Dionizosa (mit. rzym. Bachusa), tańczące w nieokiełznanej religijnej ekstazie. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>*aksjomat* (z gr. ἀξίωμα) — pewnik, podstawowe założenie; w tradycyjnej logice matematycznej i filozofii (za Euklidesem): zdanie przyjmowane za prawdziwe, którego, w obrębie danej teorii, nie dowodzi się. [przypis edytorski]

PAN STARSZY

Pokażcie mi tego Ślaza, niechże go zobaczę i usłyszę.

DZIENNIKARZ ŚLAZ

Można dziś już rozpocząć dyskusję z jaką taką przynajmniej nadzieją, że w pijanym do niedawna społeczeństwie logika odzyskała swe prawa...

MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

Czy on może na serio zechce rozpocząć tu wykład i dyskutować na temat, jak to logika odzyskuje swe prawa? Co do mnie, to wolalbym rozpocząć dyskusję z tym skrzydlatym symbolem. Czy widzicie te oczy? Toż to cudo! Spróbujmy ją zaczepić, gdy zejdzie na ten padół. (*Szeptem do sąsiada.*) A nuż dałoby się ją wziąć na stajenkę... Ja bym wiele ryzykował...

PAN ŁYSIEJĄCY

Panowie! Słuchajcież z łaski swej. Toż to Ślaz mówi!

## MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

Niech ten Śláz mówi do innych. Przecie on nic innego nie robi, tylko pisze lub mówi. Kiedy pisze, przypomina mi jedną z działających kiszek gumowych, którymi stróże warszawscy polewają systematycznie rozprażoną ulicę. Woda, strzelająca z kieszki, przypomina strzały, ale to tylko nasza uluda. Przed każdą warszawską redakcją stoi jakiś Śláz i co dzień strzelającą wodą ze swej kieszki redakcyjnej polewa ulicę. Przed każdą kamienicą stoi materialny stróż i polewa ulicę. Wszystko to pod dyрекcją komisarzy policyjnych. Jedno i drugie zjawisko jest konieczne. Jedno i drugie zjawisko świadczy, że logika naszego bytu już jest znowu w murach tego, pijanego do niedawna, miasta, ale przyznajcie, na litość — jakże nudne!

## PAN STARSZY

Gdyby nie Śláz, nie tak łatwo, jak się to na pozór wydawać może, władza przywróciłaby porządek w kraju. Panowie! Szanujmy Śláz-

za! Niemało się przyczynił do ocknienia społeczeństwa z owej strasznej maligny...

MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

Ja nie jestem ulicą, a Ślązowie pobierają wynagrodzenie za pilne manewry gumową kiszka i usilność w polewaniu ulicy. Nie widzę powodu, dlaczego miałbym wysłuchiwać trzaskania wody.

PAN STARSZY

Ze smutkiem widzę, że nie jesteś pan patriotą.

MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

Patriotyzm może być jedynie kultem piękna. Patriotyzm jest systematem myślenia i sumą uczuć osłaniających piękno tarczą ochronną przed barbarzyństwem. Nie widzę w Ślązie nic pięknego.

PAN STARSZY

Wyobraża on pożytek społeczny.



MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

A więc podwójmy mu honorarium. Ja sam najchętniej dołożę nadwyżkę, jaka na mnie przypadnie.

PAN Z ZAROSTEM

Co to jest? Ślaz przestał mówić. Ślaz gwizdże!

PAN ROZTARGNIONY

W istocie ten Ślaz gwizdże.

PAN Z ZAROSTEM

Widocznie zaszła potrzeba.

PAN ROZTARGNIONY

Czy wszyscy mamy gwizdać?

MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

Do diabła! Taka śliczna dziewczyna...

PAN STARSZY

Ale jej się zachciało upiększać okropności i ohydy ruchu rewolucyjnego, anarchię, dzikie rozpasanie bandytyzmu, zachciało jej się sztucznie pięknnością zacierać straszne obrazy zwierzęcości w Łodzi, orgie feminizmu walczącego o równouprawnienie płciowe, zachciało jej

się na naszym biednym gruncie symbolizować owymi skrzydłami ekspozyturę rewolucji rosyjskiej — mówię — rosyjskiej...

MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

Przepraszam... Jako zwolennik ścisłości, chciałem zapytać — dlaczego „rosyjskiej”?

PAN STARSZY

Dlatego „rosyjskiej”, że ten przymiotnik — „rosyjskiej” — w opinii ogółu polskiego miazdzy ohydę zjawiska w zarodku, zabija samo *principium* tak doszczętnie, jak sublimat właściwie użyty zabija laseczniki. Dlatego — „rosyjskiej”. Czy to nasyciło pańską pożądlivość ścisłości?

MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

To wyjaśnienie nasyciło moją pożądlivość ścisłości, ale zabiło ścisłość pańskiego dowodzenia tak doszczętnie, jak sublimat właściwie użyty zabija laseczniki.

PAN STARSZY

Czy mogę żądać wyjaśnienia — dlaczego? Mianowicie — dlaczego?

## MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

Dlatego mianowicie, że ohydę zjawiska istotnego można zabić jedynie odczynnikiem istotnym. Zabicie *principium* za pomocą jego nieścistej genealogii i wmówienia jej w siebie, tudzież w ogół — jest czynnością ściśle polską, czyli nieobiecującą procentu od wyekspensowanego<sup>92</sup> kapitału. Jako zasadniczy przeciwnik rewolucji polskiej poszukiwałem na nią odczynników zabójczych niewątpliwie...

## PAN ROZTARGNIONY

*do sąsiada*

Czy to jakie pe-pe-pe?

## PAN Z ZAROSTEM

Zdaje się, że to jest jakieś przemądrzałe pe-de, łyse od najwcześniejszej młodości...

## PAN ŁYSIEJĄCY

Panowie! Dość tych rozpraw... Podobno należy gwizdać.

## PAN ROZTARGNIONY

No, więc gwizdźmy nareszcie!

---

<sup>92</sup>*wyekspensowany* (daw.) — wydany (o pieniądzech). [przypis edytorski]

## MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

Ja nie będę gwizdał. Rewolucja jest zwalczona, więc po co się tu fatygować. Zwalczają ją czynniki w tym celu powołane. Zresztą... ta śliczna dziewczyna...

*Postać, wyobrażająca rewolucję, zstępuje z wolna ze schodów, wlokąc po ziemi wytłamane skrzydło. Suną się z trudem ze stopnia na stopień krwawe jej sandały, bezwładnie w ręku zwisa ociążały miecz. Nim postać ta dosięgła niechętnego, wzburzonego, a tu i ówdzie wrogiego tłumu, rozdarła się zasłona, ukazując w widzialni nową postać. Jest to Goyi<sup>93</sup> Aquellos Polvos<sup>94</sup>. Skazaniec w wysokiej, śpiczastej, pisanej czapce z żeń-*

---

<sup>93</sup>Goya, Francisco José de (1746–1828) — malarz, autor fresków, grafik i rysownik hiszp. okresu romantyzmu, nadworny malarz Karola III Burbona, Karola IV Burbona i Ferdynanda VII Burbona; jego styl ewoluował od baroku i rokoka, poprzez neoklasyczny akademizm aż do preromantyzmu i preimpresjonizmu. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>*Aquellos Polvos* — rycina Francisco Goyi z cyklu *Kaprysy* (nr 23) zatytułowana *Te pyłki*, przedstawiająca postać męską o zgnębionej twarzy, pochylonej głowie, ze związanymi z przodu rękoma, odzianego w rodzaj habitu oraz absurdalnie długą, stożkowatą czapkę błazeńską, mężczyzna siedzi na podwyższeniu, jakby na scenie, otacza go poniżej morze głów publiczności, zaś z trybuny naprzeciw niego ktoś odczytuje z książki czy broszury prawdopodobnie oskarżenie; Tytuł wywodzi się z powiedzenia: *de aquellos polvos, estos lodos*, tzn. „z tych pyłków takie błoto”. [przypis edytorski]

*skim pióropuszem siedzi na czarnym stołku. Szata dziwaczna, malowanymi po niej diabłami, rodzaj ornatu, okrywa go. Twarz jego wyschnięta w więzieniach, wargi szerniałe w torturach, dłonie boleśnie ściśnięte od długich mąk. Oczy wbite w ziemię. Głosy.*

PIERWSZY

Znowu coś odrażającego!

DRUGI

Ci dekadenci po prostu lubują się w brudach, w obrzydliwościach, w perwersjach i okrucieństwach.

TRZECI

No, to zakrawa już na jakąś prowokację! Cóż to za zabawa, gdzie pokazują same ohydy?

PIERWSZY

Kogóż to ten drab ma wyobrazać, co pokazuje?

DRUGI

Jakieś nowatorskie teoryjki, nowinki z czwartego piętra, osądzone przez rozum publiczny.

TRZECI

Jakiś tedy nowator.

CZWARTY

Jakiś ateusz, burzyciel, nowinkarz, mędrek,  
zbawca ludu, łowca dusz, łapichłop.

TRZECI

Co za misterna czapeczka!

PIĄTY

Nosek się kawalerowi wydłużył.

SZÓSTY

Buzia zamilkła.

TRZECI

Schudła i wydłużyła się rączka.

CZWARTY

Bo to najprawdopodobniej jakiś Żyd albo  
socjalista.

PIĄTY

A więc powiadacie, że socjalista?

TRZECI

Socjalistyczny Żyd.

PIERWSZY

Żydowski socjalista.

DRUGI

Ach, ty socjal-żydzie, ty żydowska papugo!

TRZECI

Ty dekadencie! Naga duszo<sup>95</sup>! Jawny lubieżniku!

CZWARTY

Zwyrodniały altruisto, perwersyjny historyku wyrozumiałości dla grzechu, ty, litościwa negacja wszelkich kryteriów etycznych, ty, siewco zgnilizny, obrońco łotrów, wrogu ojczyzny i rodziny!

PIĄTY

Zamieraj co prędzej, psie diabelski!

TRZECI

Schowajcie co prędzej to wstrętne żydowskie doktrynerstwo!

CZWARTY

Zasunąć kotarę!

---

<sup>95</sup>*naga duszo* — iron. nawiązanie do koncepcji teoretyka Młodej Polski, Stanisława Przybyszewskiego, przedstawionej m.in. w manifestie pt. *Confiteor*: „naga dusza” to dusza artysty, wyzwolona z konwenansów społecznych, przekraczająca stereotypy myślenia i zachowań i przez to zdolna do odczuwania istoty bytu. [przypis edytorski]

PIĄTY

Nie chcemy patrzeć! Zabrać to co prędezej!

SZÓSTY

Precz z tym! Do trupiarni!

GŁOS Z GŁĘBI SALI

Panowie! Obrażacie wizerunek cierpienia...

TRZECI

Precz z cierpieniem! Tu jest bal, nie szpitalna sala. Cierpienie powinno być wyrzucone do odpowiednich instytucji.

MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

Pragniemy właśnie popchnąć w kierunku trupiarni to, co się ma ku zgniliznie. Nic więcej.

PIERWSZY

Kiedyż nareszcie pozwolą nam odetchnąć spokojem, ciszą, pięknem?

DRUGI

Toteż nie zwracajmy uwagi!



TRZECI

Pogardźmy wszystkim tym i tańczmy!

CZWARTY

Tańczmy!

*Zasunęła się kotara. Cisza. Daje się słyszeć głos zza zastony.*

CZAROWIC

Panie! Panowie! Szeroko, szerzej zatoczcie taneczne koło. Nadszedł nareszcie po nocy tak długiej wesela waszego czas. Nie możemy — niestety, niestety! — przywołać skrzypka godnego was, który by wam do tańca zagrał ulubioną piosenkę. Gdyż odszedł skrzypek ze służby waszej i narzędzie muzyczne zabrał ze sobą. Panie! Panowie! Przywołaliśmy w nędzy naszej ku waszej uciesze muzykusa, na jakiego nas stać. Ubrał się w co ta miał. Związane wprawdzie ma ręce, ale wam zaśpiewa piosenkę ulubioną. Wybaczcie prostakowi. Śpiewajże państwu piosneczkę, warszawski chochole!...

*Zastona się potargąta. Stanęła między jej potowami i zaraz zstępuje ze schodów postać w na-*

*krochmalonym perkalowym worze trójkątnym, spadającym aż do samej ziemi. Śpiczasty róg worka sterczy nad głową postaci. Głowa jej od tułowia oddzielona jest pętlą stryczka. Reszta urwanego postronka zwisa na piersiach chochoła aż do ziemi. Milczenie zrazu grobowe w tłumie, później popłoch, ścisk, przekleństwa, ucieczka. Słyszeć krzyki.*

PIERWSZY

Gdzież jest policja?

DRUGI

Co robi policja?

TRZECI

Wołać policji!

CZWARTY

Policja! Policja!

# SPRAWA DRUGA

*Biuro w policji tajnej. Wielka, ciemna izba. W głębi drzwi obite blachą. Na prawo mniejsze drzwi, obite ceratą. Z lewej strony wąskie, wysokie, zakratowane okno. Przód sceny oddzielony jest od głębi grubą, wyświechtaną balustradą, wysokości połowy korpusu człowieka. Z tamtej strony balustrady, w głębi sceny, stoją pod ścianami szerokie, grube ławy. Z tej strony balustrady, od widowni, po lewej ręce widzów biurko naczelnika. Na nim księgi, lampa, dzwonek i przybory do pisania. Po prawej ręce widzów, w pobliżu drzwi głównych, pali się wciąż nierówno drżący płomyk gazu. Półmrok. Gdy podniesiono zasłonę, widać w półmroku głębi na ławach ciemne figury oczekujących. Jest ich osiemnastu. Jedni drzemią nieruchomo z głowami opartymi o mur, inni rozmawiają cichaczem, ku sobie nachyleni. Ktoś chrapie z głową opartą na zgarbionych plecach sąsiada. Czterej chodzą z kąta w kąt, rozmawiając. Słychać gwar rozmowy, z którego dolatują słowa i zdania.*

PIERWSZY

Już większego magła jak tamten we czwartek, widzi mi się, że nigdy nie będzie.

DRUGI

Skądże to wiesz, te, Pitagoras? Mnie się i dzisiaj jakoś patrzy łupa jak nigdy.

PIERWSZY

A ja wam mówię, że on sam musiał się nad tamtą zastanowić. O Dudzie się nic nie dowiedział. A kto wie, czy to na wierzch nie wylezie, co z nim było. Kto wie, czy on za tamto nie beknie?

DRUGI

Pleć, gadaj! Koło brylantowe albo włodzi-  
mierza z bantom i mieczami dostanie. Wiesz  
ty teraz?

TRZECI

Kto tam co dostanie, to dostanie, a cie-  
bie, bracie, albo kramolnik kacprem przeze-  
gna, że stracisz ciepło i idziesz się grzać pod  
zieloną kołderkę, albo w ryło od naczalstwa.  
Takie twoje pieskie przeznaczenie...

CZWARTY

Co z luftu warczysz? Gnał cię tu kto do dziadowni? Sameś się prosił w szpiony, a teraz wyrzekać! Bierz smutek w troki i wystawiaj dęba, gdzie ci śpiluje.

TRZECI

Jest takie jedno, że nie daje smutku w troki wiązać. W kieszeni, bracie, ani jednej łzy, do żałowania daleko, dzieciśka skwierczą. A nie wzięto ciągiem łeb trzymać na pniaku. Lubi się życie, po prawdzie powiedzieć...

CZWARTY

Lubi się życie i piwonię u Mańki.

DRUGI

Lubi się, kasztanie, piwonię wlewać, a juchę lubi się lać na ziemię, do jasnego skonania! Niechże też czerwona chlusta w ziemię za moje sobacze życie! Tak czy nie?

CZWARTY

No, jużci tak — o co chodzi? Czego to gębą na próżno pleść?

## DRUGI

Chciałeś wolności, pętaku, masz wolność. Gdzie możesz pracować psia jego moc człowieka, aże mu z kinola wszystka jucha wyciurka? Na ziemię — he? Gdzie ma ciurkać? Do nieba? A gdzie masz taką wolność, jak nie tu, w dziedzi? Pozwolą ci pracować, psia ich mac, gumą, bykowcem, sprężyną we skórze — i pierzesz, bracie, do zielonego skonania. Bo widzisz, bracie, za twoje sobacze życie!

*W głębi słycać monotonną śpiewkę, którą półgłosem nuci.*

## SZÓSTY

## PIĄTY

Beki polują na nas, my na nich, bałwanów. Sobacza je ich mama — „Polska niepodległa”!

## TRZECI

O, Chrypa, ten wiedział, gdzie prawda. Chrypa! Te, galicyjski matolek, krakowski całują-rączka, powiadaj, jaka jest prawda...

## CHRYPA

Cichajcie, chłopcy! Nie trza prawdy powia-  
dać. Musi się skołatana ojczyzna w jedno zle-  
piać, to się też i schodzimy w jedno miejsce.

## PIĄTY

A tak, my tu są wszyscy *iz pod triach za-  
borow*<sup>96</sup>.

## TRZECI

Chrypa chodził bez szelek po Krakowie,  
słuchał, jak hejnał grają, rączki jaśniepanom  
całował za to, że portek nie ma, a teraz swój  
własny zegar nosi na łańcuchu ze śrybła<sup>97</sup>, brzu-  
cha nie może zapiąć w łódzki kort<sup>98</sup>, trzydzieści  
papierów chowa co miesiąc w pulares<sup>99</sup>.

## CHRYPA

Zarobek jest abo go nie ma. Ale który z was,  
gnojki warszawskie, potrafi tak się spracować  
jako ja? Już jak ja, bracie, tnę kramolnika w pę-

---

<sup>96</sup>*iz pod triach zaborow* (ros.) — spod trzech zaborów. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>*śrybło* (gw.) — srebro. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>*kort* — mocna tkanina wełniana o skośnym splocie, używana gł. na ubrania  
męskie. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>*pulares* (gw.) — pugilares; portfel. [przypis edytorski]

pek, to od jednego tchu macha kozła na Bródno, w piachu się bawić<sup>100</sup>. Nasza krakowska: nie dajmy się!

SZÓSTY

*śpiewa półgłosem*

PIĄTY

Co womitujesz<sup>101</sup>, Stasiek, te wiersze? Co siebie smęcisz<sup>102</sup> i drugiego, te, warszawski poeta? Całe, mówię, towarzystwo we flanelę owijasz i smęcisz, kapusiu zatracony.

TRZECI

Daj mu spokój, daj spokój i sam siedź cicho.

PIĄTY

Efekt psuje! Co tu są Powązki czy Bródno<sup>103</sup>? O efekt idzie, nie o niego. Efekt to grunt, a jego niech generał-gubernator do chrztu trzyma — mnie co do tego?

---

<sup>100</sup>*na Bródno, w piachu się bawić* — tj. na Cmentarz Bródnowski w Warszawie. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>*womitować* (daw.) — wymiotować. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>*smęcić* — tu: zasmucać. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>*Powązki czy Bródno* — nazwy cmentarzy w Warszawie. [przypis edytorski]



#### CZWARTY

On mi, Stasiek, coś schudł i dlatego takie pieśni wyśpiewuje.

#### PIĄTY

Nie schudł wcale, tylko był przedtem z obu stron nabity, a teraz stęchł<sup>104</sup> i bez to<sup>105</sup> nie pasuje do siebie samego.

#### SZÓSTY

*śpiewa półgłosem*

#### CHRYPA

Żeby się magiel prędzej skończył, to całą kompanią idziemy najprzód na girę, a potem do Mańki. Mam sześć papierowych fałatów i trochę szmergla. Stawiam — Stasiek słyszysz? — czterdziestkę *per* twarz — i agata do rana. Stasiek — tobie Franka malowana na gniado<sup>106</sup>. Zaraz ozdowiejesz, bracie!

---

<sup>104</sup>*stęchnąć* — pozbyć się opuchlizny. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>*bez to* (gw.) — tu: przez to; z tego powodu. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>*malowana na gniado* — tj. farbowana na ciemno rudy, kasztanowy kolor (określenie od typu umaszczenia konia). [przypis edytorski]

SZÓSTY

Dobra! Tak to lubię, Waluś. Już jak ty powiesz, to warto ucha nastawić. Chwacki z ciebie krakowiaczek!

CHRYPA

On, Stasiek, tu w dziadowni taki osowiały. Jak wyjdzie na Miodową, sztywniak na pomadzie przekrzywi, parkan od palta sztorcem najeży, a zaczną na niego grzebieluchy psykać — zaraz mądrzeje.

SZÓSTY

„...A Jasiowi wianuszek uwiła”...

PIĄTY

A Jasiowi wianuszek francuski uwiła...

SZÓSTY

PIERWSZY

Daj no filipusa, krakowiaczku.

CHRYPA

No!

SIÓDMY

Nie kopć tu, bo i tak smród wszędzie i smród, psiakrew! — w duszy.

PIĄTY

W porę se jaśnie pan przypomniał. Wszystko, jak robić w porę, to robota gra.

SIÓDMY

Idź ode mnie. Nie skowycz!

PIĄTY

No?

SIÓDMY

Idź, mówię! Smród — psiakrew! — w duszy. Merkaptany<sup>107</sup> dokoła — psiakrew!

PIĄTY

Słyszycie, filory, kawaleria warszawska? Jaśnie pan cierpi na duchu. I czego? Przecie jaśnie pan z naczelnikiem przez pół na ty. On do jaśnie pana: ty, draniu! A jaśnie pan mógłby do niego tak samo, ale przez dobre wychowanie woli: panie naczelniku...

---

<sup>107</sup>*merkaptany* — tioalkohole, pochodne węglowodorów alifatycznych, w których jeden lub więcej atomów wodoru zostało zastąpionych grupą tiolową SH; w większości są to bezbarwne ciecze o obrzydliwej woni (jeden z nich stanowi broń skunksa). [przypis edytorski]

SIÓDMY

Wściekam się, merkaptanie! Wiesz, drabie, co to merkaptan?

PIĄTY

Nie miałem dotychczas ciekawości, proszę łaski pana dziedzica.

SIÓDMY

To ty tak śmierdzisz, jak merkaptan, i ja tak śmierdzę, jak merkaptan. Mercurioaptusy jeden z drugim — tfu!

PIĄTY

Teraz to już wiem. To tak: nóżeczki pana naczelnika pieczołowicie a z pokorą umyć i brudek polską buzią według skinienia wypić. To już wiem, jaśnie panie.

SZÓSTY

*śpiewa*

SIÓDMY

Skończ z tym wyciem, francuski pudlu!

PIĄTY

Szlachcic, widzę, giry dzisiaj nie wachał i bez<sup>108</sup> to taki niełaskaw na kolegium. Pójdziemy zaraz po łupie do Mańki, będzie knajpa i znowu nam zapachnie życie.

SIÓDMY

Pożycz rubla, drabie, to z wami pójdę. Inaczej nie pójdę, hołoto!

PIĄTY

Dobra! Idzie warsztat. Któż by nie wsparł srebrnym kantem niezamożnego studenta polskiego, srodze — ach! — przez wrogów ojczyzny więzionego w warszawskim ratusiu<sup>109</sup>?

SIÓDMY

Dawaj tego rubla i — słyszysz? — pluń mi w zgniłe serce! Pluń mi w zgniłe serce!

CZWARTY

A pluńże mu w zgniłe serce!

PIĄTY

Kiedy nie wiem, którędy się dostać do jaśniepańskiego zgniłego serca...

---

<sup>108</sup>bez (gw.) — tu: przez (z powodu). [przypis edytorski]

<sup>109</sup>w (...) ratusiu (gw.) — w ratuszu. [przypis edytorski]

CZWARTY

W ślepie mu pluń na wszelki wypadek. Za-  
wsze się coś dostanie...

PIĄTY

Ale gdzie? Wyjmie batystową chusteczkę  
i wytrze do sucha. A resztę grzebieluchy<sup>110</sup> wy-  
całują w gabinecie na Krakowskim.

CZWARTY

Święty opłatek spożywał jak jarzynę, żeby  
się z Pana Jezusa natrząsać, a sobie ulżyć, pies  
zatracony!...

SIÓDMY

Idź z donosem.

CZWARTY

Żebyś dwa razy nie radził!

SIÓDMY

No!

CZWARTY

Chciałaby dusza jeszcze raz między prowo-  
ki<sup>111</sup>, ale już żandary nie bierą. Psiekrwie mo-  
skale!

---

<sup>110</sup>grzebielucha (daw.) — jaskółka; tu: gw. prostytutka. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>prowiki — tu: prowokatorzy. [przypis edytorski]

SIÓDMY

Milcz, ty chamie!

PIĄTY

Milcz, ty chamie, bo tera mówi urzędnik spod czarnego kasztana...

*Dzwonek elektryczny. Wszyscy momentalnie milkną i zasiadają na ławach. Wchodzi NACZELNIK. Agenci zrywają się na równe nogi. NACZELNIK, człowiek lat czterdziestu paru, przystojny, szczupły brunet, średniego wzrostu. Ubrany po cywilnemu, wykwintnie, zeszedł w milczeniu przed szeregiem, na nikogo nie patrząc. Otworzył drzwiczki w balustradzie, dostał się na przód sceny i zamknął drzwiczki za sobą. Usiadł przy biurku. Dał znak, żeby osiemnastu siadło. Na pewien czas zatopił się w swych papierach. W pewnej chwili przycisnął ręką krążek dzwonka. W bocznych drzwiach ukazał się policjant. NACZELNIK dał mu znak skinieniem ręki. Czterej żołnierze wprowadzają do sali robotnika OSTA, okutego w nożne kajdany. Postawili go przed balustradą. Wyszli. Naczelnik przycisnął znowu krążek dzwonka. Czterej inni żołnierze wprowadzili CZARO-*

WICA *w nożnych kajdanach. Postawili go przed balustradą. Wyszli. CZAROWIC i OSET znajdują się przed agentami*

NACZELNIK

*do CZAROWICA*

Pańskie nazwisko — Czarowic.

CZAROWIC

Tak.

NACZELNIK

Imię — Jan?

CZAROWIC

Tak.

NACZELNIK

Kawaler?

CZAROWIC

Tak.

NACZELNIK

Pseudonim partyjny?

CZAROWIC *milczy*

Pseudonim partyjny — *Lech*? Nieprawdaż?

CZAROWIC *milczy*



NACZELNIK

*do* OSTA

Twoje nazwisko — Oset?

OSET

Tak.

NACZELNIK

Imię — Andrzej?

OSET

Tak.

NACZELNIK

Jesteś wdowiec?

OSET

Tak.

NACZELNIK

Rodziców nie masz?

OSET

Nie.

NACZELNIK

Masz dziesięcioletniego syna?

OSET

Mam syna.

NACZELNIK

Twój pseudonim partyjny — *Szawel*? Nieprawdaż?

OSET *milczy*

NACZELNIK

*wskazując na CZAROWICA, do OSTA*

Od razu powiedz: czy znasz tego człowieka?

OSET

Nie znam.

NACZELNIK

*z ironią*

Od razu powiedz formułę: pierwszy raz go widzę na oczy.

OSET

*z ironią*

Pierwszy raz go widzę na oczy.

NACZELNIK

Tak. A ja ci radzę, jak człowiek, który wie wszystko o tobie i który wie, co cię czeka, przyjrzyj się temu panu, poznaj go i staraj się zmiękczyć swój los wyznaniem prawdy. To ci po-

wiem: nie zobaczysz ty więcej swego chłopaka.  
Słyszałeś?

OSET

Słyszałem.

NACZELNIK

Przypomnij sobie dobrze, przypatrz się temu panu, żebyś się zaś nie pomylił. Namyśl się. Ja ci podpowiem: to jest pan Czarowic, *Lech*. Cóż? Nie znasz go?

OSET

Nie znam.

NACZELNIK

Mnie tu dano niewątpliwe wskazówki, że to ty właśnie z tym oto panem Czarowicem różne roboty majstrowałeś.

OSET

Żadnych ja z nim robót nie majstrowałem.  
O niczym nie wiem!

NACZELNIK

Zaraz, zaraz! Nie tak znowu prędko! Jeszcze nie wiesz, jak i co, a już — „żadnych”! Ja, bratku, mam najdokładniejszą wiadomość, że

to wy na spółkę z tym panem Czarowicem zabiście generała. Tyś strzelił z mauzera, a pan Czarowic wydarł karabin nadbiegającemu żołnierzowi i ocalił cię od złapania. Tyś skoczył przez parkan i uszedłeś ogrodami ku Wiśle, a pan Czarowic powalił żołnierza na ziemię. Kiedy ludzie się zbiegli, znikł w tłumie. To prawda czy nie?

OSET

To wierutne bajki, nie żadna prawda. Ja tego pana Czarowica, czy jak go tam zwać, na oczy w życiu nie widział...

NACZELNIK

A tego nie było, żebyście na spółkę rzucali maszynę<sup>112</sup> do karety gubernatora wojennego?

OSET

Nawet mi szkoda na odpowiedź psuć sobie gęby.

NACZELNIK

A gdzież ty w takim razie wtedy byłeś?

---

<sup>112</sup>*maszyna* — tu: ładunek wybuchowy, bomba. [przypis edytorski]

OSET

Kiedy?

NACZELNIK

No, wtedy, gdzie byłeś, jak on był w Kaliszu? Gadaj!

OSET

Ja o niczym nie wiem. Może byłem w domu, a może we fabryce, przy marmurach, gdzie<sup>113</sup> zawsze robił. Ja nie wiem wkiedy<sup>114</sup>! Miesiące, kwartały, lata siedzę w kryminale.

NACZELNIK

Ty mi to powiadaj wyraźnie, gdzie byłeś, kiedy Czarowic tę bombę rzucił?

OSET

Kto jego wie, gdzie ja był! Możliwym<sup>115</sup> był w domu, może we fabryce, gdzie<sup>116</sup> zawsze stał przy robocie.

---

<sup>113</sup>*gdziem zawsze robił* (gw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: gdzie zawsze robiłem (tj. gdzie zawsze pracowałem). [przypis edytorski]

<sup>114</sup>*wkiedy* (gw.) — kiedy. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>*możliwym był* (gw., daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: może byłem. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>*gdziem (...) stał* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: gdzie stałem. [przypis edytorski]

NACZELNIK

Więc powiadasz wyraźnie, że wówczas, gdy Czarowic tę bombę rzucał, tyś był w domu albo we fabryce.

OSET

Pewnie, że w domu albo we fabryce.

NACZELNIK

Kiedy Czarowic bombę rzucał, tyś był w domu...

OSET

Jaką znowu bombę?! Ja o niczym nie wiem.

NACZELNIK

Powiedziałeś sam, że wtedy, jak Czarowic bombę rzucał...

OSET

Gdzie, wkiedy ja to powiedział?! Stoją tu ludzie, słyszą, niech świadczą! Czym ja o czym takim parę z gęby puścił? Nic nie wiem, pierwszy raz słyszę.

NACZELNIK

Boisz się, żeby przy tylu świadkach nie zmięknąć. Rozniosłoby się: taki solidny kawaler, sam *Szawel*, rozkleił się i sypie...

*do CZAROWICA*

A może pan przypomni Ostowi jaki szczegół.

CZAROWIC *milczy*

Na przykład co do dawnego projektu, w czasie sekretnego pobytu ministra w Warszawie. Pan to pamięta? Dawne czasy. Jego ekscelencja przyjechał do Warszawy *incognito*, w towarzystwie tylko jednego urzędnika, chodził po najodleglejszych ulicach, po Starym Mieście, codziennie bywał na obiedzie u Stępkowskiego... Czy wówczas nie bywał pan na ulicy Orlej, na pewnym trzecim pięterku? Razem z Ostem? Czy tam nie przychodził jeszcze pewien człowiek? Ów człowiek, ciemny szatyn... imieniem... Anzelm? Co? Czy pan tam nie przyniósł pewnego dnia kufereczka do podróży, płaskiego, z Anglii rodem? Pudełko było z jasnej skóry, z etykietami hotelów w Niz-

zy<sup>117</sup>, w Interlaken. Na froncie miało kartę z ogromnymi literami: *Bertolinis Palace Hôtel* w Neapolu. Pan pamięta to pudełko?

CZAROWIC *obojętnie milczy, jakby nie słyszał wcale, że do niego mówią*

Co zawierało to pudełko? Oset, powiesz czy nie?

OSET *milczy*

Ja dobrze wiem, co się tam znajdowało. Mógłbym szanownym panom przedstawić całe wnętrze. Mógłbym szanownym panom zrobić niespodziankę i postawić do oczu tego trzeciego, który tam z wami był na Orlej... Niestety! Już on nie żyje. Zabity został przez towarzyszków szanownych panów. Przed śmiercią szczerze dał wskazówki i co do tej sprawy również. Oset! Wiem o wszystkich twoich sprawach dokładnie. Już to, com wymienił, prowadzi na schodki. Tylko najszczerzym przyznaniem się do winy możesz karę złagodzić.

*do CZAROWICA*

---

<sup>117</sup>*Nizza* (daw.) — Nicea. [przypis edytorski]



Pana, bywalca, praktyka, znawcę musi pewno dziwić tak niezwykle badanie, w obecności tylu arbitrów. Pan, co tak zna prawa, obyczaje, warunki, pan, co tak panuje nad wszystkim i nad sobą — pan, co nazywa gubernie „województwami”, kraj przywiślański — „Polską” w protokołach urzędowych — musi się jednak zdumiewać, patrząc na moje praktyki. Ja też dla pana specjalnie przygotowałem to niezwykle badanie.

*z okrucieństwem*

Nie myślę się z wami długo bawić, miesiącami czekać na łaskę, żebyście prawdę zeznać raczyli.

*do OSTA*

Czy będziesz natychmiast zeznawał prawdę?

OSET

*zimno*

O niczym nie wiem.

NACZELNIK

Czyś z mauzera strzelał do generała?

OSET

*wyniośle i zuchwale*

Nie ma na mnie żadnego dowodu. Kto mię gdzie widział? Ten pies, co na nas o wszystkim i o Orlej naszczekał, ziemię podłym pyskiem żre. A ja o niczym takim nic a nic nie wiem. Wszystkiemu zaprzeczam.

NACZELNIK

Chrypa! Poproś no go z łaski swej, żeby nie wrzeszczał, bo tu nie szynk na przedmieściu, a ja dobrze słyszę.

*Agent CHRYPĄ podchodzi cichaczem z tyłu do OSTA i uderza go pięścią w lewe ucho. OSET, oszomiony, zatoczył się bezwładnie na prawo między grupę szpiegów, którzy z ław wstali i zbliżyli się do balustrady.*

AGENT DĄSIK

*mruknął rozkaz*

Ścianę robić!

*do OSTA*

Co się na mnie pchasz?

*Uderza go pięścią w prawe ucho i odtrąca od siebie. OSET zatoczył się w lewą stronę. AGENT STASIEK uderza go w głowę z tyłu i rzuca bezwładnego na balustradę. OSET przez chwilę obwisł z bezwładnymi rękoma na balustradzie. Po chwili dźwignął się na nogi.*

OSET

*bełkoce*

Choćbyście... choćbyście bili... zabili... to samo...

NACZELNIK

*do CZAROWICA*

To na pańską cześć uczta, panie inspiratorze ludu do czynów rewolucyjnych. „Porządek stary już się wali”... No to ja go podtrzymam! Milczenie jest złotem, ale nie zawsze i nie wszędzie. Tu się waluta zmienia, a to dzięki temu, że stąd na plac ratuszowy nie wszyscy wyjdziemy. Dzięki temu, że stąd niektórzy wyruszą pod Wrótnię<sup>118</sup> Iwanowską i ani kroku dalej, milczenie staje się śmiesznie bezwartościową cyną. Tu tylko szczerza gadatliwość ma wartość złota.

---

<sup>118</sup>*wrótnia* (daw.) — brama. [przypis edytorski]

do OSTA

Mów wszystko szczerze od razu, bo każę  
bić.

OSET

*obraca się gwałtownie twarzą do szpiegów;  
szepce w śmiertelnej zgrozie*

Między szpiegami... nasze towarzysze!  
*krzyczy*

O niczym nie wiem! Nic wam nie powiem!

NACZELNIK

Dąsik! Cóż ty tam dla parady stoisz? Ucisz  
tego zbója. Co on tu krzyki...

AGENT FLAŃTUS

*do sąsiada*

Kituj!

SZPIEG DĄSIK *wymierza OSTOWI cios w pra-  
wą skroń. OSET rzucił się skokiem na niego. W tej  
samej chwili CHRYPA uderzył go w lewą skroń.*  
SZPIEG, zwany Szlachcicem, wymierzył OSTOWI  
*policzek.*

OSET

*w szale*

Nic wam nie powiem!

SZPIEG DAŚIK *bije go raz wraz w piersi. CHRYPA uderza go pięścią w zęby. SZPIEG, zwany Szlachcicem, wymierza mu straszliwy policzek. OSET w tańcu straszliwym kołem toczy się i wlatuje w tłum szpiegów. Ci go uderzeniami w skronie odtrącają od siebie i podają jedni drugim. OSET biega w kole, wciąż padając i cudacznie podskakując od ciosów. Wśród szpiegów szczery śmiech.*

NACZELNIK

Potańcz i ty, kochanku. — Karnawał teraz w Warszawie...

OSET

*po uderzeniu*

Nie powiem!

*po uderzeniu*

Nie powiem!

*po uderzeniu*

Nie powiem!

CZAROWIC *bez drżenia muskułu patrzy spod powiek na to widowisko. W pewnej chwili rzucił*

*się skokiem ku obronie OSTA. Czterech najtęższych agentów chwyciło go za ręce.*

NACZELNIK

Puścić! Oset! Powiesz prawdę, to każę przestać?

OSET

*w kole szpiegowskim*

Powiem.

NACZELNIK

Mów wyraźnie.

OSET

Są tu... dawne towarzysze...

Zbawicielu! Zbawicielu!

Padam do nóg jeich... dawnych towarzyszów... Dopraszam się łaski... Jako że już z tego miejsca nie wyjdę. Syna mam, chłopaka małego, Michałka. Jedynaście mu lat. W Kielcach. We fabryce się spytać. Michał imię, jedynaście mu lat. Przez polską mowę proszę i przez dawną pamięć. Jako że pana Czarowica nie znam i na oczy nie widziałem... Więc polskie ludzie obecne proszę i przez polską mowę zaklinam...

Żeby zaś na szpicla nie wyszedł... Zbawicielu!  
Zbawicielu! Święte słowo mu zanieść...

NACZELNIK

To ty romanse... Co masz do powiedzenia?

OSET

Nic wam, psiekrwie, moskiewskie wychowanie, nie powiem! A ty, Zbawicielu, Zbawicielu! — daj do samego końca w honorze...

NACZELNIK

Dotrwasz, bratku, w honorze... Lejba! — przynieś no pręciki...

*SZPIEG LEJBA podbiega truchtem i podaje dwa pręty stalowe metrowej długości. Agenci chwytają OSTA znienacka pod pachy i wyciągają jego ręce poza balustradę w stronę NACZELNIKA.*

Dajże te grabcie, dajże te łapiny, głuptasie. Zaraz ci ulży, jak pójdiesz w szczerść. Dostaniesz kieliszek koniaku i do spania — osiołku rewolucji. Dajże te łapiny...

*Agenci składają dłonie OSTA, który nie wie, o co chodzi, i rozstawiają złożone palce. Naczel-*

nik wsuwa między palce równoległe pręty stalowe, a potem oburącz zaczyna ścisnąć z całej mocy jednocześnie końce prętów. Chrzęsneły miazdżone kości palców. OSET zawył z bólu. Oczy jego zapadły w głąb oczodołów. Usta szerniały. CZAROWIC podnosi się na palcach, kotysze się miarowo na nogach, jakby miał tańczyć. Uśmiech okrywa jego usta. NACZELNIK puścił pręty.

NACZELNIK

do CZAROWICA

Powtarzam, że to na pańską cześć uczta. Pan zbyt niełaskaw na siebie i na tego głuptaska, kieleckiego Mucjusza Scevolę<sup>119</sup>. Pan się nawet raczy uśmiechać. Lecz ja jestem od tego, żeby wytrwałość do góry nogami wywracać. To trudno — ja przetrzymam każdą teorię, każdą partię, każdy spisek i każdego bohatera. Umieć wynajdywać prawdę za dziesiątą skórą,

---

<sup>119</sup>Mucjusz Scevola właśc. *Gaius Mucius Cordus* — legendarny bohater rzymski, który został wysłany, by zamordować króla etruskiego Porsennę oblegającego ze swą armią Rzym w 508 p.n.e.; gdy jednak został schwytyany w obozie wroga, włożył rękę w ogień, by dowieść, że nie straszne mu tortury ani śmierć; takie męstwo przekonało Porsennę, by puścić wolno zamachowca; nosił on odtąd z chlubą przydomek *Scaevola*, tzn. Mańkut. [przypis edytorski]



wydrapać ją igielką z najkrwawszej ranki. Przetrzyłbym już takich mężów, że pan zblednie, gdy powiem imiona. Cóż pan jeszcze każesz mi robić z tym nieszczęsnym, głupim Ostem? Jak go doświadczać? Bo to pan nad nim pracujesz, nie ja. Ja muszę wiedzieć, skoro jedyny świadek zeszedł ze świata.

CZAROWIC *milczy*

Oset — gdzie poznałeś Czarowica?

OSET

*trzęsąc zmiażdżonymi palcami*

Ty! Ścierwo! Psie!

NACZELNIK

Hilary! Zamknij mu pysk.

CHRYPA

*do agenta Hilarego*

Złamać!

OSET

*nagłym skokiem rzuca się na Hilarego i usiłuje go uderzyć dygocącymi rękami*  
Judasz!

SZPIEG HILARY *uderza* OSTA *w głowę*. OSET *zatonął się, potknął i padł na ziemię*. SZPIEG, *zwany Szlachcicem, z całej mocy kopnął go nogą w bok*. SZPIEG DĄSIK *plunął mu w oczy*. SZPIEG CHRYPA *wymierzył mu cios w brzuch*. *Dźwignęli go z ziemi i biją w twarz z obu stron. Widać pięści ściśnięte, słysząc sapanie, klątwy, razy i głuchy, urwany krzyk OSTA.*

OSET

Zbawicielu!

NACZELNIK

Dajcie mu teraz tchnąć. Niech sypie.

OSET

*z ziemi*

Nie! Nie! Nie!

*Upadł pod nowymi ciosami. Kopiają go wszyscy. Krew rzygnęła raz i drugi na ziemię i na ich nogi. NACZELNIK wstał ze swego miejsca. Z trzaskiem otworzył drzwiczki w balustradzie. Staje nad leżącym z notesem w ręku. Na dany znak przewracają OSTA twarzą ku sufitowi. SZPIEG CHRYP-*

PA *rzuca się kolanami na piersi leżącego i bije go wielokroć w twarz, w gardziel, w piersi.*

NACZELNIK

*dał znak, żeby przestać. Do OSTA  
Gadaj!*

OSET

*dźwignął się na ręce. Ośleptymi oczami szuka  
CZAROWICA. Jęknął*

*Niech... żyje...*

*CHRYPA słowo „Polska” wbija mu pięścią w gardziel. Krew broczy z ust. Zemdlał. Wszyscy odstąpili. Wycierają chustkami ręce i spocone karki.*

NACZELNIK

*do CZAROWICA*

*Oto jest pańska zdobycz, pańska ligawka<sup>120</sup>, na której sobie grasz patriotyczne piosenki. Wyznaję, że ta ligawka pięknie gra. Wyciągnąłeś pan dzielnego, uczciwego chłopaka z fabryki.*

---

<sup>120</sup>*ligawka* — tradycyjny pol. ludowy instrument dęty, spotykany gł. na Mazowszu i Podlasiu; rodzaj wygiętego łukowato rogu drewnianego o dł. ok. 1 m (2–3 łokci), wykonany z drewna świerkowego a. olchowego, złożony z dwóch połówek sklejonych woskiem; tu iron. przen.: fujarka, prosty instrument. [przypis edytorski]

Zrobiłeś z niego zbrodniarza, zabójcę. A ilu takich! Stworzyłeś szkołę morderców, instytucję produkującą bandytów. Podsunałeś mu do wykonania najśmieszniejsze zamysły. Pan jesteś romantyk, znudzony bezczynnością, błędny rycerz, szukający przygód, a on przez pana tutaj leży.

*Wrócił na swe miejsce przy biurku. Drzwiczki w balustradzie zostały otwarte. NACZELNIK przez chwilę patrzy na OSTA leżącego nieruchomo. Uderzył w dzwonek. Drzwi środkowe otwały się. Wszedł policjant.*

NACZELNIK

*do policjanta*

Zabrać!

*Wkracza sześciu żołnierzy z karabinami. W ich liczbie żołnierz, który był<sup>121</sup> nocą stał na straży obok szubienicy.*

---

<sup>121</sup>*był nocą stał* — przykład użycia daw. konstrukcji czasu zaprzeszczonego, wyrażającego czynność wcześniejszą od czynności (zjawisk itp.) wyrażonej czasem zwykłym przeszłym; inaczej: stał uprzednio (wcześniej) nocą. [przypis edytorski]

CZAROWIC

*skoro tylko żołnierze weszli, mówi do nich  
głośno w języku rosyjskim*

Żołnierze! Macie w ręku broń. Jesteście sługami ojczyzny. Nosicie w sercu surowe męstwo i prostą prawość. Patrzcie! Świadczę przed wami: bezbronnego człowieka bili tutaj w kilkunastu bez dowodu winy. Macie w ręku broń. Czy zniesiecie, żeby ci cywilni tchórze, zdrajcy swego narodu, was używali do posług? Czy zniesiecie, żeby ci nikczemnicy wobec was bili mężnego człowieka? Żołnierze! Hańba wam, jeżeli pozwolicie bić związanych i nie obronicie samotnych ludzi w niewoli waszej. Zasłońcie nas bagnietami od pięści podłych zbrodniarzy!

*żołnierze milczą*

Zginać od waszych bagnietów w walce — to rzecz słuszna. Ale czyliż zniesiecie...

PIERWSZY ŻOŁNIERZ

*do CZAROWICA*

A ty lepiej milcz!

DRUGI ŻOŁNIERZ

*śmiejąc się*

Brechun!

TRZECI ŻOŁNIERZ

Zbuntowałeś się, to cię biją. Nie buntuj się  
— i bić cię nie będą.

ŻOŁNIERZ SPOD SZUBIENICY

*bezdzwięcznym szeptem do CZAROWICA*

Słysz ty! Ej ty! Słysz...

NACZELNIK

Zabrać!

*ŻOŁNIERZE podsuwają pod leżącego bagnety, krzyżują je i tworzą z nich jak gdyby nosze. Dźwignęli OSTA. Wywlekają go przez drzwi środkowe. Głowa jego bezwładnie zwisa i długie, więzienne włosy zamiatają podłogę, ciągnąc po niej smugę czerwoną. Ręce się wloką przez próg. Drzwi w ciągu chwili były otwarte. CZAROWIC wydobywa chustkę, idzie na środek w to miejsce, gdzie OSET leżał, przyklęknął i ściera chustką krew z ziemi. Tłum szpiegów, gdy CZAROWIC się ruszył, rozdziela się na dwie bandy, tworzące*

*dwa półkola, żeby mu zamknąć drogę do drzwi.  
Gdy on krew ściera, pierwsza pół-banda szepce  
chórem.*

PIERWSZA PÓŁ-BANDA

Krew ściera z ziemi — patrzcie, patrzcie!

DRUGA PÓŁ-BANDA

Co szepce cicho — podsłuchajmy.

PIERWSZA

To nam tak zemstę poprzysięga.

DRUGA

Patrzą w nas ślepia skamieniałe.

PIERWSZA

Dygoce gęba wykrzywiona.

DRUGA

Wszystką krew zgarnął w chustkę białą.

PIERWSZA

Na śmierć nam zemstę w sobie przysięgł.

DRUGA

Teraz w zanadrze chustkę chowa...

PIERWSZA

Nie wyjdiesz z chustką tą na bruk!

DRUGA

Nie spojrzysz nigdy w polskie miasto!

PIERWSZA

Nie ujrzysz nigdy zboża w polu!

DRUGA

Wyjdiesz z tą chustką w sień śmiertelną.

PIERWSZA

Pod namydlony sznur na bloku.

DRUGA

Tam cię przywita mistrz czerwony.

PIERWSZA

Włożą ci ornat na ramiona.

DRUGA

Białym kapturem nakryją włosy.

PIERWSZA

Chustką se wytrzesz łzy ostatnie.

DRUGA

Chustką se zatkasz krzyk w gardzieli.

PIERWSZA

Chustką zasłonisz strach na gębie.

DRUGA

Chusteczką krwawą przyjaciela.



*Na dany przez NACZELNIKA znak agenci roz-  
pierzchli się na prawo i na lewo, głównymi i bocz-  
nymi drzwiami. Zostaje NACZELNIK i CZAROWIC.*

NACZELNIK

Otóż jesteśmy sami. Dość tragedii! Pomówmy bez gróźb, przesady, deklamacji i rozgoryczenia. Sam pan widzi, że gra idzie w otwarte karty. Wszystko teraz zależy od pana samego. Przekonał się pan, że na nic bojówki, szaleństwa rewolucyjne, romantyzmy. Wszystko o panu wiemy. Wszystko nam Anzelm od *a* do *z* powiedział. A że nie mamy tego świadka, to drobiazg. Panie — to drobiazg. Zapewniam pana, że inny Anzelm znajdzie się w szeregu, który pan za współwyznawców uważasz. Znajdzie się nie dziś, to jutro pod blokami szubieniczki. Przyjdzie w to miejsce i wszystko o panu wyśpiewa. Czy to jest pańska rola, człowieka z towarzystwa, posiadacza takiej fortuny, tułać się po kryminałach, współdziałać z wyrzutkami społeczeństwa, z podmiejskim mo-

tłochem w zabójstwach skrytobójczych, w napaściach na prawnych urzędników państwa, w grabieżach i rozbojach? Panie! Jestem urzędnikiem policji, ale pojmuję duszę pańską. Chcę panu podać rękę, chcę pana wydzwignąć.

*ciszej*

Powiem panu prawdę. Dałoby się wiele zamazać... Powie pan prawdę co do niektórych szczegółów. Nie będę wymagał wszystkiego. Rozumiem pana. Resztę puści się w niewiadomą gmatwaninę sprzeczności i zatrze. Ów głupi Oset zapewne nie wytrzyma. Był to jedyny już, ostatni świadek. Rozumie pan teraz, dlaczego ja dziś tak ostro postępowałem z tym... osłem? Jakieś zesłanie, skąd, niestety, rewolucjoniści uciekają z taką łatwością... Im prędzej pan zechce nam ułatwić sprawę, tym lepiej dla pana. Sam pan widzi, że chcę przyjść z pomocą i zaskarbić sobie pańską dozgonną wdzięczność...

CZAROWIC

Pan już zaskarbiłeś sobie moją dozgonną wdzięczność.

NACZELNIK

Czy tak? Jakże to mam rozumieć?

CZAROWIC

Kiedy byłem w tutejszym więzieniu, jeden z funkcjonariuszów pokazywał mi separatki, gdzie pan składałeś swoich klientów z ranami szarpanymi, z przetrąconymi kośćmi, z odbitymi płucami.

NACZELNIK

No i cóż z tego?

CZAROWIC

Teraz zobaczyłem na własne oczy samą akcję i ustanawiam sylogizm wdzięczności dla waćpana.

*śmieje się głośno, coraz głośniej, zupełnie szczerze. Podnosi się na palcach i kołysze, jakby miał tańczyć*

Pan tu wspomniałeś: karnawał w Warszawie... Warszawa tańczy do upadłego, do białego dnia. I ja mam chęć dziś tańczyć do upadłego, upaść w radosnym tańcu!

NACZELNIK

Cieszę się z pańskiego nastroju.

CZAROWIC

Pan i panu podobni, nie wiedząc o tym wcale, zadaliście swemu panowaniu w mojej ojczyźnie rany szarpane, poprzetrącaliście jego kości, odbiliście mu płuca. Już nie wyżyje, dzięki wam, Rosja w Polsce! Skona tu, na tej podłodze, we krwi Osta, którą ja w chustkę zgarnąłem. Patrz pan: czerwona róża.

*Wydobywa i pokazuje chustkę.*

NACZELNIK

Tak pan sądzisz?

CZAROWIC

Po powstaniu sześćdziesiątego trzeciego roku byliśmy jedynie skatowaną szlachtą, społeczeństwem bez ludu. Wyście wtedy nam, szlachcie-narodowi, lud mądrze wydarli. Teraz, w tej rewolucji, którą pan uważasz za ukończoną, zdławioną, myśmy wam lud nasz ze szponów wyrwali. Przez mękę bezprzykładną, niesławną dzisiaj, przez szalone i dzikie koleje losu, które

nam, ludziom „z towarzystwa”, każą kasy publiczne rabować, — wyrwaliśmy wam nasz lud. I to już na wieki. Kupujemy go od was uczciwie, płacimy szczerze. Ale już go wam nie odprzedamy za żadną cenę na ziemi.

NACZELNIK

*z szyderstwem*

Kupcy — bandyci!

CZAROWIC

*ponuro*

Jest w naszej poezji jedno słowo... „Dopóki tyle głów z ich pokolenia nie padnie pod toporem kata, ile rubli wzięli z kazny<sup>122</sup> moskiewskiej, to kraj nie ożyje”. Widzisz waćpan, że my wypłacamy według ścisłego rachunku, wystawionego przez proroków.

NACZELNIK

Chcielibyście panowie szlachta wykupić się z niewoli krwią tego ludu, który przez tyle wieków kopaliście żelaznymi butami. Ale to na nic!

---

<sup>122</sup>*kazna* (ros. *казна*) — skarb państwa. [przypis edytorski]

## CZAROWIC

Nie zmyjesz pan ze szmat, z duszy i ze wspomnienia chłopą polskiego i robotnika krwi, którą tu wylewasz! Wasze tortury budzą z martwych dusze. Wasza szubienica pracuje dla niepodległej Polski. Wieszacie na niej raz wraz podobój dusz ludu polskiego i potęgę waszego carstwa. Po dalekich siołach idzie wędrownie, w kurzu krwi zrodzone podanie o tym, jak wspaniale umierał za niepodległość Okrzeja, Baron, Izdebski — i tylu innych. Obejdzie ono wszystkie drogi, trafi do każdego domostwa. Zrozumieją wszyscy polscy ludzie, jak niezgłębioną krynicą regeneracji narodu była ta rewolucja, jak żywa siła bić zaczęła z tej wody, w boleściach wydanej przez ziemię naszą.

## NACZELNIK

Metafizyka niewoli, panie Czarowic! *Solatium servitutis* — nic więcej. Lud sprzedaje żandarmom wasze tajemnice, jak żyto, perkal i imbier — za gotowe pieniądze. Lud polski jest w naszych rękach.

CZAROWIC

Przyszła do niego polska inteligencja ze szkołą, ze stowarzyszeniami, z organizacją. Wyście po barbarzyńsku, z bezdenną głupotą wszystko zdusili. Lud zapamiętał ten krótki czas. Ujrzał przez krótką chwilę, co mu dawała Polska, i ujrzał, co daje Rosja. Jeżeli jeszcze wśród nas są prowokatorowie i zdrajcy, to nasza wielka wina. Nasza wielka wina! Ale nadejdzie dzień, gdy zmyjemy do ostatniego znaku ten najwstrętniejszy stygmat waszego panowania!

NACZELNIK

Dosyć tych gawęd! Deklamator! Czy będziesz pan mówił prawdę?

CZAROWIC

Nie będę już nic mówił. Na mnie strach nie działa. Podstęp również.

NACZELNIK *uderza w dzwonek. Ta sama banda osiemnastu agentów wchodzi znowu głównymi drzwiami. Stanęli przy drzwiach bocznych i zasłonili główne. Na dany znak półkolem otoczyli*  
CZAROWICA.

NACZELNIK

*do CZAROWICA*

Kto strzelał do generała? Oset czy ty?

CZAROWIC *milczy*

Chrypa! Spytaj go, co mówi...

AGENT CHRYPĄ *uderza CZAROWICA w lewe ucho. CZAROWIC zatoczył się bezwładnie na prawo między szpiegów. SZPIEG DĄSIK uderza go w prawą skroń. SZPIEG, zwany Szlachcicem, wymierza mu policzek. SZPIEG STASIEK plunął mu w oczy. Puszczają go w taneczne koło.*



# SPRAWA TRZECIA

*Noc. Księżyc świeci. Zupełna cisza. ŻOŁNIERZ, ten sam, który był pilnował szubienicy, przechadza się na warcie pod wrotami, prowadzącymi w stronę Wisły. CZAROWIC, po przepiłowaniu krat w oknie swej celi, przymocował do tego okna linę skręconą z prześcieradeł i cicho wyrzucił ją na zewnątrz. DAN, więzień z sąsiedniej celi, po przepiłowaniu krat w oknie swym, przymocował do niego również linę skręconą z prześcieradeł i cicho wyrzucił ją na zewnątrz. ZAGOZDA, dla ułatwienia im obydwu ucieczki, zostaje w więzieniu, ażeby odwiązać i wyrzucić linę CZAROWICA, bez której nie mogliby spuścić się ze stromych murów fortecy. Obydwaj uciekający na komendę ZAGOZDY jednocześnie co do sekundy siedli okramkiem na ramie okiennej, wysunęli się na zewnątrz i wolno, cicho, jak dwa upiory poptynęli w dół w chwili, kiedy ŻOŁNIERZ tyłem się do więzienia odwrócił i przemierzał przestrzeń placyku. Stanąwszy na ziemi, w ciemnej framudze mu-*

*ru, czyhają na chwilę, kiedy ŻOŁNIERZ odwrócił się, przeszedł szerokość placu i stanął przed nimi. Wtedy spadła na ziemię lina odwiązana przez ZAGOZDĘ. Jak dwa tygrysy skoczyli na ŻOŁNIERZ, stryk z liny zarzucili mu na szyję, zdusili, koniec liny wbili mu w usta. Potężnym wysiłkiem wydarli karabin obezwładnionemu nagłą napaścią. Obalonemu na ziemię CZAROWIC bagnet przystawił do piersi.*

CZAROWIC

*szeptem*

*Leż! Zabiję!*

*ŻOŁNIERZ gwałtownym ruchem porwał się z ziemi, usiłując zarazem wyrwać z ust knebel. Skoczył na bagnet z męstwem i pasją, pragnąc chwycić lufę karabina.*

CZAROWIC

*obalając go na ziemię*

*Zabiję!*

*DAN podjął co prędzej linę, oddart koniec jej, którym zakneblowano żołnierzowi usta. Chytkiem, na palcach podbiegł do wysokiego muru,*

*który otacza teren. Koniec liny przywiązał do występu blanki. Wyrzucił ją na zewnątrz. Potoczyła się w dół, nisko, w głębiny fos, po skarpach stromej ziemi.*

DAN

*szeptem*

*Zaczynam.*

*Siada na murze, przechyla się na zewnątrz, znika. ŻOŁNIERZ wpatruje się w twarz CZAROWICA, oświetloną przez księżyc — i leży nieruchomo. CZAROWIC wpatruje się w twarz ŻOŁNIERZA. Poznał go.*

CZAROWIC

*trzymając bagnet, zwrócony sztorcem w jego serce*

*Milcz!*

*ŻOŁNIERZ skinął głową.*

*Rozstrzelają cię jutro.*

*ŻOŁNIERZ skinął głową.*

*Uciekaj z nami!*

*Ruchem głowy zaprzeczył.*

*Więc cóż mam czynić?*

*Przymknął powieki.*

*Uciekaj!*

*Ruchem głowy zaprzeczył.*

*Nie mogę już wrócić!*

*Przymknął powieki. CZAROWIC patrzy długo w jego twarz.*

*Żegnaj!*

*Trzymając karabin zwrócony przeciwko ŻOŁNIERZOWI, odchodzi tyłem w stronę miejsca, gdzie przywiązana jest lina. Waha się przez chwilę, czy wyrzucić karabin na zewnątrz muru w fosę. Nagle rzucił go na ziemię. Wpełzł na mur i znikł za nim. ŻOŁNIERZ dźwignął się z ziemi, wyrwał z ust knebel. Nastuchuje. W pewnej chwili dał się słyszeć odgłos ciężkiego skoku w przepaść. Jęk. ŻOŁNIERZ wstał z ziemi. Patrzy w przestwór. Podszedł do miejsca, gdzie leży karabin. Zarzucił go na ramię. Począł przechadzać się krokiem miarowym po tej samej przestrzeni, tam i z powrotem, tam i z powrotem.*

# SPRAWA CZWARTA

CZAROWIC siedzi wysoko na kamiennym występie ponad najcudniejszym morzem południa. Zgruchotane odłamy granitowej calizny gór leżą wielkimi bryłami daleko i blisko, w falach i na wybrzeżu. Wieczna praca morza w tafle potupała najtwardsze z nich, wyżłobiła podskalne lochy, wyżarła głębokie misy, w których cuchnące schną kałuże. Rudozielone, ślepe, jak wybite oczy, śnią tam nieprzespanie w pośród wiecznego chaosu. Wilgoć rozprowadziła tu i ówdzie porost ciemny w wygryzionych szwach. Ubogi, szorstki mech, suche piołuny i tyka, ostre jak szydła, tułają się wyżej. Nad głową CZAROWICA wznosi się skała o kolorze ognia i głowni spalonej, obłoków dosięgająca wierzchołkiem. Wąwozy w niej, pieczary i czeluście, przepęknięcia zielone i krwawe, smugi cieliste i wylomy, łupane w sednie góry okrucieństwem młota czasu. Widok jej narzuca się oczom, jakoby materialny wizerunek śmierci, a jednak wtłacza w duszę opór i gniew. Ani

*jedna już tam nie czepia się trawka. Tylko osędziały mech chyłkiem pełza w zaciekach. U samego podnóża odstania się spod wody czarny pień skały, obwieszony kudłami jasnozielonych porostów. Na cyplu, najdalej ze skalnego lądu wysuniętym — jak gdyby legenda szumiących wiecznie mórz o tajemniczych lądach na wysokości, jakoby śpiew czarodziejski lądów o wiecznym morzu, wyrrywający się w niebiosy — trzy strzeliste, czarne, nieśmiertelnie piękne cyprysy. Morze wokół wyspy. Obszerniejsze niż wzrok człowieka, rozpostarcie wód — lustro nieskończoności i zwierciadło duszy czującej. Białopienne<sup>123</sup> fale lecą ku wyspie z daleka — bieguny<sup>124</sup> w głuchych samotniach wieczności przez wichry wykołysane. Uderzając o twarde, białe dno, zielone wełny<sup>125</sup> morza, które przenigdy dna nie zaznały, skręcają się w kłęby, wzdymają w banie, tarzają się, wiją i kipią. Połyk pian zrasta się w jedno, w śnieżysty wybuch. Bije wybuch w czarny trzon ska-*

---

<sup>123</sup>*białopienne* — tu: o białej pianie, niosące ze sobą białą pianę itd. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>*biegun* — tu: ten, który biega, goni, gna. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>*wełny* — tu: fale. [przypis edytorski]

ły — niepowstrzymany, oszalały od pędu wlatuje w podziemne jaskinie. Dzierga się tysiąckroć na iglicach, przez minione wyostrzonych burze, fala morska. W korowodach czarownych tysiąckroć obiega wiekuiście nieznane, śliskie labirynty, progi, zatoki i sienie. W zalotach nieskończonych rzuca się z głazów na głazy, coraz wyżej, wotając głuchym głosem ku cyprysom ziemi. Wyrywa się z głębokości strofą wiecznej siły pełną — którą człowiek śmiertelny w rozkoszy i zachwycie podstuchał i uczynił zeń muzykę — skarb swój. Bucha w górę znieńcka słupem piany kunsztownym jak mediolańska wieża, wzdyma się kopułami czarownymi jak dach świętego Marka. Kąpiąc się sama w sobie, tworzy ze siebie wszystkie kształty, jakiegokolwiek piastuje w swych przestrzeniach ląd — i ścieka z wysokich zrębów, z karbów nieżywych, syczącymi strugami, cienkimi nićmi, pudrem śnieżystym, tworząc antystrofę pięknośloś, w której jest wyraz wszelkiego cierpienia, jakiegokolwiek przemierza obszary lądu. Zlatuje ze szczelin i pochylni do swego chłodnego morza, w nieunikniony zgon. Wiatr fruwa po stromych ścia-

nach, wieszka się na kolcach kaktusów, wkręconych w głuchą martwicę kamienia. Obwisłe chmury, co jak wymiona ssać się dawały morzu, powściągnęły się, dźwignęły na wyżynę i znikły. Dalekie widać wybrzeża, połyskujące od łańcuchów ośnieżonych gór — i niskie smugi ziem tak dalekich, ciemnym błękitem tak uchodzące w błękitne morze, że stają się wędrowną w oku plamą, tzą natężenia źrenicy, złudą wzroku. Czyste morze bez horyzontu złączyło się z niebem i przemieniło w niebo. Z ziemi wyrosły niebiosy. Nadaremnie niepokojna wola wciska się w tę właśnie dal i usiłuje rozedrzeć ją źrenicami. Krase rybitwy szybkimi skrzydłami migają w jasnym powietrzu. Z klockiem i żartocznym krakaniem spadają między warkocze pian, za krawędzie skał. Gdy wejrzeć okiem w ślad ich lotu, uderza o ucho posępny huk i srogi na zdziarach głos morza. CZAROWIC wstał ze swego miejsca i schodził po ostrych występach w dół, dokąd prowadził go wzrok, śledzący loty ptaków. Tam w dole, w sieniach i ostojach skalnych, raz wraz pękał pienisty bałwan wodny, rzucony o kamienie. Huk zagłuszał krzyki



*mew. W jamach, nawistych grotach, w szarych, złowieszczych, półokrągłych pustelniach gwizdał wiatr, jakby w muszle i flety. Wędrowiec przyszedł na najniższy stopień skały. Tam przezroczyście, błękitno-zielone bryły wód niosły się w tańcu walecznym. Walczyły ze skałami i walczyły między sobą, a śmiertelne ich zawody były piękne doskonale. Ich moc była pełna wdzięku, a śmierć ich była tak pełna wzniosłości i niewymownej potęgi, jak śmierć opisana w Fedonie. CZAROWIC, przybysz z leśnych płaszczyzn, z niw stratowanych kopytami głupich zwycięzców, z dróg wydeptanych lękliwymi stopami niewolników, z kraju więzień, spośród plemienia bez honoru, bez woli, które się samo jadem własnej niemocy zatruwa — gdy się zapatrzył w nawałnicę morskich fal — ujrzał w niej zjawiony sen dzieciństwa swego, marzenie młodości i myśl dojrzałych lat. Zobaczył na nowo zniewieczoną piękność siły swej duszy. Poznał w wyuzdaniach, w zagonach, w niezłomnej wytrwałości fal duszę swoją samą w sobie. A wszystką władzę tak znienacka ockniętej i jasnowidzącej duszy zobaczył w zwierciadle morza, jak jest na całej zie-*

mi samotny. Widział w zwierciadle tym naród swój podarty, widział jego rozproszenie, odłamy, odszczepy, części, warstwy, stronnictwa — przestrzenie ziem, okolice, miasta, wsie, krajobrazy, ludzi dalekich... Przymierzał się duszą wszędzie, tam i sam, przypadał piersiami daleko i blisko. Szedł zgiętkliwymi ulicami interesu i przypasywał do wnętrza sklepowej sprawy swoje naiwne, więzienne pomysły wyzwolin, swoje mrzonki, śmiech budzące gruby, długi i zdrowy. Poznał w nieomylnym przejrzeniu, że, stojąc na wysokości wolnego polskiego ducha, nie jest i nie będzie nigdy złączony ani z tymi zbiorowiskami ludzi, ani z żadną na tej ziemi jednostką. Widział doskonale zaród zgniłości od początku i brud narosły pod wzniosłymi hasłami — i to zarówno pod wstecznymi, jak pod najbardziej skrajnymi. Cuchnęła ze wszech stron kariera, żądza urzędu, pycha, pragnienie władzy... Dobrze to pojmował w tej chwili, że się zawiódł na tych wszystkich, którym najbezwzględniej ufał, którym najwierniej służył w przekonaniu, że służy ojczyźnie. Zawiódł się oto na sile wszelkich polskich prawd, na war-

tości prądów i pośliznięć myśli zbiorowej, uwięzłej w doktrynach stronnictw. Nie mógł dostrzec żadnego spoidła, które by plemię polskie zjednoczyć mogło. Jedyne, ostatnie i niewątpliwe, które jak ściany mogłoby ten naród rozpierzchnąć w jedno zegnać i materialnymi środkami zjednoczyć — państwo niepodległe — zostało odrzucone przez wszystkich rodaków. Czuł, że dusza nie może nawet zewrzeć się z nikim w walce, bo walki nikt nie chce. Śmiech i pogardę powziął dla ZAGOZDY za jego cierpiętność łakomą na męczeństwo, próżną rozkoszy życia a obojętną lub wstrętną dla wszystkich. Ujrzał w falach morza oczy Montwiłła idącego pod szubienicę — i z głuchym jękiem padł twarzą na kamienie, wołając: nadaremnieś za nich umarł! Kiedy zaś zapragnął oderwać oczy od fal i skierować je przemocą poza siebie, w stronę Polski, uczuł ponownie na wspomnienie o niej — zaduch Pawiaka<sup>126</sup>. Kiedy pomyślał, że należy

---

<sup>126</sup>*Pawiak* — więzienie w Warszawie, nieistniejące dziś, wzniesione w l. 1830–1835 pomiędzy ulicami Dzielną, Więzienną i Pawią (stąd popularna nazwa); składało się z oddziału męskiego oraz kobiecego (zw. Serbią); od 1863 r. Pawiak był więzieniem politycznym i śledczym (drugim najważniejszym obok Cytadeli Warszawskiej), przetrzymywano tu członków Rządu Narodowego i powstańców 1863

wrócić tam po własnych, cuchnących stopach<sup>127</sup>, po tropach mściwego zbiega, knującego bezsilną zemstę niewolnika — zatrząsł się w sobie ze wstrętu. Spoza skały, której olbrzymi odłami leży w pianach morza, wypłynęła łódź. Wiatr dmie w czerwony jej żagiel, kładzie go na fale i wynosi. Na środku łodzi stoi BOŻYSZCZE pod postacią piraty<sup>128</sup>. Twarz jego młoda, bez zarostu, czarna od wichrów morza i pożaru słońca. Żeglarz ma na sobie chiton<sup>129</sup> grecki, wolną koszulę do kolan z płótna tego samego, co żagiel. Przepasany jest trzosem z rzemienia twardego, jak żelazo. Z lewego boku ma krótki brązowy puginał dawnego kształtu. Silnymi rękoma umiejętnie wiosłując, wprowadził łódź w szyję międzyskalną, zastoniętą od wiatru. Tam statek swój przywiązał łańcuchem

---

r., działaczy partii robotniczych, narodowych i ludowych, uczestników rewolucji 1905 r.; podczas powstania warszawskiego, 21 sierpnia 1944 więzienie zostało wysadzone w powietrze przez ustępujące siły niemieckie. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>wrócić po (...) stopach — tj. po śladach stóp. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>pirata (daw.) — dziś popr. forma: pirat. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>chiton — codzienny strój w staroż. Grecji: prostokąt tkaniny (lnianej, wełnianej itp.) spinany na ramionach i z boku (względnie dwa prostokąty zszyte po bokach i spinane na ramionach); chiton joński był szatą długą, sięgającą do kostek, zaś chiton dorycki krótki, do połowy ud; chiton niekiedy przewiązywano w pasie, względnie pod biustem przez kobiety. [przypis edytorski]

*do trzona skały i wyszedł na brzeg. CZAROWIC ujrzał jego całą postać: sandały z grubej skóry, wdziane na nagie stopy, z których sączy się woda, rękojeść krótkiego miecza, wyobrażającą posąg Diany z Efezu z trzema rzędami piersi, karmiących życie ziemi. Figura bogini ze wschodniego jest alabastru, głowa, ręce i nogi z brązu. Po ramionach jej skaczą lwy, jelenie, sfinksy i chimery, snują się drzewa i kwiaty, — na głowie wznosi się zamczysta wieża. Wspomniał CZAROWIC dawny jakiś sen...*

BOŻYSZCZE

Roztropnie czynisz, cudzoziemcze, z przenikliwością wpatrując się w nasze fale.

CZAROWIC

Czemu tak sądzisz?

BOŻYSZCZE

Jestem doświadczony żeglarz z tego wybrzeża. Znam naturę tutejszych mórz. Wiem, że te czyste fale wyobrażają najdoskonalej wszystko, co tylko jest najtępszego w duszy człowieka, przywodzą na pamięć wszystko i nie dają

zapomnieć, co tylko jest w człowieku mocne, wieczne i zawsze jednakie. Taka jest władza tego morza.

CZAROWIC

Szczerą prawdę powiedziałaś.

BOŻYSZCZE

Zmywa ono nieskończonym chlustaniem cokolwiek w duszy człowieka jest bojaźnią wobec tyrana lub wobec tłumu, cokolwiek jest przesądem, zabobonem, co jest zastarzałym błędem myśli, z choroby lub głupoty narosłym. Odmywa i odkrusza wszystko, co jest przemięjące, podatne, słabe, sypkie, co da się odłamać, oderwać, rozproszyć i odmyć. To, co po pracy tych fal w człowieku zostanie, jest już naprawdę zdrowe, twarde i jędrne, jak skalina tych oto głazów.

CZAROWIC

Lepiej to doprawdy wiesz ode mnie.

BOŻYSZCZE

Należy, żeby człowiek uczył się od naszych fal, jak być zawsze jednakowym, niepodlegają-

cym zgniciu, jak osiąść i swoją uczynić wieczną siłę życia, która w nim jest — jak opanować to, co jest samo w sobie i niezależne od niczego.

CZAROWIC

Jakże to ma uczynić przybysz na wybrzeża waszego morza z kraju jałowego i pełnego więzień?

BOŻYSZCZE

Kto nie przebywa stale na wybrzeżu naszego morza, powinien je raz na zawsze objąć zmysłami, powinien wchłonąć w siebie to całe morze umysłem i w umyśle swym oglądać zawsze istotę tych oto czystych fal.

CZAROWIC

Szczęśliwy żeglarzu! Jakimże to sposobem objąć obcym, strudzonym, na trud wieczny skazanym i szybko zapominającym umysłem to niezmiernie i w zmienności swej niewyczerpane morze?

BOŻYSZCZE

Umysł jest naczyniem obszerniejszym niż morze. Zdoła on odtworzyć wszystką ruchliwość i zmienność fal. A zresztą, o cudzoziemcze — nie ma innego sposobu osiągnięcia tego celu.

CZAROWIC

Ciekawe poruszyłeś sprawy, dobrą mi dałeś radę. Gdzie mieszkasz, ażebyś mógł odszukać, gdy stąd odpłyniesz?

BOŻYSZCZE

Nie szukaj mię, gdyż nie znajdziesz. Jestem samotny. Mieszkam w czerwonej pieczarze. Nie mógłbyś przebywać w miejscu mojego schronienia.

CZAROWIC

Ja umiem przebywać wszędzie.

BOŻYSZCZE

Ciemna to jaskinia o kolorze szkarłatu, której z chropawych ścian ściekać się zdaje — pełna pary gorącej z zapachem jodu i soli. Z załamania sklepienia padają krople gorące. Zdyszane



fale przychodzą tam z morza pełnego. W głębi, gdzie jest me schronienie przed wichrem, leży ścielisko z kamieni białych jak mleko, podługowato-okrągłych tak doskonale, jakby je snycerz grecki wytaczał przez lata. Leżą tam przedziwną warstwą, skarbiec podziemny naszego morza. Nad grotą moją skała się wznosi stroma, jak pióro tego orła, co u stóp Jowisza siadał. Nikt do wejścia drogi nie zna, tylko morze i ja.

CZAROWIC

Jakże tam wytrwać możesz?

BOŻYSZCZE

Kocham samotność. Uczę się samego siebie. Przeglądam duszę swoją w falach. Gdy burza z grzmotem tacza się po dalekich rozłogach, gdy gradonośne, stalowe chmury zrosną się ze stalowym morzem i zatopią w nim swe szpony, gdy piorun raz wraz w nie strzela, lecą fale do brzegu wielkimi skokami, a na nich płaskie zaspasy pian — w pianach huśta się moja łódź, w łodzi mój śmiech radosny jak piana,

posłuszny poświstom. Rozwidnia się morze aż do krańca najdalszych lądów od złowieszczego śmiechu błyskawic albo zapada w otchłań czarną, a ja patrzę z pieczary czerwonej w muzykę swojej duszy. Czarne morze zabieli się i osędzieje, skacze zjuzzone, żeby zajrzeć poprzez wierzchołek gór w powiaty lądu. Wicher porywa piany z grzbietów bałwanów i niesie w ukos daleko białopienną zadymkę nad wodami.

Jakże piękne bezdennie jest wówczas bezdenne morze! Nad czarnymi zwałami migają białe skrzydła mew, dzioby i szpony ich padają w grzebienie wodnych brył, pisk przeszywa na wskroś burzę, a wąskie skrzydła wynoszą się naprzeciwko piorunów. Czy nie słyszysz w duszy swej ich krakania, cudzoziemcze?

CZAROWIC

Żeglarzu, nie ucz mię złowieszczego krakania...

## BOŻYSZCZE

Kiedy indziej, gdy wracam z dala, a po okrutnych wichrach syzygów<sup>130</sup> wiosny ustanie deszcz, przycichnie bora<sup>131</sup>, greco<sup>132</sup>, tramontana<sup>133</sup> i sirocco<sup>134</sup> — morza stają się ciche, a leciutki powiew z południa ledwie je marszczy. W dali po nim lśniąca, srebrnobiała rozpostrze się polewa, nieruchome smugi błękitu, jakoby drogi tęsknot ku południowi, przetną je wzdłuż. Lekka krata złocistych poruszeń bawi się z sennymi skałami... W zaciszach, pełnych niedawno najgwałtowniejszego tumultu, staną się wody leniwe, bezwładne i ociążałe jak oliwa. Jakże wówczas kocham ciszę podskalną i tę przystań za wiatrem, gdzie samotny śnię, patrząc w dal — o Indiach, o palmach i cedrach, o po-

---

<sup>130</sup>*syzygi* (gr. *σύζυγος*: powiązane razem, ujęte w jedno jarzmo) — w astronomii konfiguracja trzech lub więcej ciał niebieskich w jednej linii. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>*bora* — w klimacie śródziemnomorskim: suchy, chłodny wiatr północno-wschodni. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>*greco* a. *grecale* — w klimacie śródziemnomorskim: wiatr południowy. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>*tramontana* — w klimacie śródziemnomorskim: wiatr północny (wiejący od gór, przez góry, tj. przez Alpy). [przypis edytorski]

<sup>134</sup>*sirocco* — w klimacie śródziemnomorskim: wiatr południowy, wiejący od wybrzeży Afryki ku Płw. Apenińskiemu. [przypis edytorski]

lach, gdzie trzykroć do roku zboże dojrzewa, gdzie rosną najczarowniejsze róże ziemi i wykwitła najczarowniejsza myśl ludzkości... Zda mi się wówczas, że płynę pod czerwonym żaglem w tamte dziedziny, patrzeć w kielichy lososów i przeglądać pod słońce tajne słowo zrodzone w zadumach Kryszny<sup>135</sup>, w postach Sakia-Muni<sup>136</sup>. Mewy bezwładne, tak samo jak ja, siedzą na szczytach skał, patrząc uważnie w dalekie morze. Pachną na słońcu gorzkie, rozgrzane zioła, bawią się kędyś<sup>137</sup> dzieci, a szczęśliwy ich krzyk, jak wietrzyk w morzu, wzdyma się, przelata<sup>138</sup> i zacicha. Bawią się muszki skrzydlate na liściach żółto zakwitającej krzewiny. Drzewo migdału, białe szaty czereśni i różowe brzoskwini okryły zaciszne sady po wzgórzach dalekich. Puszcza liście figa i kasztan w ogród-

---

<sup>135</sup>*Kryszna* — bóg w hinduizmie; wg *Bhagawadgity* Najwyższa Istota i Najwyższy Bóg; zrealizował swoje boskie wcielenie (inkarnację) w rodzinie pasterskiej, w okresie dojrzałości został bohaterskim wojownikiem i nauczycielem. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>*Sakia-Muni* (ok. 563–483 p.n.e.) — Budda Siakjamuni, właśc. Siddhartha Gautama z rodu Śakjów, indyjski książę, filozof i reformator religijny, twórca buddyzmu. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>*kędyś* (daw., gw.) — gdzieś. [przypis edytorski]

<sup>138</sup>*przelata* (daw., gw.) — dziś popr.: przelatuje. [przypis edytorski]

kach wysokich, otoczonych kamiennym murem. Winograd<sup>139</sup> z obciętych pędami, rozproszony na laskach, tworzy złotawą sieć nad czerwoną ziemią, skopaną pracowicie. Czy nie uczuwasz tęsknoty do wiecznie nowych łądów południa, wędrowcze z północy?

CZAROWIC

Kusisz mię, przyjacielu...

BOŻYSZCZE

Patrz na szlaki tych ziem, które tam zniżają się, zniżają w dali... Oto jest droga na południe. Tam to dźwięczy wiecznie radosna pieśń między palmami. Czyli nie chcesz tam popłynąć, cudzoziemcze?

CZAROWIC

Jestem człowiekiem północy. Widok morza waszego odradza po dziesięćkroć, wskrzesza z martwych moją duszę. Lecz konieczność wraca mię z drogi...

---

<sup>139</sup>*winograd* — winorośl. [przypis edytorski]

BOŻYSZCZE

Niewolnikami konieczności jesteście wy wszyscy, ludzie północy. Macie w sobie albo naturę ślepej władzy, podobną do waszego mrozu, albo naturę posłuszeństwa, podobną do waszego lodu.

CZAROWIC

Twardą jest władza północnej konieczności.

BOŻYSZCZE

Patrz, przychodniu, jak słońce przegląda się w otchłaniach wolnych tego morza. Czyli pod jego płonącymi promieniami nie roztopi się zamróz twoich przesądów?

CZAROWIC

Nie mam przesądów.

BOŻYSZCZE

Łudzisz się. Skuty jesteś kajdanami tysiąca przesądów — litości, współczucia, poświęcenia.

CZAROWIC

Poświęcenie nie jest przesądem, lecz siłą duszy.

BOŻYSZCZE

Pójdź jakąkolwiek z dróg ziemi, a każda zaprowadzi cię do Rzymu. Patrz tam na zamczy-sko Anioła. Pójdź ciemną jego jaskinią w pół-okrąg, w górę, w górę — i powtórz znowu, że litość, współczucie, poświęcenie jest potęgą duszy.

CZAROWIC

Nic by mi dziś nie powiedziała ta pieczara średniowiecza.

BOŻYSZCZE

W takim razie należałoby wziąć do ręki przewodnik po tej ruinie. Ta doskonała księga, oprowadzająca po korytarzach zamku Anioła, nosi tytuł *Il principe*.

CZAROWIC

Śmieszna to książka. Nic by mi dziś nie powiedziała...

BOŻYSZCZE

Cóż ci mam raić, smutny przychodniu z północy?

CZAROWIC

Na mój smutek ciężko znaleźć lekarstwo.

BOŻYSZCZE

Czyliż na ziemi nie ma kobiety, która by cię pocieszyć mogła? Zda mi się, że ją widzę... Twarz jej jest jakoby nasza, italska, ciemna, dziewicza. Oczy jej ciemne od łez, przelanych za tobą. Muzyka tęsknoty jest w tych oczach zawiedzionych, nieszczęśliwych, poszukujących nadaremnie twarzy twojej. W usteczkach jej, zaciśniętych od goryczy oczekiwania, od cierpkości doświadczeń w pustce samotnej — tysiąc kroć ucałowane w tajemnicy chowa się twoje imię...

CZAROWIC

Wróżem, widzę, jesteś...

BOŻYSZCZE

Nie ma cekina w kalecie, więc wróżę z musu. Pójdź, cudzoziemcze, weź w ramiona don-



cellę<sup>140</sup> swoją. Jesteś bogaty. Najmij mię na sternika swego okrętu. Popłyniemy na wyspy Wyśnione, których nawet w marzeniu nie oglądały oczy twoje. Śnią w dalekości, za ciemną smugą horyzontu, jakoby chmury błękitu między jasnym lazurem morza i lazurem nieba. Powiodę was oboje w wilgotne gaje wiosny, wonne od fijołków<sup>141</sup>. Zatoczą się wasze głowy ku sobie ze szczęścia, gdy was poprowadzę ulicą ciemnych cyprysów, lasem pinii czarnych ku łączce, gdzie nad murawą jaśnie zieloną sypią czarodziejskie płatki z pąków dopiero co stulonych drzewa kamelii szkarłatnej, bezwstydnie piękne, jak neapolitańska Venus. Wyciągniecie oboje ręce do błogowonnych kwiatów magnolii, ramiona do pąsowych rododendronów. Usłyszycie tam pieśń szczęścia pierwotnego...

---

<sup>140</sup>*doncella* (z średn. łac.: *domnicella*; por. port. *donzela*, fr. *demoiselle*) — pani, panna. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>*fijołki* — dziś popr. forma: fiołki. [przypis edytorski]

CZAROWIC

Daremnie mię kuisz, czarny Włochu. Nie pojedę z tobą! Pójdę tylko tam, dokąd sam zechcę!

BOŻYSZCZE

*ze śmiechem*

Wrócisz znowu we mgły samoudręczenia północy. Z uczynków, które wykona twa ręka, popchnięta przez szal poświęceń, wyjdzie tylko twa męka i gruby zysk oszustów. Wierzysz w jakąś urojoną odrębność swoją od niewoli, a nie spostrzegasz tego, że gniesz w bezsilnym miłosierdziu, z którego zyski na pewno osiągnie łotr.

CZAROWIC

Czego chcesz ode mnie? Badasz mię i doświadczasz, jak naczelnik szpiegów...

BOŻYSZCZE

Używaj bogactw, które ci los w rękę wtknął na to, ażebyś poznał smak kielicha rozkoszy. Czekają na ciebie parne noce południa, których nie znasz. Pieśń mandoliny dźwięczy

w cieniach strzępiastego cedru. Duszne od zapachów ogrody wzywają w czarne uliczki. Smugają się ściele księżycowe światło na drżącym morzu — lśni na zwieszonych kiściach wistarii, która ocienia żelazną bramę do ogrodu twojego szczęścia. Za nieruchomymi wachlarzami palm bieleją w świetle ściany twej willi, wyłożone bogato marmurem. Rzeźbiony balkon zwiesza się nad kępami róż. Cicho w blasku nocnym pluszcze fontanna...

CZAROWIC

Żegnam cię już, Galeotto. Już idę w swoją stronę.

BOŻYSZCZE

Nie chodź tam! Złą ci wróżbę powiem. Złą ci wyjawię wieść.

CZAROWIC

Ja się złych wróżb nie boję. Dla mnie złych wieści nie ma.

BOŻYSZCZE

Cudzoziemcze! Pójdź ze mną na wyspy Wyśnione! Będę posłańcem twoim do niej. Przywiozę ci ją.

CZAROWIC

Odepchnęłaby cię, stręczycielu, tak samo jak i ja.

BOŻYSZCZE

Czy widzisz ten miecz u mego boku? To zdobywczy miecz piraty. Biorę cię w niewolę! Skocz w tę łódź. Zdobyłem cię. Błogosławić będziesz niewolę moją.

CZAROWIC

Kruku! Krótki jest twój puginał...

BOŻYSZCZE *chwytą* CZAROWICA *w ramiona.*  
*Mocują się, siepią się wzajem, walczą ze wszech sił. CZAROWIC upadł na ziemię w walce. Tarzają się na brzegu skały, otoczeni ciemnym obłokiem.*

# SPRAWA PIĄTA

*Poranek w listopadzie. Śniada, nad wilgotnymi łąkami modra mgła. Słońce łśni kędyś za wzgórzami, za lasami. Chłód. Zapach liści uwiędłych. Żółte listowie klonów i topól szczelnie, uroczym okryto ziemię. Na zimnej murawie uporczywa rosa odpycha oczy. Nieruchomy, stary park zdaje się tulić w głuchość zakątków, zastanych mgłą, dawne pogrzebione wspomnienia. Nawija się ciągle przed oczy częstotliwy połysk liści oblatujących ze srebrzystej topoli. Te spływające zwłoki liści żegna cichy szum bezlistnych szczytów, co wśród nieba się poczyna, a w sercu kończy. Serce, ściśnięte od nieugiętych szponów żalu, tuli się samo w sobie i błąka we mgle wspomnień. CZAROWIC i KRYSTYNA zeszli ze wzgórza i idą długo w milczeniu odludną drogą w parku, ponad basenem leniwej wody, na którą spadła opona złotych liści. KRYSTYNA ma na sobie uroczy swój strój: jasnozieloną suknię, pluszowy krótki paltocik, czarny kapelusz ze strusim piórem. Każdy połysk jej lakierowa-*

*nego bucika szelestny jest niezapomnienie wśród złotych liści. Aksamitne jej oczy błędzą po głębinach drzew i mgieł. Policzki pokryły się od chłodu puszystym różem, usta spąsowiwały. Czarujące zdrowie, jak zapach, wonieje z jej postaci. Na ustach osiadł chłodny i okrutny uśmiezek, podobny do rosy, która nie opuszcza murawy. Oczy jej ani razu nie spojrzały w stronę CZAROWICA. Usta cedzą kiedy niekiedy słowa oziębłe. Jak uschnięty liść poniewiera się na ziemi jego upadłe serce. Wiatr je popycha tam i sam. Oczy wyteżają się tylko po to, żeby nieujęta mgła też zastaniała ich pole widzenia. Nic nie widać...*

KRYSTYNA

Proszę mówić...

CZAROWIC

Wszystkie przyczyny mojego smutku są mądre, a wszystkie racje mojego wesela byłyby niedorzeczne.

KRYSTYNA

Niech to pana pocieszy, że wszelkie uczucia są niedorzeczne. Uczucia psują porządek rze-

czy, a poeci i w ogóle ludzie podlegli uczuciom niweczą nieustannie logikę. Powinno się z tym wszystkim walczyć szponami i zębami.

CZAROWIC

Dlaczegoż pani dostarczyła mi tak niezrównanych piłek do przecięcia krat w oknie więzienia, skoro pani zamierzała oddać rękę mojemu bratu? Dlaczego?

KRYSTYNA

Dlatego, że brat pański jest bardzo bogaty i będzie coraz bogatszy.

CZAROWIC

Więc dla pani byłoby korzystniej, gdybym był zawieszony na szubienicy. Mój brat byłby odziedziczył po mnie całą schedę. Jest nas tylko dwu na świecie. Wypuszczony przez panią na wolność będę znowu psuł porządek rzeczy i niweczył logikę — ponieważ, niestety, jestem poetą.

KRYSTYNA

A tak — „niestety”. Że uczucia są zawsze niedorzeczne, najlepszy dowód może dla pa-

na stanowić ta okoliczność, że ja, w charakterze panny z towarzystwa i narzeczonej pańskiego brata, kochałam się do szaleństwa w Abelu Pollet, bandycie, którego ściał kat Deibler za pomocą gilotyny. Takie uczucie jest chyba doskonałą niedorzecznością w sferze uczuć młodej i niewinnej panienki z towarzystwa. No, a ja kochałam się w tym zbójcy, nosiłam jego fotografię na sercu, ponieważ był ciągniony na gilotynę przez pięciu ludzi, ponieważ patrzył na otaczających bliźnich, na cnotliwych synów ojczyzny, którzy przyszli nasycić swą doskonałość widokiem jego strasznych boleści...

CZAROWIC

Jakże żałuję, że przepiłowałam kraty i uciekłam z więzienia! Gdybym był zawisł, może by pani była pokochała mnie tak, jak tego Abela Pollet.

KRYSTYNA

Czy powiedziałby pan to ostatnie przypuszczenie w obecności brata?



CZAROWIC

Powiem je w obecności brata, ale z pewnym dodatkiem. Dodam jeszcze, że wymagać będę natychmiast wypłaty połowy mojej sukcesji po rodzicach.

KRYSTYNA

I cóż jeszcze powie pan bratu?

CZAROWIC

Powiem mu, że tę moją część wydam na cele rewolucji do ostatniego szeląga.

KRYSTYNA

A czy to będzie ładnie, poetycznie tak zubożyć brata?

CZAROWIC

I panią.

KRYSTYNA

A i mnie w każdym razie.

CZAROWIC

Jak to — „w każdym razie”?

KRYSTYNA

Oczywiście. Gdybym, powodowana przez wyrachowanie, zdradziła teraz brata pańskiego

i zechciała z wrodzoną mi przekornością dowieść panu, że wszystkie racje pańskiego smutku są niedorzeczne...

CZAROWIC

Co pani mówi? Po co takie rzeczy mówić?

KRYSTYNA

A kiedy ja należę do szeregu tych kobiet nowoczesnych, do gruntu zepsutych, niemal zwyrodniałych moralnie, które mówią tylko prawdę.

CZAROWIC

Cóż pani mówiła mojemu bratu?

KRYSTYNA

Chciałby mi pan dowieść, że nie zawsze mówię prawdę. Nie dowiedzie pan tego. Nie mówiłam bratu pańskiemu, że go Kocham. Pamięta pan naszą dawną rozmowę w alejach? Postanowiłam sprzedać się... Brat pański był tak wspaniałomyślny, że chciał, zamiast nabyć, pojąć mię ślubnie za małżonkę, osadzić w do-

brach swych na czele wszystkich pachtów<sup>142</sup> i krescencyj<sup>143</sup>, uczynić ze mnie obywatelkę, kolatorkę<sup>144</sup> parafii, matronę, przechowującą stare cnoty i tradycję rodu Czarowiców. A pan to wszystko znowu popsuł.

CZAROWIC

Jakimże się to sposobem stać mogło? Jakże to ja, siedząc w więzieniu, skompromitowany nie tylko w oczach policji moskiewskiej, ale również w oczach całego, dobrze myślącego ogółu, mogłem wpłynąć na rozumowanie pani, tak mocno zbudowane na fundamentach logiki?

KRYSTYNA

Powiedzieć panu?

CZAROWIC

Powiedz, Krystyno!

---

<sup>142</sup>*pacht* (daw.) — dzierżawa. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>*krescencja* (z łac.) — dosł. wzrost; tu: oprocentowana lokata. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>*kolatorka* (daw.) — fundatorka (kościół, klasztoru itp.). [przypis edytorski]

KRYSTYNA

Dobrze, powiem. Tylko bez wszelkich egzageracji, bez uniesień i bez spoufalconych wykrzykników w rodzaju tego — „Krystyno”! Otóż... Spodobało mi się to wszystko, co pana spotkało. Nie to wcale, co pan robił, lecz pański los. Spodobało mi się to, że na przekór im wszystkim, wbrew wszystkim kolatorom, publicystom, wszelkim zuchom, drabom i żulikom literackim... Nazywali pana zdrajcą, bandytą, brodiagą<sup>145</sup>, deklamatorem patetycznym... Sami nikczemni, intryganci, karierowicze — znienawidzili pana za to, żeś nie szedł z nimi. *Aquellos Polvos...*

CZAROWIC

Miłości moja!

KRYSTYNA

Sprawiało mi niewymowną rozkosz zaciskać zęby i przysięgać panu cześć do grobu. Zacisnęłam zęby, schowałam szpony i lubiłam całymi godzinami wśluchiwać się w ich głosy, patrzeć na morze głów szelmowskich, kiwa-

---

<sup>145</sup>*brodiaga* (z ros.) — włóczęga, wagabunda, łazik, kloszard. [przypis edytorski]

jących nad panem z politowaniem, z oburzeniem, z urągowiskiem. Polubiłam na śmierć tę pańską śpiczastą czapkę...

CZAROWIC

Uwielbiona!

*Oboje zbliżają się do ławki przydrożnej. Ławka ta stoi nad basenem wodnym, w pobliżu małej śluzy. Przez drewniane stawidło spada fartuch wodny, gęźba półgłówna, wciąż jeden głoś wydająca. KRYSTYNA i CZAROWIC usiedli. KRYSTYNA, pół odwrócona swoim obyczajem, patrzy w przestrzeń.*

KRYSTYNA

Teraz niech mi pan opowiada jeszcze powiastki o sobie, przygody i szczegóły...

CZAROWIC

Myślałem, że pani mi powie...

KRYSTYNA

Nic nie powiem. Musi pan jeszcze uciekać stąd w świat. Niech pan ucieka!

CZAROWIC

A co dalej?

KRYSTYNA

Nie wiem, co dalej.

CZAROWIC

Daj mi słowo nadziei!

KRYSTYNA

Och, nawet tej „nadziei” pan mi nie oszczędził! Zupełnie jak w powieści dla moralnych rodzin, której zadanie polega na „wlewaniu otuchy, tudzież siły krzepiącej”...

CZAROWIC

Więc co?

KRYSTYNA

Nic. Gdy pan pojedzie, zniknie mi z oczu...

CZAROWIC

To co?

KRYSTYNA

Muszę zobaczyć, czy pana stać na to, żeby pan mógł być moim głębokim, duchowym przeżyciem — czy pan może zawładnąć wszechwładnie moimi farbami. Czy będę zmuszona przez pana... nadal malować czucia i ruchy ta-

jemnicze duszy, czy będę zmuszona przetwarzać pana w moją sztukę? Zdarzało się malować pejzaż przedwieczorny, a to był nokturn o panu, kwiaty... a to był bukiet dla pana... Zobaczę, czy w panu jest taka moc nadprzyrodzona, żeby pan mógł popchnąć rękę do najwyższego, do wymarzonego od lat dzieła mojego życia...

*Twarz jej pokryła się ciemnym rumieńcem i powoli, na krótką chwilę zwróciła się w stronę CZAROWICA. Uśmiech boskiego początku i piękności nieśmiało wykwitł na wargach, łaska spłynęła w spojrzeniu.*

CZAROWIC

Krystyno!

KRYSTYNA

Cóż pan powie bratu?

CZAROWIC

Powiem mu okropną prawdę.

KRYSTYNA

Okropną prawdę... Cóż to jest owa okropna prawda?

CZAROWIC

Powiem mu, że pani zrywa z nim dla mnie i przeze mnie.

KRYSTYNA

Okropną prawdą będzie wyjawienie, że żywy towar jest nie do nabycia. Towar ogłosił swą niepodległość — czyż kto kiedy słyszał tak straszliwą pogłoskę na okręgu świata?

CZAROWIC

Cóż pani ze sobą pocznie? Za mną nie można iść. Na tej ścieżce, którą ja pójdę, dla dwu osób miejsca nie ma.

KRYSTYNA

*nachyla się ku niemu*

Toteż ja nie pragnę chadzać we dwoje. Proszę zapamiętać tę okropną prawdę, że ja chcę iść ścieżką, na której dla drugiego człowieka miejsca nie ma.

CZAROWIC

Może gdzieś, na cyplu góry te ścieżki się spotykają.



KRYSTYNA

Och, metafora! Może się zresztą schodzą na owym cyplu góry...

CZAROWIC

Jakże dosięgnąć tego miejsca bez obciętych kuponów, bez sleepingów, automobilu, służby, kufrów?... Na szczyt dochodzi się w łachmanach z pokrwawionymi rękami i nogami, z sercem na poły pękniętym.

KRYSTYNA

Nie pójdzie pan moją ścieżką, więc się pan nie dowie, jak się tamtędy wchodzi na szczyt góry.

CZAROWIC

Ale czy duszę kobiecą zdołasz donieść tam nieskalaną?

KRYSTYNA

To znaczy: czy dziewictwo moje, panieństwo ciała nie zostanie kędyś, w połowie wysokości?

*Nadchodzi* BENEDYKT, starszy brat CZAROWICA.

BENEDYKT

Takeście się państwo dobrze ukryli, że ledwie was mogłem znaleźć.

CZAROWIC

Może byłoby lepiej, gdybyś nas był nie znalazł wcale.

BENEDYKT

Doprawdy? *do* KRYSTYNY — Mama pani zaczęła się na serio niepokoić i poleciła mi szukać w parku.

KRYSTYNA

Mama zawsze miewa złe przeczucia. W tym wypadku złe jej przeczucie sprawdziło się.

BENEDYKT

Byłbym zrozpaczony, gdyby cokolwiek złego stało się pani w tym parku!

KRYSTYNA

Brat pański mię skrzywdził.

BENEDYKT

Czy podobna? Janek?!

KRYSTYNA

Niesłusznym podejrzeniem skrzywdził mnie tutaj...

BENEDYKT

Cóż on mógł przypuścić, co pomyśleć o pani, o wonnej róży, która na wiosnę zakwitnąć ma w tym ogrodzie?

KRYSTYNA

Ach, jak pan to kunsztownie wyczelował! Pan Jan posądzał mnie tutaj o brak logiki, o łatwowierność, o naiwność, o nieobywatelskość i skłonność do poezji.

BENEDYKT

Jakże on to wyraził? Jako sędzia, muszę mieć przytoczony dosłownie ścisły tekst jego przewinienia w słowie.

JAN

Musi mnie pani zadenuncjować — to darmo. Ja jestem do tego przyzwyczajony...

BENEDYKT

Jaś... Mogłeś oszczędzić nam tego słowa!...

JAN

Nie znam się, Benie, na oszczędności. Jestem rozrzutny i marnotrawny.

KRYSTYNA

Marnotrawny brat!... Utracił wszystko, zmarnował mienie, przyszedł półnagi. Zabito na jego cześć cielca utuczonego, przyjęto go z miłością bratnią, z ojcowskim przebaczeniem... — a oto, jakże postąpił?

JAN

Przed chwilą zegnałem się przecie z tymi drzewami, które dziad legionista sadził, pod którymi młodzieńcem marzył ojciec...

BENEDYKT

Żegnałeś się? Czy wyjeżdżasz?

JAN

Wyjeżdżam, Benku.

BENEDYKT

Czy nie możesz powiedzieć mi, dokąd jedziesz?

JAN

Wyjeżdżam bardzo daleko.

BENEDYKT

*niespokojnie*

Przecież mógłbyś powiedzieć mi, jak bra-  
tu!...

JAN

*patrzy na szczyty drzew, na oblatujące liście  
srebrnej topoli*

BENEDYKT

*któremu łzy płyną z oczu*

Niepoprawny w okrucieństwie, wieczny, głu-  
chy, bezpłodny marzycielu! Uspokój się, po-  
rzuć te przeklęte złudzenia! Krystyno, powiedz  
mi ty, bo ja słów już nie mam. Mnie on nie  
zrozumie i nie zechce wysłuchać. Może ty zdo-  
łasz...

KRYSTYNA

Złego pan wybrał we mnie pośrednika.

BENEDYKT

*do JANA*

Myślisz, że nie rozumiem twojej duszy, że  
nie odczuwam tego, co ci piersi rozpiera. Wy-  
starczy ci, gdy powiesz sobie o mnie w my-

śli: narodowy demokrata — realista — ugodowiec czy inaczej, według waszej recepty wyzwisk. Sądysz, że człowiek, który orze, sieje, żnie, który liczy snopki, ażeby mu ich nie skradziono, mierzy korcem zboże, hoduje konie, krowy, owce i świnie — nie ma prawa do krążenia marzeniami w tym kraju, gdzie ty przebywasz.

JAN

Ja tak nie sędzę.

BENEDYKT

Nie chciałbym się zająknąć od słowa, jakie by ci sprawić mogło przykrość. Ale pragnę dotrzeć do prawdy, która by nas pojednała. Jasiu, kocham cię dziś głębiej niż kiedykolwiek.

JAN

Wiem o tym i głęboko ufam ci, Benku!

BENEDYKT

A więc chciej mnie zrozumieć.

JAN

O ile jestem w stanie, rozumiem cię. Ale ja muszę wszystko, co mówię, mówić — i wszyst-

ko, co czynię, czynić na poziomie prawdomównej i niepodległej duszy polskiej. Inaczej nie mogę.

BENEDYKT

To, co wziąłem po ojcu dla nas obydwu, zliczyłem, oceniłem, zbadałem i powiększyłem niemal w dwójnasób. Pozwalam sobie mówić o tym przy panie Krystynie — i przepraszam ją za tę rozmowę. Słyszysz mię, Jasiu? Zwyczajka majątku powstała na mojej i na twojej części, więc dzielę ją pół na pół. Pracuję od świtu do nocy i chełpię się tym, że jeden z pierwszych gospodarzy w kraju. Czy sądzisz, że pożeram to, co zarabiam? Nie! Niech no poprawią się czasy, będziemy krzątać się około oświaty ludu i polepszenia jego bytu. Cenią mię chłopcy, uczą się ode mnie nowoczesnej gospodarki. Ufają mi. Cała okolica jest ze mną. Nie z tobą, Janku, który o nich tysiąc wypowiedział przemówień, lecz ze mną...

JAN

Wiem o tym. Czemuż chłop we mnie za-  
uwać może? Słowu, które wiatr porywa i niesie?  
Dola moja jest taka: ja orzę, bronuję, sieję, żnę,  
wiążę, młóczę, pocę się i ziebnę, dźwigam cię-  
żary i upadam, a ludzie na mnie patrzą i nie  
widzą nic a nic. Przeciwnie, ciskają na mnie ze  
wstrętem swoim nawozem i błotem, po któ-  
rym depcą ich nogi przez całe życie.

BENEDYKT

Zostań z nami! Będziesz rządził swą sche-  
dą. Weźmiesz folwark, który tylko wybierzesz.  
Będziesz robił eksperymenty, jakie tylko ze-  
chcesz. Zechcesz podwyższać parobkom płace  
do najwyższej granicy — stać nas na to do dia-  
bła! — Czarowiców! Zechcesz zakładać insty-  
tucje — póki tylko starczy twej części... Swo-  
jej ci nie oddam, gdyż mam swe wyrobione  
zdanie, ukochane idee, cele, drogi, wyobraże-  
nia, którym służę ze wszej duszy. Muszę mieć  
warsztat do pracy.

*z pokorą*



Zresztą ta moja część należy już do Krystyny...

KRYSTYNA *z uśmiechem rysuje parasolką znaki na drodze.*

JAN

Ułatwiłeś mi zadanie. Właśnie w tej materii chciałem się z tobą rozmówić, Benie.

BENEDYKT

Chwałaż Bogu! A mówże, chłopcze...

JAN

Krótko powiem. Moją część — tylko ojcowską, bez zysków, któreś dorobił, spłać mi gotówką.

BENEDYKT

*posepnie*

Zaraz chcesz tego?

JAN

Zaraz.

BENEDYKT

Nie mam gotówki. Wszystek nasz majątek leży w ziemi, w stodołach, stertach, kopcach, maszynach, inwentarzu, gorzelni.

JAN

Łatwo pożyczysz.

BENEDYKT

Taką sumę, pół majątku?

JAN

To cię przecie nie może zrujnować. Zaciągniesz pożyczki w towarzystwie, w bankach. Będziesz z wolna wypłacał i po niewielu latach staniesz się panem całości.

BENEDYKT

Łudzisz się, że to tak łatwo. A cóż ty zrobisz ze swoją częścią? Na co ci tyle pieniędzy?

JAN

Rzucę je w ogień.

BENEDYKT

W tę „rewolucję”?

JAN

Tak.

BENEDYKT

*z rozpaczą*

Ach, Boże!

JAN

*w zadumie*

Widzisz sam, Benku, że niełatwo przyszłoby mi czynić ze swoją częścią to, co bym uważał za konieczne, w razie gdybym tu pozostał.

BENEDYKT

*ze spokojem*

Zrzuńujesz mię... Ale cóż począć? Gdy zaciągnę tyle długów, nie będę mógł, oczywiście, pracować na całym z taką forsą i w taki sposób, jak obecnie. Wszystko by trzeba zmienić od początku do końca. Więc — część majątku trzeba sprzedać. Sprzedać! Sprzedać!

JAN

Dasz sobie radę na mniejszym.

BENEDYKT

To zdanie zawsze od ciebie słyszałem, jeszcze w szkołach. W istocie — ja dam sobie radę! Gdybym się miał na śmierć zapracować, dam sobie radę. To mój honor, żebym nie uрониł ani skiby tego, co mi w ręce dał ojciec.

JAN

A ja to wszystko, co mi ojciec zostawił, roztrwonię.

BENEDYKT

Przejdź się po folwarkach, gorzelni, warsztatach, posłuchaj zgiełku i turkotu roboty. Czyż ci nie będzie żal? Zobacz, ilu my ludziom damy w ręce skiby chleba, ilu dach nad głową, opał i odzież. My nie jesteśmy wyzyskiwaczami; ja płacę dobrze, chcę się opiekować starością pracownika, jego chorobą i kalectwem.

JAN

To dobrze, Benie, stokroć cię bardziej za to kocham. Ty jesteś człowiek osiadły, człowiek rozumny, człowiek skończony. Należysz do niezmiernego rzędu tych, którzy powolnymi pracami rozwijają siły narodu, kształtują codzienny, życiodajny czyn, którzy uwielbiają długie życie, tworzą bogactwa i zdobywają je dla pięknych kobiet, żeby wśród powodzenia i spokoju zażywać owoców swojej i cudzej pracy. Należysz do tych, którzy tworzą materialną kulturę narodu, istniejącą siłę jego trwania. Ja,

bracie, jestem przechodzień, który wciąż musi iść z miejsca na miejsce, musi iść tam, dokąd go popycha natchnienie.

BENEDYKT

Natchnienie! Pókiż będziesz wierzył w moc napuszonych słów, w piękne konstrukcje pięknych myśli, które jednak nie zawierają w sobie żadnej treści? Kiedyż nareszcie spostrzeżesz oczywiste prawa współzycia ludzkiego, które, jak natura, niezłomnie panują nad nami? Te prawa urabiają wolę naszą! Wyobraziłeś sobie jakichś ludzi, jakieś stosunki i jakieś obyczaje, których wcale na tej ziemi nie ma. Przypatrz się ludziom i miejscom!

JAN

Cesarz Japończyków dobrowolnie zrzekł się roli syna słońca i co najmniej połowy swych praw. Czy przed dokonaniem tego czynu nie poczytywaliby ludzie takich praw i stosunków, jakie nastąpiły, za utopię? Ów czyn japońskiego cesarza wydał niesłychane owoce. Wszyscy Japończycy, uzyskawszy od mikada znaczną część

jego praw, zrzekli się na rzecz dziesięciu tysięcy lat ojczyzny części swych przywilejów i praw. W ten sposób, w ciągu kilkudziesięciu lat powstał naród, który zadziwił, olśnił, oślepił stary świat. Każdy Japończyk, nie tylko samuraj, lecz wieśniak i robotnik, zrzeka się życia i wszystkiego dobra, kiedy idzie o dobro najwyższe. Widzieliśmy wszyscy setki tysięcy przykładów tej ofiarności. Dość wspomnieć bitwę pod Mukdenem<sup>146</sup>, nieśmiertelny rozkaz generała Hayashi — *shne!* — umrzyjcie! i nieśmiertelne wykonanie rozkazu. Naród polski stoi na drugim końcu tej drabiny ofiarności. Jest to naród najmniej ofiarny na świecie — i to od czasów bardzo dawnych. Mamy nadzwyczajnie bogatą magnaterię, która ściska w zaciśniętym od skąpstwa kułaku miliony, a naród żyje ofiarnością garsteczki inteligentnych biedaków. Toteż na-

---

<sup>146</sup>*bitwa pod Mukdenem* — jedno z rozstrzygających starć podczas wojny rosyjsko-japońskiej (1904–1905); miało miejsce między 19 lutego a 10 marca 1905 r. niedaleko miasta Mukden (obecnie Shenyang) w Mandżurii w Cesarstwie Chińskim i zakończyło się klęską Rosji: w bitwie poległo ok. 50 tys. żołnierzy armii ros., a ok. 30 tys. uznano za zaginionych; porażka osłabiła władzę carską, wzmocniła zaś wrzenie rewolucyjne, które zaowocowało wybuchem w 1905 r. [przypis edytorski]

ród polski trwa w najbardziej poniżającej godność człowieka niewoli. Dzieje wszystkich instytucji potwierdzają prawdę tego, co mówię.

BENEDYKT

Dużo was jest krytyków narodu, nauczycieli, kaznodziejów, mistrzów, wołających wniebogłosy, jakim być powinien ten naród tak niešťczęśliwy...

JAN

Posłuchaj! Kiedy muzeum Kensington chce kupić jakikolwiek drogi przedmiot do swoich zbiorów, dość jest zarządowi wystawić w witrynie przedmiot, a obok niego księgę do subskrypcji narodowej. Przypomnij sobie teraz nasze szkolnictwo, Macierz, nędzę naszych muzeów i brak urzędzeń, które są wszędzie na ziemi. Czy myślałeś kiedy w życiu o Kaszubach, o rybakach, którzy siedzą nad morzem, siedzą od wieków, i dzięki którym my moglibyśmy sięgnąć do morza, stworzyć handel morski, mieć nawet statki handlowe... Nieprawdaż

— jakie to śmieszne? My czekamy na chwilę, kiedy tych naszych Kaszubów Niemiec „w obcy naród przemieni” do ostatniego człowieka. Wówczas nawymyślamy w swych piśmidłach Niemcowi, który nie hołduje naszym ideałom... Dźwignęły się już z ponizienia narodki: Serbowie, Chorwaci, Słoweńcy. A my, dwadzieścia milionów, jesteśmy martwą masą, jałową gliną. Ja, bracie, idę za natchnieniem. We mnie ojczyzna moja płonie. Cóż ja pocznę? Chcę budować rzecz nową, a budować wszystko na ofiarności, która taki owoc wydała w Japonii...

BENEDYKT

Doskonale! Pokażże mi teraz, co ty sam robisz pod wpływem swego natchnienia. Niech w słońcu obejrzy świat twoje prace i rezultat sił twego ducha. Gdzieś był, kiedyśmy tu siali, orali, żęli, marzli i prażyli się na upale, razem z ludem pracując na polu i przy warsztacie, razem myśląc, modląc się w kościele zbudowanym przez przodków i trwale wierząc w lepszą przyszłość? Lud patrzy na moje ręce, na moją



robotę i sprawę. Zwołaj ich, skąd chcesz, i zapytaj się, czy Czarowic to nie uczciwy Polak, uczciwy pan i prawy człowiek? Kiedyśmy tutaj zakładali koła Macierzy, trzeba ci było wiedzieć, jak stanęli przy mnie, z jaką ufnością nieśli ostatni grosz. A kiedy tu raz zajechali po mnie kozacy i aresztowali mię, na dwa zresztą dni, o to, że prowadziłem szkółkę bez pozwolenia, we dwudziestu wsiach zagotowało się jak w kotle.

JAN

Stokroć cię bardziej za to Kocham!

BENEDYKT

A ty gdzieś wtedy był, coś wypracował? Przez pamięć ojca! Nie chciałbym usłyszeć, żeś brał udział w tym, co robili współwyznawcy twoich wierzeń. Ileż to krwi wylano za lada podejrzeniem, ile wylano niewinnej! A hasło? „Za mniejsze winy karaliśmy śmiercią” — „lepiej zgładzić dwu niewinnych niż puścić jednego szpiega” — a wreszcie: „winien czy nie winien — kulą w łeb, skoro padło podejrzenie”. Z ta-

kiego zatracenia prawdy, z tej otchłani rozbe-  
stwienia mogłoż wyrosnąć zdrowie nowego ży-  
cia? Jeszcze nie zaczęli być rządem nowym, a już  
wdrożyli wszystkie zbrodnie i nadużycia rzą-  
dów starych! Powiedz mi, gdzie jest rezultat  
całej twojej roboty? Gdzieś za granicą na uni-  
wersytecie deklamowałeś w gronie współwy-  
znawców, a później siedziałeś w więzieniu.

JAN

*zimno*

Gorzej, bracie! Gdyś ty wyprodukowywał  
zboże i pieniądze, to ja wtedy do upadłego tań-  
cowałem.

BENEDYKT

Jak to — tańcowałeś?

JAN

Lepiej nie pytać. Bity po twarzy, nie sta-  
nałem do pojedynku. Sromotnie uciekłem.

BENEDYKT

Co ty opowiadasz?

JAN

*śmieje się*

Konik polny i mrówka... Gdy mi teraz, mrówko pracowita, oddasz moją schedę, stanę do pojedynku!

BENEDYKT

*ponuro*

Dobrze, oddam... Wszystko oddam... Tylko pomyśl...

JAN

Ja to już wszystko nieźle przemyślałem. Miałem czas.

KRYSTYNA

*cicho ze złowieszczą kokieterią, zwrócona do*

JANA

Któż to pana uderzył?

JAN

Tłum rodaków.

BENEDYKT

Nie rozumiem. O czym mówisz?

JAN

Nie staraj się tego rozumieć. Już nie zrozumiesz, Benie.

KRYSTYNA

*do* BENEDYKTA

W istocie, niech pan nie stara się tego rozumieć. Jest w tym, co powiedział brat pański, coś bardzo nieprzyzwoitego, niemilego. To mogłoby panu zaszkodzić. Pojmuje pan, co ja mówię?

BENEDYKT

Właśnie, że nie pojmuję — i to mię drażni.

KRYSTYNA

Jest pan niedomyślny... Na ogół — jest pan niedomyślny. W każdym razie sumę żądaną musi pan wypłacić bratu. Taki wydaję wyrok. Sam pan żądał mej interwencji.

BENEDYKT

Miałem nadzieję, że pani właśnie przyjdzie mi z pomocą w uratowaniu brata. Pani tymczasem przyczynia się do jego zguby.

JAN

Nigdy nieszczęście nie chodzi samo. Drugą złą wieść muszę ci zwiastować...

BENEDYKT

*z lękiem*

Co takiego?!

KRYSTYNA

Pan Jan chce pana uprzedzić, że skazuje się pan na samotność, na zimne i puste życie.

BENEDYKT

Ja się skazuję? Dlaczego?

KRYSTYNA

Ponieważ ja jestem zbyt wymagająca, zbyt wyrachowana. Pan już dziś dla mnie, przez ten podział, stał się za ubogi. Muszę szukać ludzi bogatszych. Muszę pójść dokądś daleko...

BENEDYKT

*z pasją*

Znowu ta mowa przeklęta!

KRYSTYNA

Znowu ta mowa. Zresztą, wcześniej czy później i tak bym pana zdradziła. Co gorsza, już dziś zdradziłam pana, zdradziłam haniebnie...

BENEDYKT *mierzy przez chwilę obydwójce przesywającym wzrokiem, a później zrozpaczony od-*

*chodzi. Słysząc szelest liści pod jego błędnymi stopami i krótkie, urwane, głuche jego szlochy.*

JAN

Och!... Jesteś okrutna, Krystyno. Jesteś czarująco piękna w tej chwili. Jesteś czarująco piękna. Kocham cię!

KRYSTYNA

Kocham cię — to znaczy: chcę tobą władać. Trzeba, żeby miłość stała się wyższa od uczuć nas obojga razem złączonych.

JAN

Jakże to osiągnąć?

KRYSTYNA

Przez rozstanie się. Gdy mnie utracisz i gdy ja cię utracę, poznamy, czym jest nasza miłość. Będziemy daleko czuwać, jak ptaki, które instynkt tajemniczy, przedwieczny wygania z północy na południe, a nieśmiertelna tęsknota popycha do powrotu.

JAN

Nie chcesz być szczęśliwa?

KRYSTYNA

Ileż to razy zadał to pytanie młodzieniec dziewczeczce i ileż razy otrzymał twierdzącą odpowiedź! Spójrz na te pary we dwa lata po dniach ich „szczęścia”... Czy wiedzą cokolwiek o szczęściu, które dziś nasze serca rozpiera? *przez zaciśnięte zęby* Chcę cię kochać, chcę cię uwielbiać tak jak dziś — wiecznie, wiecznie!

JAN

Inny cię człowiek obejmie ramionami.

KRYSTYNA

Nie! Nikt nie pocałuje moich ust nigdy, prócz ciebie.

JAN *nachyla się. Patrzy w jej oczy. Całuje rubinowe jej usta, spąsowiałe policzki, czarne oczy, cudowne od ekstazy.*

JAN

Cóż mówiłaś o Nizzy?...

KRYSTYNA

Nie chcę, żeby ktokolwiek mną rządził...

JAN

Chodź ze mną. Wyjedziemy na kraj świata.  
Uciekniemy na wyspy Wyśnione.

KRYSTYNA

Nie — ja będę na jednym krańcu świata, ty na drugim. Będziemy czasami zdążać ku sobie przez morza, półwyspy, łańcuchy gór, rzeki, jeziora, płaszczyny, poprzez wielkie obce miasta i długie, cudze wsie, uciekające w dal poza oknami wagonu. Będziemy tęsknić do siebie i modlić się nawzajem do swych wyniosłych dusz w miejscach odległych. Jakże czarodziej-ska poezja będzie w tym nieskończonym rozdarcu!

*z miłością, w szepcie zachwyty*

Przygotuj się dobrze i mocno do swych katuszy, więzień, zesłań, katorg, walk nocnych, ucieczek — potężny lwie! Ja będę z dala czyhała. Będę chodziła po twych tropach królewskich, węsząc krople świętej krwi, spadłe na ziemię z twych ran. Gdy będziesz biegł w polach samotny, ścigany, z nozdrzami chwytającymi ostatnim wysiłkiem powietrze — nasłu-



chuj! Mój okrzyk będzie w pobliżu. Moje oczy będą widziały. Ja nie zawiodę.

*Usta się zwały z ustami. Szum wody spadającej z drewnianego na rzeczce stawidła, zdało się, pochwycił dalszy szereg wyrazów i zawarł treść w głosie swym jednostajnym, natchnionym, wiecznym. Szelest liści, które przelotny wiatr pogania i porusza, wchłonął w siebie szept rozkoszy i krótki jęk szczęścia.*

# SPRAWA SZÓSTA

*Prześliczne szkolne wzgórze. Na froncie placu, tuż nad drogą wznosi się piękny, murowany dom. Ściany z surowego kamienia, fugowane cementem, mocny dach łamany od wyglądów i balkonów, weranda, podparta przez łukowe arkady. Potężne skarpy zwierają budowlę, tęgi mur otacza cały plac od strony drogi. Okna domu otwarte. Słysząc głos fortepianu i śpiew kilkudziesięciu głosów dziecięcych. Za domem tarasami wznosi się ogród — las. Wielkie sosny rozpościerają konary nad placykami do tańca i nad płaszczyznami do zabaw w piasku. Wyżej stoi gaj uroczych brzoź. Za nim pole do hodowli jarzyn. Białe ścieżki biegną kolisto między brzozami i nie spodziewanie wytaczają się z gęstwiny na placyki, otoczone darniowymi ławkami. Najbliżej domu, na stromym urwisku rośnie sosna samotna. Obok niej — klomby kwiatowe. Pod szorstkim parkanem — malwy. Przed domem szerszy plac, zarosnięty murawą. Cała dziedzina otoczona pło-*

tem z drutu. Jesienne, późne odwieczerze. Czas przed burzą. Stania się woń lilii, rezedy i lewkonii. Niekoszone trawy usiane są jeszcze kwiatami. Na wyższym, drugim placyku CZAROWIC siedzi na drewnianej ławce, którą sam sporządził — pod wielką sosną. Cienie liści brzoźowych wynikają na równej powierzchni gliny, zgracowanej przez grabki i szpadelki dzieci, i gasną jak westchnienia. Cienie liści biegają po odzieży, po ogorzałych rękach, jak gdyby zjawienia snu, jak gdyby niepojętych istot, bytujących w marzeniu — dłonie i palce... Słysząc ze szkoły śpiew nowy. Pieśń smutna o jesieni: „...Kochało ptaszę te pola nasze, ale nie może wytrwać w tej porze, gdy taki smutny czas...”. Gdy pieśń ustała, wzdychanie brzoź ją pochwyciło, wessały ją pnie, chwiejące się niepostrzeżenie od ciągów górnego wiatru przed burzą. CZAROWIC przez wiele dni pracował rydlem nad odwaleniem przykop glinianek, które te pnie na poły zasypywały. Jeszcze deszcz nie optukał grubych szwów kory przyziemnej z czarnego osadu. Murawa powdzierała się na szczyty miejsc pracowicie skopanych, pokryła trud człowieka i za-

tarta ślady jego wysiłków. Strumyki wody deszczowej powyżłabiały na równiach placów gracowanych kręte łożyska. Śpiew w sali o rozwar-  
tanych oknach ustał. Dał się słyszeć radosny gwar. Za chwilę tłum dzieci wielobarwny, wesoly, ki-  
piący od życia wybiegł w ogród. Zaroity się od różowych fartuchów wszystkie uliczki, zakwitły wszystkie placyki. W jednym miejscu mali pa-  
robcy pracowicie kopią rydlami w przykopie żwi-  
rek suchy i, naśladując ruchy, spluwania, a nawet grube wyrazy starych parobków, sypią na wózczyki. Biegną w lejc zaprzężone rumaki po całym obszarze ogrodu kolistą, najszerszą ulicą, zwaną ulicą uspołecznienia. Przez długie namowy i usilną prośbę wdrożono woźniców i konie do szalowanego harcowania tylko tą ulicą, żeby ani jednego kwiatu i ani jednej trawy w bohaterskich wyścigach nie niszczyć. Migają niepochwytными skoki ogorzałe, spalone, brązowe nożyny, wieją w powietrzu płowe, czarne i białe włosy. Krzyk szczęścia bez miary, głos najwyższy siły życia przeszywa powietrze. Obok klombu schylone nad liliami szepczą o czymś sekretnie cztery dziewczynki.

*Za chwilę niosą coś stamtąd do szkoły tajemniczo, z twarzami pobladłymi od zdumienia czy zachwytu, na wielkim liściu łopianu. W poprzek placu zdąża ku ławkom zarosłym sześćioletnia osoba w zbrudzonej barchance. Twarz jej, spalona od słońca, ma kolor wyschniętej roli, białe jak piasek włosy związane w warkoczyk, mysi ogonek. Patrzy w oczy CZAROWICA.*

CZAROWIC

Cóż u ciebie słyhać, Nastka?

NASTKA

E, co ta słyhać... Długo tu będziecie siedzieć, panie?

CZAROWIC

Jeszcze posiedzę.

NASTKA

A kaj<sup>147</sup> macie swoją chałupę, panie?

CZAROWIC *wskazuje ręką na świat, w nieokreślonym kierunku*

---

<sup>147</sup>kaj (gw.) — gdzie. [przypis edytorski]

Powiedzieli stryjna, że całkiem chałupy już nie macie, ino się flańtacie po cudzych werkach, jak pomykacz...

CZAROWIC

Ech, stryjna tak ta gadali...

NASTKA

Panie! Jeździliście na maszynie?

CZAROWIC

Jeździłem.

NASTKA

No, widzicież! A ja nie jeździłam na tej maszynie i teraz nie wiem, co ta w niej huczy, jak jedzie.

CZAROWIC

Huczy w niej taka para.

NASTKA

Żydowska para?

CZAROWIC

Ale skąd znowu żydowska! Zwyczajna para, jak w garnku.

NASTKA

Jak w nocy maszyna huczy, to, wiecie, strasznie się bojam.

CZAROWIC

Czegóż się masz bać? Do ochrony<sup>148</sup> tyła panna chodzi, a maszyny się boi. Wstyd!

NASTKA

No, widzicież! I paniusim się pytała<sup>149</sup>. Pedziała<sup>150</sup> pani to samo, co i wy, że taka para huczy, a ja się het bojam i pokój<sup>151</sup>. Sama już nawet nie wiem, co z tym robić. Zamartwiam się.

CZAROWIC

Nic sobie nadzwyczajnego nie rób! Z głową się nakryj i śpij twardo. Jedyna rada.

---

<sup>148</sup>*ochrona* a. *ochronka* — daw. placówka opiekuńczo-wychowawcza, rodzaj przedszkola. [przypis edytorski]

<sup>149</sup>*paniusim się pytała* (gw.) — konstrukcja z przestawną końcówką czasownika; inaczej: paniusi się pytałam. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>*pedziała* (gw.) — powiedziała. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>*a ja się het bojam i pokój* (gw.) — a ja się nadal boję i już. [przypis edytorski]

NASTKA

Hy! Wy mi ta powiecie... Stryjna to mię ta dość poszturgujom<sup>152</sup>, jak się obudzę i beczę. Pedzieli paniusia, że mię wezmą i pokażą tę parę...

CZAROWIC

Nastka! Powiedz no mi, coście wczoraj w tym kącie około kartofli tak radziły?

NASTKA

Rano?

CZAROWIC

Rano.

NASTKA

A to był sąd! Ale nie gadajcie nikomu, pary z gęby nie puście. Nie puście pary z gęby?

CZAROWIC

Nie puszczę.

NASTKA

No, bo bym was zklena! Widzicież, tak było. Wzięła Józia srokatka, rymarzówna... Słyszycie dobrze?

---

<sup>152</sup>*poszturgujom* (gw.) — poszturchują (grzecznościowa forma lm czasownika).  
[przypis edytorski]



CZAROWIC

Słyszę!

NASTKA

Wzięła Józia srokatka, rymarzówna, złapała kurę, tę czubatkę, paniusina — wzięła igłę grubą, co ją ukradła z paniusinego igielnika — i dopiero tę grubą igłę wsadziła całą kurze w zadek. Nie wydajcie, zem wam pedziała!

CZAROWIC

Ale! I cóżeście z tą Józią zrobiły?

NASTKA

A pedziała paniusia tak: weźcie ją, osądźcie same. Co osądzicie, to tak niech będzie. Poszły my wszystkie w ten sąd, ją my ze sobą pojęły w tamten koniec ogrodu. I sądziły my ją bez całą pauzę, sądziły my ją het — precz, ale my nic nie mogły wysądzić. I dopiero jak zaczniemy wszystkie beczeć!

CZAROWIC

Ale nad czymże tak?

NASTKA

Ano nad tą kurą, nad czubatką...

CZAROWIC

A Józia cóż? Cóż też ona?

NASTKA

Ano ona to samo zaczęła beczeć.

CZAROWIC

A ona znowu czego?

NASTKA

Widzicież wy! Ano nad kurą, nad czubatką. Tacyście już głupi, panie, że nic nie możecie zrozumieć.

CZAROWIC

Teraz już zrozumiałem. Dobryście sąd zrobiły, bardzo dobry. Ale z czym żeście przyszły do pani nauczycielki?

NASTKA

No — zaprzysięgła się na Matkę Boską Zielną, na Pana Jezusa i na świętego patrona Józefa Oblubieńca, że już nigdy a nigdy, a przenigdy igły kurze w zadek nie wsadzi. Ale — co ta nasze rzeczy dziewczynskie! Chłopaki — to te dopiero!... Jezusie Nazareński Królu!...

CZAROWIC

No? Cóż chłopaki?

NASTKA

To nie wiecie?

*tajemniczo*

Wzięły Franek Zatajewski, cieśli czarnego spode młyna, i Wiś Budniak złapały od mamy Wisiowej sześć małych kotków, co się okoczyły tydzień temu i wszystkie sześć zakopały żywcem w ziemię. Słyszycie, panie?

CZAROWIC

Słyszę.

NASTKA

*plaskając rękami i wznosząc pięście na wzór starych kobiet*

Najsamprzód wykopały dół za cegielnią i cisnęły w ten dół biednego kotka, z białą łatką na łbie. Zasuły go ziemią. Piszczął, piszczał... Aże przestał... *placze* Potem cisnęły w dół drugiego kociaczka, czarnego z białymi łapami. Zawaliły go ziemią. Potem frygnęły białego z pyszczaszkiem...

*Płacze gorzko.*

CZAROWIC

Cóżeście też z nimi poczęli, z tym Wisiem i Frankiem?

NASTKA

Zwołali paniusia calusieńką ochronę, kto ta ino kiedy był, i te dzieci, co już nie są w ochronie, ino we szkole, bo już przeszły ochroniar-skie — i poszliśmy sznurem, parami, umyte, poczesane do kociego dołu, za cegielnią. Tam — w te pokrzywy. Odkopaliśmy dół szpadelkami. A ony oba siedziały na górcie, nogi pod się i patrzyły na to to. Hy! Pobielaty jeim gęby! Jak my odwalili ziemię, leży kociaszek jeden, ale już nic nie miauczy, ino leży, bo se zdechł. Łapkę do góry położyć — sterczy do góry... Odkopaliśmy drugiego — ruszamy go — zdechnięty. Tak my wyjęli, wszystkie sześć i ponieśli my je rzędem, na desce poprzed nimi, przed Wisiem i Frankiem, tu do ochrony. Tu my dół wykopali i zasadzili my na nich tę dużą białą leliją. Widzicie, panie? A jak my

sprawiali kotkom pochówek, ony oba wlażyły na parkan i patrzyły się...

CZAROWIC

Powiedz no, Nastka, a wszów<sup>153</sup> dużo też jeszcze wyczesują z was w ochronie?

NASTKA

Paniusia sami czeszą za kolejną dzień dnia sześć dzieuch i sześci wisusów. Dużo wszów wyczesują. Chłopakom to aże naftą umyli głowy. Latały potem do wody głowy prać...

CZAROWIC

A czy to Wiś i Franek nie chodzą do ochrony?

NASTKA

Franek ta chodzi, ale rzadko — bo wiecie? szpadelki nama<sup>154</sup> pokradł. A wiecie czemu pokradł?

CZAROWIC

Nie wiem.

---

<sup>153</sup>*wszów* (gw. forma) — wszy. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>*nama* (gw.) — nam. [przypis edytorski]

NASTKA

A bo mu jego mama kazali, żeby wszystkie szpadelki do domu przyniósł. Wiś ta całkiem nie chodzi. Pedzieli jego ojciec paniusi, że nie będą Wisia posyłali, bo ta szkoła jest za piękna, bo to jest pałac nie szkoła. Jakby, pedzieli, Wiś do takiej szkoły chodził, to by potem ojca — matki szanować nie chciał. A i stryjna to samo...

CZAROWIC

A cóż stryjna?

NASTKA

A pedają stryjna, że wy, toście są, widać, głupi, rozumu dobrego nie macie, boście tyle majątki wywalili na te ta szkoły. Pałace, pedają, nie szkoły pobudował, a sam łązi w łatanych portkach. I sprawiedliwie: łatane portki macie. O, tu łąta jedna, tu druga łąta... Nie pasujecie na pana, ino na dziadka. A i w kreminalu będziecie siedzieli — wiecież wy, panie.

CZAROWIC

Tego jeszcze nie wiem.

NASTKA

No, to ja wiem, bo Walek Raciejewski pedał<sup>155</sup> do naju<sup>156</sup>, jak mu paniusia łeb zmyła naftą, że pójdzie do ziandarów i powie, żeście są kreminalista, a tu siedzicie po próżnicy, w ogrodzie się kryjecie. A i to powie, że po polsku na książce czytać, pisać uczą, a w ochronie czytać, pisać nie mają racji... Wiecie wy teraz?

CZAROWIC

Dyć wiem.

*Dzwonek się rozległ i pierzchła NASTKA. Idą ku szkole gromadki, grupy, konie, pojazdy, tańczące koła. Znowu cisza. Za chwilę wieczorny śpiew. Gwar. Szkoła pustoszeje. Dzieci idą do domu parami, grupami, tłumnymi orszaki. Słyszać jeszcze ich głosy, okrzyki. Coraz dalej. MICHAŁEK, syn OSTA, chłopiec czternastoletni, i OLEŚ, syn ANZELMA, piętnastoletni, wchodzą z wolna na plac przed werandą szkolną. Każdy z nich niesie pudełko ze skrzypcami i nuty. Ustawili pudła instrumentów na zewnętrznych schodach szko-*

---

<sup>155</sup>pedał (gw.) — powiadał; mówił. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>do naju (gw.) — do nas. [przypis edytorski]

*ty. Rozmawiają żywo, nie widząc chwilowo CZAROWICA. Grupami nadchodzą chłopcy starsi i młodsi od MICHAŁKA i OLESIA, koledzy ich, uczniowie szkoły czterooddziałowej, stojącej na wzgórzu. Wszyscy wśród figlów, rozmów i hałasu gromadzą się na werandzie. MICHAŁ i OLEŚ idą powoli w ogród. Spostrzegają CZAROWICA.*

CZAROWIC

Dobry wieczór panom muzykusom!

OLEŚ

Dobry wieczór panu!

MICHAŁEK

Dobry wieczór!

CZAROWIC

Dziś lekcja śpiewu?

OLEŚ

Zaraz będzie.

CZAROWIC

A gdzież pan Szczypiorek?

MICHAŁEK

Miał wnet nadejść.



OLEŚ

Pewnie się spóźni, jak to zwykle.

MICHAŁEK

*ze śmiechem*

Bo jeszcze u Apfelgrüna...

CZAROWIC

Nie trzeba mu tej wady wytykać zbyt ostro. Pewnie zaraz nadejdzie. A cóż też będziecie grali? Nie uwierzycie, muzykusy, jak się cieszę, że dziś będziecie grali. Jak to dobrze!

OLEŚ

A dziś mamy właśnie nową rzecz...

MICHAŁEK

Olek!

CZAROWIC

Co? Sekret?

OLEŚ

*zawstydzony*

Właśnie... nie możemy powiedzieć.

CZAROWIC

Skoro sekret, to sekret.

OLEŚ

To na pożegnanie...

CZAROWIC

Na moje pożegnanie... Widzisz, Oleś, teraz ja się czerwienię.

MICHAŁEK

Tyle możemy powiedzieć, że to *trio*.

CZAROWIC

*do* OLESIA

Cóż, mieszczechu, nie tęsknisz za Warszawą?

OLEŚ

Już teraz nie. Teraz już polubiłem. Zrazu nie mogłem się przyzwyczaić. Tak jakoś cicho, nudno. A teraz widzę, że miejsce to jest wesołe i nawet bardzo wesołe.

CZAROWIC

Nie tęsknisz za nikim?

OLEŚ

*po namyśle*

Nie, proszę pana.

CZAROWIC

Więc dobrze ci tutaj?

OLEŚ

Dobrze.

CZAROWIC

*do* MICHAŁKA

Ty zdradź jego tajemnicę. Prawdę mówisz?

MICHAŁEK

Chyba prawdę.

CZAROWIC

A powiedzcie no mi, muzykusy, ale szczerze, jak przed kolegą, czy jesteście przyjaciółmi?

OLEŚ

Owszem.

*po chwili wahania, nieśmiało spoglądając na*

CZAROWICA

Czasem się chce być samemu. Ale to żeby, jak ten jarzab na polu, co sam jeden... A czasem znowu chce się być z przyjacielem. Ciągłe człowiek jest w takim omyleniu. Jak się jest z przyjacielem, to mu się chce powiedzieć naj-

szczerzą prawdę o swoich rzeczach i o wszystkich wadach, ale człowiek czuje, że jak powie, to ten przyjaciel poczuje zaraz i odwróci się. Trudno przyjacielowi skłamać i nie można prawdy powiedzieć.

MICHAŁEK

Ech — nie ten jest przyjaciel, co gada: nie masz żadnej wady, pachniesz jak róża... Ale ten jest przyjaciel, któren mówi w oczy: słuchaj, tu w tobie siedzi...

CZAROWIC

Ja starałem się zawsze wytykać wady przyjacielowi, owszem, ale bez gniewu, bez pogardy. Ale mnie było łatwiej, byłem niezależny, uczono mię nawet tego, jak należy postępować z przyjacielem.

OLEŚ

Właśnie... Jak najszczerzy przyjaciel wytknie coś takiego niezręcznie, to człowiek zaraz się zgubi. To jest niesłuszne, ale cóż począć? Inny, który będzie ukrywał, pokaże po sobie,

że nie wie, a człowiek pozna i myśli sobie: wiesz ty dobrze, bratku, tylko cyganisz...

*Nieśmiało spogląda na CZAROWICA i pyta z głębi duszy*

Jakże postępować?

CZAROWIC

*w pomieszaniu*

Nie jestem pewny, muzyku, czy dobrze jest mówić wszystko... Nie dobrze wiem, jak mówić...

OLEŚ

Człowiek szuka sposobu na duchowe cierpienie, a nie może człowiek sam utrafić...

CZAROWIC

Duchowe cierpienie?

OLEŚ

Bo po prawdzie to duchowe cierpienie jest potrzebne.

CZAROWIC

Nie rozumiem.

## OLEŚ

Ono się w człowieku robi od smutnej muzyki, od śpiewu, od szumu tych brzezic, a najbardziej to sosen... Albo w polu, jak zboże weźnie<sup>157</sup> wzdychać, abo nad rzeką, gdy woda... I to cierpienie tak robi, że się człowiekowi rwie dusza.

## MICHAŁEK

A ja ci sto razy mówię, że to twoje cierpienie nie jest człowiekowi potrzebne! Zaraz zaczynasz myśleć o smutnych rzeczach, o śmierci, zaraz myślisz: a po co żyłem, uczyłem się, kłopotalem? Oto przyjdzie prędko śmierć i zabierze mię. A człowiek musi umrzeć za swoją sprawę! I ten człowiek, co z moich rzeczy albo z mojej nauki skorzysta — i on także umrze... A w tym wszystkim jest myłka... Wszyscy ludzie, nim umrą, mają wielką korzyść ze swoich rodziców i poprzedników. Wszyscy ludzie przede śmiercią pracują dla swoich potomków, żeby mieli co jeść. Tak się robi cały świat. Trzeba umieć z każdego natchnienia korzystać...

---

<sup>157</sup>*weźnie wzdychać* (gw.) — zacznie wzdychać. [przypis edytorski]

OLEŚ

*w zadumie*

Gdyby to człowiek umiał z każdego świętego natchnienia korzystać, to by też łatwo wiedział, jak wszystko złe zmazać i jak zostać bohaterem...

CZAROWIC

*nieśmiało*

A to ty chciałbyś zostać bohaterem?

OLEŚ

Tak tylko mówię... My by oba z Michałem chcieli choć w życiu napotkać takiego człowieka, żeby my przez niego mogli zrobić... Sam człowiek nie potrafi, bo jest ciemny i grzeszny. Ale żeby się choć na całej ziemi znalazł taki człowiek! Modliłby się człowiek do niego, a żeby też pospęśniał za kolejną, do cna...

CZAROWIC

Ale o cóż idzie przede wszystkim? Co najpierwsze?

MICHAŁEK

On ma swoje... Jemu się śni, żeby odkupić świat...

CZAROWIC

Odkupić świat...

OLEŚ

On to źle mówi! To nie tak... I czego papesz?!

CZAROWIC

No, czemuż?

OLEŚ

Chciałby człowiek dowiedzieć się, co robić, żeby w sobie znaleźć świętą duszę. Czy się modlić wciąż we dnie i w nocy, czy pościć, czy się umartwiać i spowiadać, czy pracować a pracować? A jakże potem wysłać ze siebie świętą duszę na świat? Bo przecie świętość na świecie musi być, tylko jej nikt a nikt nie może wy dostać. Ona leży pod rumowiskiem, jako ten żywy człowiek, co go zasypały zwalone domy... Ludzie wszyscy wiedzą i szepcą między sobą o tym, że ona tam jest pod tymi głazami. Nie-



który człowiek to drży na ciele od myśli, że ona tam półmartwa leży pod zwaliskiem, że na jej piersiach rumowie i piach... A po wierzchu tłum łazi, robi, baraszkuje, hula, śmieje się, skacze do tańca. Oddałby człowiek swoją krew, żeby w sobie świętą, chwacką duszę znaleźć, co by wyszła na te gruzy z kilofem...

*Zmierzch zapada.*

CZAROWIC

Ziemia przesiąkła już od ludzkiej krwi. Koła jeżdżą, kopyta koni, racice krów depcą po niej. Obcasy butów ciemnego przechodnia wgniatają w glinę świętą krew jak gnój. Ziemia ją pije, trawa pod sobą ukrywa. A czy nie sądzisz, że świętość jest nie pod gruzami, lecz niewidzialna krąży na gruzach w tych tłumach, co śpiewają i tańczą.

OLEŚ

Jakby ludzie zobaczyli świętość wpośród siebie, to by ją wnet zaczęli gonić ze skałami w rękach, żeby ją ukamienować, jak żydzi świętego

Szczepana<sup>158</sup>. Już ja wiem, jak ludzie umieją...

MICHAŁEK

O świętość trzeba walczyć i swoją krwią  
odkupić ją trzeba od czarta.

*z dumą*

Trzeba walczyć i bez żalości wylewać swoją  
krew, jak mój ojciec...

CZAROWIC

*pospiesznie, gwałtownie zatyka mu dłońią usta*

Nie trzeba tego mówić! Zachowaj Boże!  
Nie trzeba!

OLEŚ

*głuchym głosem*

Ja wiem, dlaczego pan nie daje mu mówić.  
Wiem, dlaczego mu pan zatyka usta. Wiem...

---

<sup>158</sup>Szczepan, św. — właśc. Stefan, święty katolicki oraz apostoł kościoła prawosławnego, zw. pierwszym męczennikiem; Żyd, zwierzchnik grupy zw. hellenistami, pragnął zreformować judaizm poprzez powrót do jego korzeni (z wyjątkiem przykazań dotyczących świątyni i kultu ofiarnego), zginął ok. 36 r. n.e. ukamienowany pod Jerozolimą przez miejscową społeczność. [przypis edytorski]

CZAROWIC

Ja mu zatykam usta, żeby się nie chełpił z cudzej zasługi. Każdy człowiek odpowiada tylko za siebie.

OLEŚ

Toteż niech nam pan powie, co trzeba zrobić, żeby już tego na świecie nie było...

CZAROWIC

Niełatwa na to odpowiedź... Gdybyż to człowiek mógł ująć stylisko ciężkiego kilofa, ażeby co dnia odwalać gruzy, pod którymi świętość leży! Gdybyż mógł nie znać innej troski nad troskę, którą stwarza praca, i innej myśli nad jasną myśl o odkopaniu świętości! Ale ziemia przeludniła się od kanalii, która pracownikowi kradnie kilof, młot z rąk wydziera, podstępnie zawala głazami chodnik odkopany, niszczy urobek. Łotrostwo dybie na czcigodną pracę, chowając sztylet pod połą pięknej szaty. Usłyszycie o posłannictwach, o apostołstwach, o prawach narodowych i społecznych — uwierzycie i będziecie biegli bosymi swymi nogami... Ale wkrótce ujrzycie sami, jak łotrostwo

łotrostwu wydziera łupy, zdobyte potem i krwią bezimiennych nędzarzy, jak zgnilizna oszukuje zgniliznę, byleby jak najdłużej trwać... Musi pracownik odrzucić sprawiedliwy kilof i uczciwy młot, odpasać najdostojniejszą szatę: fartuch skórzany. Musi jeszcze wdziać żelazne rękawice i zbroję okrucieństwa. Trzeba jeszcze mieczem bezlitosnym ścinać i rzucać w jamy mogił kanalię, wyrosłą ze zwyrodnienia ludzkiego rodzaju. Trzeba jeszcze z ramienia rąbać łupiestwo i uprzywilejowany gwałt.

Jedno wam doradzę: nie bierzcie nigdy do ust wódki. Wszystko, co czyni człowiek prawy, musi wytryskać z trzeźwości myśli i zimnego stoku niepodnieconego uczucia. Ani jeden krok człowieka prawego nie może być rezultatem sztucznego podniecenia. Cokolwiek powstaje za sprawą wódki jest niskie, niepłodne, niecelowe, nieduchowe, histeryczne, a najczęściej podłe. Z trzeźwości myśli i z siły niepodnieconego uczucia narodzi się tak wielka zdolność do ofiary, jak w twoim ojcu, Michał — wytryśnie, jak owoc z kwiatu, niestrudzo-

na praca i upór nieprzełamany oraz to, co jest najdostojniejszą cnotą mężczyzny, żeby umiał przez całe życie godnie dochować wierności młodej tajemnicy swojego serca. A jak mianowicie ma postępować człowiek prawy, co czynić i dokąd iść — tego ja nie wiem, braciszku moi. Sami szukajcie drogi swojej...

*Wielkimi, aczkolwiek nieco chwiejnymi krokami<sup>159</sup> nadchodzi metr<sup>160</sup> muzyki SZCZYPIOREK. Spozstrzega CZAROWICA i uczniów na wzgórzu. Zbliża się.*

SZCZYPIOREK

Pan dziedzic przebaczy...

CZAROWIC

Nie jestem ani trochę dziedzicem.

SZCZYPIOREK

Osoba pańska, płaszczem tak wielkiego dostojęstwa przyodziana, przebaczy...

CZAROWIC

Nie noszę, ze względu na ciepłą pogodę, płaszcz, a tym mniej płaszcz dostojęstwa.

<sup>159</sup>*chwiejnymi krokami* — dziś: chwiejnymi krokami. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>*metr* (z fr.) — nauczyciel. [przypis edytorski]

SZCZYPIOREK

Osoba przebaczy... Jako płatny nauczyciel nie jestem oto na posterunku we właściwym terminie.

*podniesionym głosem*

Wyznaję, że członki moje obciążone są od wysokokowego napoju!

CZAROWIC

Lepiej jest, gdy się ciała wysokowymi napojami nie obciąża. Ale nie ma o czym mówić, nie ma potrzeby...

SZCZYPIOREK

Przeciwnie! Osoba pozwoli, że zaprzeczę. Z całą rewerencją<sup>161</sup> dostojęństwu przynależną, ale zaprzeczę. Należy wyznawać! Bo po cóż taić? Co taić? Jak taić? Zapytuję, gdzie znaleźć drogę ucieczki i *montem sacrum*, skoro świat stał się dla indywiduum żydowską gehenną, złowonnym śmietnikiem za miastem Jeruzalem?

---

<sup>161</sup>*rewerencja* (daw.) — okazywane komuś poważanie, szacunek. [przypis edytorski]

CZAROWIC

Tego nie wiem, ale przy tych młodych frycach...

SZCZYPIOREK

Ci młodzi uczniowie stoją przed progiem... A ja, stary rzępoła, stoję na progu — co mówię? — stoję za progiem... Spoglądam na prawo i na lewo, do wewnątrz i na zewnątrz, do kostnicy — ostatniego lokalu — i na tę ścieżeczkę, którą przyszedłem... O, ścieżeczko umajona jaśminem i bzem zmoczonym od deszczu! Osoba pozwoli, że wspomnę na to słowo, tylko na to jedno słóweczko — Syjon duszy — skrzypce... Albowiem jest chwila, kiedy już spodłala ręka skrzypiec dotykać nie waży się, nie waży się...

*łka raz i drugi*

Osoba przebaczy... Albowiem skrzypce żyją, skrzypce wołają, skrzypce łamią palce u rąk i targają siwe, skudłane włosy... Już to inna istota ściska ich gryf. Już tej ręki nie masz, która boski smyczek na nich składała w chwili natchnienia...

CZAROWIC

Tak źle nie jest.

SZCZYPIOREK

Tak źle nie jest... Jakże to rozum indywiduum — proszę o chwileczkę miłosiernej uwagi — zmieścić w sobie może na kupie te rzeczy, żeby mieć w duszy, w głowie, w uchu jak gdyby nigdy niezgojoną ranę, środkowe *adagio* z eff-molowego koncertu Szopena, mieć tu, w sobie, to dzieło boskie, wydane w jednej chwili z trzewiów tysiącolecia — (a nie wiadomo, czy drugie tysiącolecie na taki głos się zdobędzie!) — mieć w duszy powieść o śmierci Izoldy, jak ją muzyka Wagnera oderwała z wieczności i przed duszami czujących istot zatrzymała na wieki, mieć w sobie niebiańskiego Szumana — i razem — proszę o miłosierną uwagę — mieć wolę tak zmachlajdezowaną, czucie tak zjarzębinówkowane, kredyt tak poderwany u Mendla Apfelgrüna, zwanego, słusznie czy niesłusznie, w to nie wchodzę, Mikitką — że dalej już tylko jest śmietnik za miastem Jeru-



zalem i płot, polska instytucja, pod którą się zdycha...

CZAROWIC

Farfarello!

SZCZYPIOREK

Ta ręka, to jest ręka Szczypiora — żal się Boże! — Farfarella... Osoba uczciła mię jeszcze, porwała w górę... Farfarello! To jest ręka Farfarella, wódkożłopcy na głębokim partykularzu, to jest ta sama ręka, która prowadziła lekki smyczek przed wspaniałą, pełną, śmiertelnie uciszoną salą... To jest ręka, która niepochwytnymi skinieniami porywała dusze nieznanymi jegomościów i bab, która rządziła uczuciami młodych demuazel i wstępujących w życie blambeków, to jest ręka, od której posunięć zależały wszystkie i to najtajemniejsze czucia, wszystkie westchnienia... To jest ta sama ręka, która w sposób nieomylny, doskonale trafny, stwarzała muzykę, najwyższy stopień harmonii, sztukę jedyną, wyższą od poezji, niewątpliwą, władczą, nieśmiertelną, porywającą w je-

den uścisk cesarzów i bezspodniowców, bankierów i anarchistów-komunistów... To ma być ta sama ręka! Panie muzykant — to jest już moja ostatnia łaskawość. Ja panu już ani jednego kufla nie dam na kredyt. Pan wie? Panie muzykant, teraz to już pan pije całkiem za darmo. Pan słyszy, panie muzykant?

CZAROWIC

Niechże się pan uspokoi! Pan jest naszym muzykiem, nauczycielem niezamożnej młodzieży. Może ich pan wychowywać... Mówi grecki filozof, Plato, że muzyka obejmuje wszystkie sztuki, poezję, rzeźbę, malarstwo, że — jak gimnastyka wydoskonala ciało człowieka — tak muzyka wychowuje dusze ludzkie. Właśnie ci dwaj młodziankowie rozpytywali mię, jak mają postępować. Tymczasem ja jestem zgoła nędzarz, bo nic im nie mogę odpowiedzieć. A pan, Farfarello, skoro zechcesz położyć smyczek na strunach, możesz wychowywać ich dusze...

SZCZYPIOREK

*zdejmuje kapelusz i kłania się CZAROWICOWI  
do nóg*

Jego jasność, jego jasność... Jeszcze to słowo w kalecie swej wynalazł... Już tam — bez urazy — nic w kalecie nie ma, ale się znalazło szczerozłote słowo, ostatni pański dukat. Dźwignij się jeszcze, człowieku, i ty nawet, Farfarello od Mikitki! Wychowuj dusze ludzkie, poprowadź młode dusze na niebieskie wyżyny ef-mol koncertu... Zewłókł królewicz z ramion płaszcz dostojęństwa i biret swój, i złote sandały, i ostatnią koszulę. Wszystko dał. Stoi sam: królewicz bez królestwa, pan bez państwa, władacz bez władzy. W połatanej tandecie, w wykrzywionych butach pan tyłu wsi, szlachcic z pra-pra-dziada! Farfarello-Szczypiorek równy w każdym efekcie jego osobie. Buty nie gorsze, kapelusz większy, a dufanie artystyczne i pycha machlajdyczna stokroć wyższa. Oto jest świat!

*nachylony, ze zgrozą i surowością do CZAROWICA*

A wszystko to runie w ten sam dół, gdzie już leży tyle podłości, na śmietnik za miastem Jeruzalem! Złodzieje rozkradną wielki skarb ofiarowany, rzezimieszki śmiać się będą po nocach!... I znowu będzie ze zgrozy drżała ręka, tykająca strun.. I szynk Mikitki... Szczypiorek chce dziś zagrać Panu Bogu skargę na łotrostwo świata, spowiedź powszechną, Mahabaratę<sup>162</sup> swojej sprzedanej duszy... Chodźcie uczniowie!

*Kłania się CZAROWICOWI olbrzymim, zmiętoszonym kapeluszem i odchodzi w kierunku szkoły śmiałymi, aczkolwiek nieco chwiejnymi kroki. Zmierzch już zapada, przyspieszony przez nadciągające chmury. CZAROWIC przeszedł bliżej szkoły na odkos ziemi, gdzie rośnie prześliczna, rozłożysta, samotna sosna. Tam usiadł na ziemi. Ze swego wzniesionego miejsca widzi przez otwarte okno wewnątrz dużej sali szkolnej, zajmującej całą długość i pół szerokości domu. SZCZYPIOREK,*

---

<sup>162</sup>*Mahabharata* — jeden z dwóch głównych hinduistycznych poematów epickich (obok *Ramajany*); epos opowiadający o historii starożytnych Indii, zawierający nauki z zakresu filozofii (logiki, etyki), astronomii, medycyny, jogi, sztuki wojennej, edukacji, ekonomii, architektury, a także sztuki miłosnej; w jego skład wchodzi też *Bhagawadgita* (pieśń w formie dialogu, o tematyce religijnej i etycznej). [przypis edytorski]

MICHAŁ i OLEŚ ustawili w połowie sali trzy pulpity, rozpostarli na nich nuty i zapalili trzy świece. Płomienie świec drżą i nadają twarzom muzyków, zwróconym ku oknu tajemniczy wdzięk. Pośrodku stoi FARFARELLO. Siwiejące włosy otaczają jego twarz zniszczoną i spadają na ramiona. Muzyk wyprostował się, podniósł głowę. Przebrzmiał w gałęziach szybki, gwałtowny deszcz. Krople jego zawisły w wyżynie konarów. Daleki słychać grzmot. Jadowity, wszystko przenikający wybuch wiatru rozległ się, trwał przez chwilę i zginął bez śladu między pagórkami. W ciągu swej krótkiej potęgi przydeptał na klombie gwiazdy wielobarwnych astrów, obalił na ziemię wątle balsaminy. Po nadobnych koronach jesieni, oddanych tej jedynej sprawie, żeby wyrazić niewymowny wdzięk nadejścia śmierci, przebiegło bolesne tchnienie. Szybki i nagły zapadł zmrok. Wysoki krzak tytoniu białawym brzaskiem, na pół już wessanym w głęboką pomrokę, żałobi się kędyś przed oczyma — nie wiadomo — daleko czy blisko. Tchnieniem subtelnym, jak najtajniejszy powiew tęsknoty, dymi się zewsząd zapach rezedy.

*Kapela jesiennych świerszczów deszczową posilona rosą melodyjnie zaniosta się znów. Dzwonna ich gra, głos niewyczerpanej ekstazy, tak cicho a tak namiętnie brzmi pod liśćmi zgorztałymi. CZAROWIC uczuł mimowiednie, jak gdyby przez głębinę snu, że to w duszy, w jej skrytości najodleglejszej płyną — trwają te najmilejsze tony świerszczowe. Jak niegdyś za różano-złoty ch dni dzieciństwa, w czasach, które na ziemi pono istniały, a teraz umarte i nieznajome leżą w zakłęstej pamięci, śpiewało w ciemne noce tę pieśń wszystko powietrze, otaczające ekstazę serca w jego jaskółczym śmiganiu ku krańcom bytu, tak znowu dziś, jeszcze raz, po gradusach i przegubach tej polnej gęźby lecą nieunoszone ciosy serca na bezdroża ciemnej nocy. Ziemia obmokła od szybkiej ulewy ujmuje stopy uściskiem, tajną rozkosz niecącym. Ramiona, ręce, żebra ogarnia radość mroku — radość najgłębszej, ociemniałej sekundy międzybłyśnięć. W uniesione ramiona chwytta ciemnota kryjomo duszę. Tuli ją w posępne, w wonne zwoje miłości, miłości do gliny, drzew, krzewów we mgle, do dźwięku ojczy-*

stej mowy... Nagle zabrzmiał trójjedyny cudogłos trojga skrzypiec. Rozległ się, jak nakażne wołanie człowieka, rzucone w kraje wieczności. Rozciął ciszę, jak uniwersał wstrzymujący wszystko, jak hasło przodownika, który idzie nad urwiskiem przepaści z pochodnią w górze. Spazm szczęścia objął słuchacza. Zdało się, że ciało traci swój ciężar i nad ziemię się uniosło. Zimna głowa spoczęła na łonie jaskini, w którą się zapadł blask pochodni. Upojenie bez granic zawarła w sobie ta szczelina skrytości, przez którą tryska cudowna muzyka. Głęboka rozkosz jej mogłaby się zrównać jedynie z urokiem zwoju włosów Krystyny, z nieprzewyciężoną, z mocą na śmierć piękności jej oczu. W tej nieprzejrzystej ciemnicy tonów było podobieństwo do tajemnicy piękności jej ciała, okrytego wiecznymi sukniami. Na nowo ocknął się wicher muzyki. Rzęsista jego melodia popędziła duszę człowieka na jakoweś samotne drogi... Śni dusza, że widzi księżyc w bezgranicznych pustyniach niebiosów, osłoniiony na pół przejrzystymi chmurkami o kolorze mosiądzu. Podniosły blask przez dymne, na pół przejrzyste obłoki pada

na śnieżne pola, w przepaście między nawistymi skałami, na góry nieogarnione oczyma. Jakowyś las głęboki, osędziały. Zadymka przydęta posępne, czarne drzewa. Światło miesiąca osrebrza kwiatony wieżyc dalekiej puszczy, wierzchowiny wielokrotne, ginące w dali. Szare niebo zapada się daleko w przedział między lasami. Tam daleko śmiertelnie obojętnym pożądaniem ziewa przepaść. Potok, jak smuga śniegu, srebrzy się na dnie głębiny. Szum potoku do uszu nie dolata. Tylko wiatr tam zaglądać może i ludzkie oko nieustraszone. Lecą niepostrzeżenie ciche myśli, wieją ni-  
by ciepłe, wolne powiewy — czy lęka się sarna górska, gdy stąpa ponad przepaścią, gdy patrzy w głąb i widzi w dole smuzkę potoku nieruchomą? Czy kocha swoją dziedzinę sarna górska i jakie jest jej czucie? Przedziwny głos, jak gdyby głos orła ożywa się i mówi odpowiedź w głębiach nieba. Kracze orzeł śmiertelnym pozywaniem niezrozumiałą dla człowieka odpowiedź. Pomiedzy głębią przepaści i wysokością niebiosów wynika rozmowa tajna o świecie i rzeczach świata. Zbliża się, zbliża się do kraju świata rozmowa tajna i nieustra-



szone oko człowieka spogląda w szczelinę, ażeby ujrzeć zaświat i rzeczy zaświata. Jakże niepojęty, a jak wciągający w swój wir stał się dialog muzyki! Ogarnia wszystko i w jednym wyrazie wszystko mieści. Rozdziela zasłonę tajemnicy, podnosi wzgórze obie połowy i na nowo je zapuszcza. Falamami płynnymi, ze śmiechem cichym opadają na dół połowice zasłony. Zrywa się nieposkromiona wola. Tworzący czyn, spadkobierstwo walki z tajemnicą, uwiera w piersiach, jakoby zamknięty a wybuchający pocisk ognisty. Oczy napęczniałe od wysiłku wpatrują się w krąg miesiąca daleki, w wiotkie, miedziane mgły... Rozedrzesz się ty, ciszo, na dwoje! Skonasz, milczenie! Otworzą się wszystkie twoje jaskinie, bezdenne echo, rozpadniesz się, zasłono czarna na rozkaz potężnego człowieka! Oślepiająca wstęga piorunu wytrysta w mrokach muzyki, przeszły niski świat i, zdartszy oponę śniegów, wiosnę cisnęła na ziemię. To już nie las osiwiaty. To nie góry nieogarnione oczyma. To ogród ten jesienny. To gaj ten, słuchający szczebiotów dzieci. Jakże w nim ożyło wszystko, stało się sobą i samość swego żywo-

*ta wydało w muzyce. Widać życie drzew, krzewów, chrustów w parowie, sosen i brzoź, dla nich samych płynące. Jestestwo życia, tajemnicę siłoczenia każdego krzewu i każdej trawy wydałaś, o, błyskawico! Drzewa zastygłe w nieruchomości zatrzęsły się i wzdychają. Szelestny, międzylistny pogwarek wszczął się pomiędzy nimi i spłynął w nicestwiejący szum, w szum nicestwiejący kędyś w dali. Brzozy jedna do drugiej uśmiechają się przez bezszelestne już mgnienie. Uśmiech ich, bezlitosny względem wszystkiego na ziemskim okręgu, oprócz siebie samowtór, łśni, jak na licach kochanków, objętych szczęściem miłości. Blask błyskawicy wraził się aż do dna wzroku człowieka, jak cienki brzeszczot złotonego sztyletu po krzyżową rękojęść w ranę, a po zniknięciu swoim zostawił nicość. Nagle wybucha z nicości pożar myśli i dymią się kłęby uczuć. Ogniem wszystko niszczącym splotęła groźna wola. Wychodź na wojnę, człowieku! A w chwili tej wyzwolin woli zostaw w powrozach sumienia widzenie tamtych wstydliwych ramion, niezastoniętych sukniami. To o nich żałośnie śpiewają skrzypce młode. O nich wspo-*

*mina tamta daleka polotność tonów. Zamieć nic niewiedzących tonów muzyki przeszywa jasne brzozy, które stoją w ciemnowronej ciszy. Drzewa słuchają. Czatuja na każdy ton. Rozumieją troskliwe, czują to samo, co czuje serce ludzkie, strwożone przez niepojęty cudosen muzyki. Pilnie czyhają na wichry zmiennych uniesień, na każdy szelest melodii, sprzyjający sercu, na tchnienia i pogłaskania łaskawe, na uśmiechy nadziei krótsze niż jedno melodyjne westchnienie świerszcza jesieni. Teraz z dala płyną pieśni — chmury bezgranicami nieba. To one najbardziej żarliwie ujęły sprawę człowieka poza obrębem jego duszy. Spamiętały czujniej niż on sam wszystko, co najwznieśliwsze, wszystko bolesne — przebaczone, wszystko, co leciało istotnie ku niebu — wchłonęły w niematerialny swój dźwięk, w mowę chmurną, obłoczną, zamierającą między otchłaniami czasu, tę samą wiecznie, tę samą w chwili szczęścia dawnego i tę samą, gdy się w samotność i głuchy żal opuszczenia przelewa. Wystawiają człowiekowi cudowną o nim samym legendę, wierne o nim podanie, o nim, bohaterze i duchu wolnym,*

który niegdyś istniał, panował nad okręgiem ziemi szczęśliwej, pióropusz skrzydeł nosił u ramienia szlachetnego, cnocie służący miecz piastował potężną dłoń, pasował się na śmierć z mocami wrogimi, zginął walecznie i ninie<sup>163</sup> leży w zapomnianej, niewiadomej, zakłęstej mogile. Głuchy gniew, głuchy poryw żłobi w chmurach tej dawnej pieśni każdy przelot błyskawicy. Skądże i czemu nawraca znów, nawraca tylekroć Olesiowe pytanie: jakże świętość wydostać z ludzkiego rodu? Kto się odważy? Kto ujmie młot? Kto na się weźmie postannictwo odkupiciela? Słysząc... Ktoś to inny gra. Odpowiedź... Oto gra teraz odpowiedź bies stojący w mroku, Mara, mądry zaprzaniec, zdrajca świętości, Judasz, krzywoprzysięzca. To on przemawia sam — czart. Gra najdzikszą swoją symfonię na strunach człowieczego szaleństwa. Śpiewa o pożądliwości, o trosce i o rozkoszy. Zapuszcza w tajnię serca krzywe szpony, ściska serce, jak ów stary skrzypek ściska gryf swego muzycznego narzędzia, od strun nabrzmiały. Podnieca struny uściskiem i wyrywa z nich dawno mu znane

---

<sup>163</sup>ninie (daw., gw.) — teraz. [przypis edytorski]

przykłady — dzieje szatów daremnych nigdy niespełnionych, krzyki pełne nadludzkiego pragnienia i oszalałej odwagi. Pokazuje w pieśni swej, co jest rozpacz, pokazuje czarne wnętrza krwawego dotu. A teraz rozwarł kwiecistą dolinę. Tam w dali cud piękności zwłóczy z ramion wieczne szaty. Wraca się wciąż, wraca wciąż smyczkiem swoim do odpowiedzi jedynej, do tej samej zawsze, do odpowiedzi: nigdy! Lecz oto, gdy najbardziej spracowane było serce i w walce swej granicy dosięgło, ucichł głos przodowniczy. Stary muzyk grać przestał. Tyłem do okna zwrócony, smyczkiem wybija takt. Grają sami dwaj młodzi skrzypkowie. Duet. Młody wytryst w sali śpiew. Nowotna siła wzniosła się zeń jak szerokoskrzydły archanioł. Zatoczył śpiew krąg. Podbił się sam mocą swoją z zachodu na wschód, z nocy ku jutrzni, zatoczył krąg drugi, wyższy. Wicher niebieski wieje w skrzydła tego śpiewu. Posiadły skrzydła wicher. Płyną w lazurze. Zadrżało od rozkoszy serce słuchacza. Włosy się jeżą na głowie. Ścieka wzdłuż ciała zimno do stóp. Wewnętrzny śmiech złączył się z młodą muzyką. Szepcą usta:

— Śpiewajcie pieśń, skrzypkowie młodzi! I oto odstoniła się pieśń, jakby zasłona. Kędyś pod czarnymi drzewami gruba ciemność przybrała kształt. Zstępuje po ciemnych schodach prześliczny cień. Nad czołem jego miga, wykwita i uderza w mrok świetlisty sztylet burzy. Idzie w dół tajemnica przyszłości. Zjawiała się na podobieństwo chmury przyniesionej przez wichur z dala. Jakoby daleki odgłos grzmotu odpływa z duszy na jej widok wszelkie cierpienie. Wstaje w duszy szczęście, które trwać będzie wiecznie i nie zostanie nigdy zniszczone. Ucieka bies, miotając gromy. Rozjuszonymi nogami depce szczyty drzew i gonty dachów. Deszcz jego ulewnym potokiem spada. Lecą raz wraz powiewne migotania i sieczyste krzyże jego piorunów. Ciemność głęboka okrywa po nich świat. Wzmaga się szaleństwo burzy. Lecz nawałnica muzyki staje się bogactwem człowieka, sprzymierzeńcem jego wesela, porażką wroga rozszalałego. Znakiem niemocy, przymusową daniną wroga staje się złota tarcza błyskawicy. Jej długie, oślepiające jaśnienie, jej niestrzymany blask wa-

ha się w nagłym zachwycie na przeciwległym zjawieniu piękności nowej, na licach tajemnicy przyszłych dni. Kołysa się złote lśnienie na ramionach, nigdy przez oczy ludzkie niewidzianych. Niewymowna moc ich piękności przegląda się w zwierciadle błyskawicy... A wśród pasowania się piękności z pięknnością, zagastoś — i rozpadło się pokonane, o złote lustro szatana! Zawarty się oczy olśnione. Złocista przepaska uśmiechu leży na wargach gorących. Serce, porwane na zenit bytowania, kołysze się, chwieje, jak tajemniczy dzwon między jaskinią odtrącenia i jutrznią nową. Dusza zwleka ze siebie ciało i, jak tuwalnia światłości, błąka się między złotymi błyskawicami. Objąwszy się westchnieniem z nieznanymi duszami-siostrami idzie po zawrotnych gzymsach dobrowolnych wyrzeczeń się, jakoby po stromych górach. Czyżże to głos przerywa radość? Jakiż to cień, jaki z nikczemnych dolin przychodziń, niematerialny szlak mroku stoi pod skałą w lśnieniu ostatniej błyskawicy? Wyciągnął ręce... Mówi przez usta dwugłosu skrzypiec... Zimny dreszcz spętał nogi uściskiem... Zapomniane imię — An-

*zelm — jak zmija pętza w dwugłosie skrzypiec...*



# SPRAWA SIÓDMA

*Noc zimowa w Alpach. Olbrzymie śniegi powlekły puszcze leśne, szlak prowadzący ku skałom, z których przed wiekami obrońcy swej niepodległości zrzucili szczyty gór na pole Näfels i zattukli nimi napastnika ojczyzny. Jezioro Klänthalersee zamarzło i znikło pod oponą zimy. Wielkie leśne drzewa stały się wspaniałymi widmami. Gałęzie ich, zgięte aż do samej ziemi pod ociężałymi jukami, pod napęczniałymi od masy sakwami śniegu, tam i sam wybiegają w niebo strzelistymi wierzchołki. Niskie krzewy znikły pod zwojami i kopytami zasp. Majaczą w poświacie księżycy podobizny olbrzymich płuc i jelit, przegubami wygniecione w bulwy i nabrzmienia. Polotny wiatr kiedy niekiedy rozkołysa stuletnie jodły. Wówczas sypią się w dół kadzidlane stupy pyłu i napętniają głębinę dzikiego boru zimnym przestraczem. DAN, ubrany w krótki kożuch i buty z cholewami, brnie w górę bezdrożem, głębiną lasu, kopiając się po pas w przeziębłych, sypkich śniegach. Na ple-*

cach niesie wielką stalową kasetę i żelazny trójnóg. Zarabiając się w zaspach, ustał na małej polanie pod szczytem. Gdy spoza chmur padnie na ziemię światło księżyca, widać słabo w przestworze bielejący stół szczytu Glärnischu i pionowe granie jego skał z tamtej strony jeziora. DAN, który pospołu z CZAROWICEM przyszedł z Zurychu, dźwigając swój wynalazek bezdrożami leśnymi przez Albis i Hochetzel, siadł w znużeniu na omarznętym odziemku. Czeka cierpliwie na znak CZAROWICA, który poszedł na tamtą stronę doliny i jeziora, w skały Glärnischu, ażeby w nich zakopać w różnych miejscach trzy wielkie ładunki prochu, dynamitu i szymoży. Dan opiera głowę na rękach i, patrząc na szatański szczyt Glärnischu, popada w głuche, senne zachwycenie. Oczy jego spoglądają w las. Widzą i nie widzą. Zdało mu się, że w czarnym przypięnnym wnętrzu wielkiego świerka, który śniegi ze wszech stron odęły, czyniąc zeń alabastrową kaplicę, rzeźbioną od cieniów, spostrzega żyjący cień. BOŻYSZCZE stoi tam nieruchomo z założonymi na piersiach rękami.

*Oczy jego jak dwa ciemne, ślepe ciosy, usta nie-  
me.*

DAN

*z męstwem*

Kto ty jesteś?

BOŻYSZCZE

Ja jestem ty.

DAN

Nie znam cię. Ja jestem — ja. Nikt inny nie był, nie jest i nie będzie mną. Przepadnij!

BOŻYSZCZE

Jestem twój sobowtór. Byłem z tobą w więzieniu. Jako tożsamość twoja przeszkadzałem ci przecież ustać, gdy kułeś po nocach swój wynalazek. Czy nie pamiętasz wsparcia mojego, gdyś upadał, czy nie pamiętasz pociechy mojej, gdyś płakał krwawymi łzami, czy nie pamiętasz zaprzeczeń moich, gdyś się łamał wewnątrz siebie? Podniecałem zawsze twą myśl, popychałem cię, żebyś tu przyszedł.

DAN

Nie chcę zwycięstwa, jeżeli mam je tobie  
zawdzięczać.

BOŻYSZCZE

Jesteś śmiertelny, a ja jestem schroniskiem  
twojej siły, gdy cię nie będzie. We mnie się uni-  
cestawisz i pogrążysz w sobie.

DAN

Jeżeli dzięki tobie wykryłem ten wynalazek  
straszliwy, to patrz...

*dobywa browninga*

Rozbiję go i siebie rozerwę za pomocą jego  
wybuchu, gdyż nikomu nie chcę podlegać.

BOŻYSZCZE

Przez wieki, które ja znam, płonął sekret-  
nie we wnętrzościach rozdzielonych substan-  
cji nieśmiertelny ogień. Tyś je zespolił. Ogień  
ten tęsknił w ciągu nieskończoności do tajni  
twojego mózgu jak syn do ojca. Tyś go, dzięki  
woli tajemnej, począł w umyśle jak ciało po-  
czyna zarodek. W kołysce tej leży teraz prorok  
zrodzony przez ciebie, wybawca, oczyszczający

kapłan, żołnierz, który czeka na skinienie twej dłoni. W kołysce tej leżą nowe dzieje ziemi. Nie waż się gasić ognia-wyzwolicieła.

DAN

*posepnie*

Ten ogień będzie kosą śmierci dla setek tysięcy istnień, bytów, żywotów...

BOŻYSZCZE

Śmierć jest dolą człowieka. Śmierć, którą będziesz zadawał, zdejmie przeklęty kształt z ludzkości. Śmierć, zadana przez płomień tu zawarty, będzie nasieniem wielkich żywotów.

DAN

Nie chciałem zadawać śmierci, chciałem wyniszczyć głód rzesz świata, zniweczyć niewolę, jutrznię rozpalić nad ciemną nocą. Któż mi zaręczy, czy świętości mojego marzenia nie zniweczą złodzieje, czy jej nie wydadzą wrogowi, ażeby zeń uczynił środek stokroć skuteczniejszego katowania człowieka niewolnika? Byłem w moskiewskim więzieniu, widziałem wszystko złe świata.

BOŻYSZCZE

Jakakolwiek będzie twa boleść, musisz iść dalej.

*Rozlega się daleko za jeziorem strzał rewolwerowy. To CZAROWIC zapytuje w ten sposób DANA o miejsce, w którym się zatrzymał. Echo strzału rozlega się w dalekich skałach glerneńskich Alp, leci dolinami, słania się i brzmi w przestworzu leśnych puszczy, jak wołanie setek tysięcy głosów.*

BOŻYSZCZE

Słyszysz? Woła cię świat.

DAN *podnosi browning i strzela w powietrze na znak odpowiedzi*

Już dałeś znak.

DAN

Nie! Jestem głuchy i oślepy od męki. Nie pójdę! Niech on, który umieścił w niewiadomym dla mnie miejscu proch, dynamit i szymozę, ażeby do nich stąd za pomocą ognia trafił, idzie z tym ogniem w świat. Ja zostanę w laboratorium.

BOŻYSZCZE

Lękasz się.

DAN

Lękam się. Drzę. Teraz już idzie ku mnie Czarowic. Słyszę skrzypienie jego kroków na mrozie lodu jeziora.

BOŻYSZCZE

Czymże jest śmierć człowieka, którą będziesz zadawał?

DAN

Morderstwem.

BOŻYSZCZE

W tej chwili, gdy to mówisz, dogasa tysiąc żywotów z chorób, z nędzy, z prześladowań, w szponach tyranii. Ty śmierć ludzką wytracisz w rodzaju ludzkim. Uczynisz z niej wartość najwyższą, straszną, świętą i wieczyście płodną, jak śmierć Sokratesa.

DAN

On minął już jezioro. Już idzie w górę.

*Daje się słyszeć powtórny strzał CZAROWICA.*

DAN *podnosi bezwładną ręką browning. Strzela.*

## BOŻYSZCZE

Zmuszasz mię, żebym cię kusił.

Potęga tyranii, skupiona w armiach, okrętach wojennych i narzędziach śmierci jest tylko symbolem! Moc tyranii leży nie w dłoni bezsilnego władcy, lecz w niemocy jego niewolników! Lecz niezniszczalność nędzy, przejawiająca się w wiecznej nicości, pogwałceniu, porażce i różnopostaciowym niewolnictwie człowieka, jest również tylko symbolem. Jedyłą potęgą istotną i niewątpliwą jest geniusz i funkcja jego — wynalazek. Materialny wynalazek staje się wartością duchową, jeżeli budzi z martwych ducha niewolników i łamie w ich piersi berło tyrana. Podobnie jak okręty wojenne i narzędzia śmierci rzucają na dusze ludzkie cień niewoli i stwarzają potworny jej ideał, tak samo materialnego trzeba wynalazku, ażeby oświecił dusze blaskiem ideału wolności. Ludzie, którzy raz złamią w duszach swych niemoc twórczenia, narzuconą im przez przeczenie tyrana, zabudują i osiądą szczęśliwą ziemię.



Naród twój jest jak lamentująca, białopien-  
na brzoza, której naród moskiewski, opętany  
przez ideał tyranii, w szaleństwie swym przy-  
walił wszystkie żywe gałęzie, pręty ssące sok  
i oddychające liście olbrzymią masą głuchej gli-  
ny, górami pracowicie zniesionego na glinę ka-  
mienia. Nacina wróg pień jej biały, w bolesny  
pałak wygięty, napuszcza w żyły jej jadu swych  
zbrodni, zarazy swojej głupoty. Patrz, jak po-  
przerzynane są korzenie twej brzozy ukocha-  
nej, jak schnie i pęka jej kora, jak z ran bezu-  
żytecznie wycieka w ziemię sok życiotwórczy!  
Zamiera w pustkowiu brzoza żywcem pogrze-  
biona. Dodaj ramienia! Od dzieła twego dźwi-  
gnie się, wyrwie i w niebo z pohańbienia unie-  
sie święta korona. Obmyją deszcze liście zbło-  
cone, wichur wiosenny wyprostuje skrzywione  
gałęzie. Nową pieśń zaśpiewa w wiatrach białe  
boże drzewo...

*Trzeci strzał CZAROWICA. DAN odpowiada po  
raz trzeci. BOŻYSZCZE znika.*

CZAROWIC

*ukazując się na polanie*

Nie mogłem trafić na twój trop...

DAN

Na mój trop niełatwo trafić.

CZAROWIC

Jesteś dumny, wynalazco.

DAN

Jestem dumny.

CZAROWIC

Okaze się wnet, czy uzasadniona jest twoja duma.

DAN

W jakim porządku umieścisz naboje?

CZAROWIC

Najniżej proch. O jakie sto kroków wyżej dynamit.

DAN

Ktoś tu może słucha naszej rozmowy!...

CZAROWIC

Czy sądzisz, że i w lasach glerneńskich czyha na nas moskiewski szpieg?

DAN

Przypomnij sobie we śnie więziennym usłyszaną formułę: — Milcz z zaciśniętymi zębami albo składaj wewnątrz siebie przysięgę, kiedy idzie o Polskę!

CZAROWIC

Tak, tu idzie o całą Polskę. Zaczynaj!

DAN

Tu idzie o coś więcej...

CZAROWIC

Wahasz się?

DAN

Drży we mnie serce i drżą wnętrzności. To nie tylko próba, to już strzał.

CZAROWIC

Tą właśnie drogą nad jeziorem, z Muottathal do Glarus szedł swego czasu Suworow na czele armii.

DAN

Dobre powiedziałeś słowo! Kielich najtęższego wina nie popędziłby mojej krwi ogniściej od tego słowa. Straszliwy Suworowie, któryś

ziemię polską naszedł i zdeptał, zakryj w trwodze oczy!

*Do CZAROWICA*

Daj szkła!

*Obydwaj nakładają na oczy czarne szkła w szerokiej, skórzanej oprawie, która szczelnie przystaje do skroni i kości policzkowych. Dan ustawił na żelaznym trójnogu kasetę, a wylot jej nieco podobny do obiektywu, jaki posiada camera obscura, skierował w stronę lasów i skał pod Glärnischem. Przesunął zasuwę aparatu i puścił w ruch maszynę. Po chwili obydwaj widzowie ujrzeni przez czarne szkła oślepiającą strugę fioletową, z lekką łukiem wygiętą. Przeraźliwy blask oświetlił łańcuchy gór, doliny, lasy... Dan stanął za kasetą i żelazną rękojeścią kierował wylot maszyny to tu, to tam, to wyżej, to niżej. Struga tytanicznego ognia poczęła gzygzakiem błąkać się po lasach glerneńskich. Wielkie lasy poczęły płonąć smugami w ślad skinień ognia. Nagle runął w powietrze straszliwy wybuch prochu. Po chwili runął wybuch drugi, stokroć gwałtowniejszy. Zatrzęsły się góry. Nawiste skały, wyrwane z posad, rzucone*

*w górę spadły na lody jeziora. Pękł lód z łoskotem i bojaźliwym, dalekim skowyczeniem. Strzelił trzeci pocisk, stoczył z miejsca wyższe urwiska. Płonące jodły toczą się pod lecącymi w jezioro skałami. Luna ogarnęła nocne niebo. DAN zamknął zasuwę kasety. Krótki obydwu śmiech. Chowają maszynę w skórzany wór. DAN zarzuca na plecy wór, CZAROWIC trójnóg. Stękając pod ciężarem, w milczeniu uchodzą szybko borami w górę.*

# EPILOG

*Pagórkowate pola w okolicach Puław. Płaskowzgórze poprzeryzane we wszelkich kierunkach parowami, w których rosną drzewa liściaste, buki i dęby, lipy, klony i jawory. Zielone sosny tulą się w gęstwiny listowia. Zboża powlekły urodzajne glinki, jak oko zasięgnąć zdoła. Poświstny samogłos idzie polami, na których od suchego wiatru pławi się okwitłe żyto. Huczy zamierający wciąż pogwarek łanów pszenicy jeszcze zielonej, a już pozłotą muśniętej. Maki i bławat w zbożu nade drogą zapadła, nad polnym, w glinie wiekami żłobionym, parobczańskim chodnikiem. Spróchniały krzyż we trzech jedlach na wzgórku. Jąłowce po uwrociach i pochyłych wygonach. W dali, niziną wierzby ponad strugą leniwą. Tam kosi trawę dorodny, dwudziestodwuletni parobczak, GRZEŚ WÓJCIK. W polnej ciszy słychać nieprzerwanie, raz wraz armatnie strzały i potworny grzechot kartaczownic. Wokół tego miejsca odbywają się na przestrzeni całej okolicy manewry*

generalne wojsk. Dwa odłamy armii staczają ze sobą fikcyjną bitwę. Wielki książę dowodzi jedną armią, główny dowódca wojsk prowadzi drugą, noszącą nazwę nieprzyjacielskiej. Nagle oświeciła ziemię i niebo piorunująca łuna. GRZEŚ zaniewi-  
dział na przeciąg czasu<sup>164</sup>. Jeszcze łuna nie zga-  
sta, gdy dał się słyszeć straszliwy łoskot i wrzask  
dziesiątków tysięcy ludzi. Gdy GRZEŚ odzyskał  
wzrok, ujrzał wznoszące się dymy na wzgórzu.  
GRZEŚ rzucił kosę i na bałyku<sup>165</sup> wpełzł w zboża,  
żeby zobaczyć, co się dzieje. W chwili, gdy sta-  
nął nad poprzecznym wąwozem, ujrzał jeźdźca  
na koniu, pędzącego w skok zbożami. Koń brzu-  
chem rozgarnia zboże, skacze przez parowy. Za  
jeźdźcem pędzi z dobytymi szablami szwadron  
dragonów. Wichrem pędząc ku dolinie, jeździec  
odsadził się w zbożu, wbił ostrogi w boki koń-  
skie i skoczył, żeby przesadzić parów. Zgoniony  
koń skoczył chyżo, lecz nie dosięgnął szczęśliwie  
przeciwego brzegu. Jeździec runął w gliniasty  
wąwóz. GRZEŚ kilkoma susami zeskoczył na dół

---

<sup>164</sup>na przeciąg czasu — błąd logiczny i stylistyczny; popr.: przez pewien czas itp.  
[przypis edytorski]

<sup>165</sup>na bałyku (daw.) — na czworakach. [przypis edytorski]

*i znalazł się przy zbiegu. Ten wywłókł się już spod konia i, potykając się, plując krwią, ucieka na dół wąwozem. Spostrzegł GRZESIA.*

CZAROWIC

Ktoś ty?

GRZEŚ

Ja tu ze wsi.

CZAROWIC

Bracie! Ratuj! Biłem się z wojskiem...

GRZEŚ

A dy ja towarzysz...

CZAROWIC

Towarzyszu! Ja wnet umrę... Za wcześnie mię spostrzegli. Uciekaj! Co sił uciekaj! Tu zaraz, na szosie puławskiej, między Kurowem i Końskowolą spotkasz dwoje ludzi, mężczyznę i kobietę na koniach karych. Im oddasz to pudło.

GRZEŚ

Między Kurowem i Końskowolą dwoje na koniach karych...



CZAROWIC

Spytasz o hasło. Jeśli powiedzą słowo *War-  
na...*

GRZEŚ

Słowo *Warna, Warna, Warna...*

CZAROWIC

Wtedy dopiero oddasz im pudło. Jeśli tego słowa nie znają, rozbij maszynę na drobne kawałki. Towarzyszu! Nie zdradzisz? Słowo? Nasze słowo?

GRZEŚ

No!

CZAROWIC

Uciekaj! Zbożami, miedzami...

*GRZEŚ zakłada na ramiona rzemienie kase-  
ty, pod pachę wziął żelazny trójkąt podstawy, ka-  
pelusz słomiany cisnął w zboże, zgarbił się, wpełzł  
w bruzdę. Fale pszeniczne za nim zakotłysały się,  
zrosły w jedno, zawarły. Pomknął jakoby prze-  
piórka. Daleko, daleko strugą chwiejną wśród ła-  
nu przeleciał...*

*Kłęby kurzawy runęły w głąb wąwozu. Kil-  
kudziesięciu kawalerzystów pędzi weń na złama-  
nie karku. Dopadli konia z przetrąconym grzbie-  
tem, dopadli CZAROWICA leżącego na drodze o kil-  
kadziesiąt kroków dalej. Zeskoczyli z koni, po-  
rwali go z ziemi, postawili na nogi. Szarpią go  
na wsze strony. Gdy wyrwał z kieszeni rewolwer,  
wydarli mu tę broń. Związali ręce w tył. Obre-  
widowali odzienie. Przytroczyli go postronkami  
między cztery konie i popędzili, powlekli, gdy pa-  
dał, wąwozem w górę. Kiedy cały konny orszak  
wyjechał z wąwozu na płaskowzgórze, CZAROWIC  
przetarł oczy, rozejrzał się pilnie, daleko po fa-  
lujących zbożach, po pszenicach, żytach, idących  
w kraj het-het... Ani śladu!*

CZAROWIC

*śpiewa radośnie z głębi serca  
Uderzył go żołdat nabajką*

CZAROWIC

*śpiewa dwakroć radośniej, z głębi serca  
Uciekła mi przepióreczka w proso...*

OFICER

Milcz! Za chwilę zginiesz. Módl się. Tyś to strzelał do naszych wojsk z jakiejś broni.

CZAROWIC

Milcz! Za chwilę zginiesz. Módl się. Ja strzelałem do waszego wojska z tajnej broni.

OFICER

Gdzie ta broń?

CZAROWIC

Nie ma jej.

OFICER

Gdzieś ją podział?

CZAROWIC

Zaraz się dowiesz.

OFICER

Skąd się dowiem?

CZAROWIC

Nie umiesz czekać, Moskalu!

*Oficer uderza go nabajką. Tłumy wojsk ukazały się na szerokiej pochyłości. W środku ich potyskujący sztab jeneralny. Polami ku temu miejscu gwałtownie ciągną parki artyleryjskie, miąż-*

dząc zboża na szerokiej przestrzeni. Ze wszech stron, jak okiem sięgnąć, brną w forsownym marszu proste linie, bryły i prostokąty wojsk pieszych. Tam i sam przerzyna równinę lotna jazda regularna i wałęsają się chmury kozactwa. Pokotem leżą w zdeptanych zbożach zwłoki spalonych rot i kompanii od pierwszego pocisku ognia. Wśród nich uwijają się lekarze w białych kitlach, zakonnice i felczerzy. Jeżdżą na wsze strony wozy lazaretowe. W całym wojsku regularnym kottuje się bezkarny, dziki gwar. Gdy się ukazał oddział prowadzący CZAROWICA, armia wydaje groźny pomruk. Prowadzą go w szerokim kole dragonów, przywiązanego postronkami. Idzie okryty pyłem i krwią. Wysunął się na spotkanie oddziału adiutant i rozkazał, żeby prowadzić więźnia przed oblicze wodzów, na wzgórze. Stanąwszy tam, przed głównym frontem wojska, ustawionego w linię, CZAROWIC odwrócił twarz w pola. Wytężył wzrok w dal, w dal... Namacał w bocznej kieszeni perspektywę, przyłożył ją do oczu... Dojrzał daleko białą wstęgę puławskiej szosy wi-

*jącą się po wzgórzu. Oto stamtąd sadzą polami  
na przelaj dwaj jeźdźcy, dwa cienie...*

CZAROWIC

*ze ściśniętymi dłońmi, pochylony błaga du-  
chem*

*Krystyno! Żegnaj... Oszczędzaj Dana. Cze-  
kają na niego Niemcy. Niemcy! Niemcy!*

*Zatrzymały się na wzgórzu dwa czarne, da-  
lekie cienie. Nagle błysnął straszliwy piorun, oble-  
ciał niebo i ziemię. Blask jego rzucił ślepotę na ar-  
mię moskiewską. Gzygzak piorunu — kosa ogni-  
sta — zaciął raz, drugi, trzeci, uderzył z prawej  
i lewej strony wojska zgromadzone. Ryk przera-  
żenia, jęk przedśmiertny nappełnił puławską zie-  
mię. Bucha raz wraz olbrzymi kłęb siwego dymu  
i rozlega się straszliwy huk wylatujących w powie-  
trze jaszczków, samostrzały kartaczownic i ar-  
mat. Strzela sama rzucona na ziemię ręczna broń.  
Walą się szeregi spalonych trupów. Bataliony z wy-  
żartymi oczami, pułki, na których płoną szynele,  
mundury i włosy, lecą na wsze strony z wyciem  
rozpaczy. CZAROWIC, któremu ogień DANA wypa-*

lił oczy, zżarł piersi i wnętrzności, biegnie w śle-  
pocie, pospołu z tłumem. Straszliwy ból spalonego  
ciała goni go w przestrzeń. Nic nie widząc, umie-  
rający od męczarni, trafił stopami w koleje polnej  
drożyny. Potknął się na przykopie drogi, upadł na  
ziemię. Usłyszał zboże spokojnie szumiące, cichy  
pszeniczny pogwarek. Ostatkiem wiedzy wspar-  
ty, chciał wpełznąć w zboże, lecz trafił rękoma  
i ciałem bolesnym na szeroko ogarniający przyko-  
pę krzak dzikiej róży. Wtulił się w krzak dzikiej  
róży, szukając rękoma zboża, bezsilnie spoczął  
na kolcach, osłaniając drgającymi dłońmi spalone  
wnętrzności. Jeszcze raz uśmiech otoczył mu usta.

#### CZAROWIC

Towarzyszu Grzesiu! Według rozkazu...

Daleki jęk, przeraźliwe wzdychanie armii spa-  
lonej przytłoczyło ostatnią myśl. Głowa upadła  
między kolczaste, grube, wyniosłe badyle róży dzi-  
kiej i otrząsnęła płatki kwiatowe. Spadły kwiatki  
na czoło zroszone śmiertelnym potem, na pierś  
wydającą ostatnie tchnienie. W głowach zmarte-

*go stanęło mgliste widmo BOŻYSZCZA. Strząsnęło  
na piersi nieżywe ostatni płatek róży dzikiej.*

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony:  
<http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/zeromski-roza>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Katerla, Róża. Dramat niesceniczny. Spółka nakładowa "Książka", Kraków.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Uniwersytecką w Toruniu z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Biblioteki.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć, Aleksandra Sekuła.

Okładka na podstawie: Thanatos, Malczewski, Jacek (1854-1929), domena publiczna

ISBN 978-83-288-5938-8

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji